STANISŁAW WOŁOSZYŃSKI

KRWAWE DZIEWOSŁĘBY

POWIEŚĆ Z XVII WIEKU.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA
I WOLFFA W WARSZAWIE, LUBLINIE I ŁODZI.
KRAKÓW; G. GEBETHNER I S-KA ∴ ∴ 1916.

Krwawe dziewosłęby

STANISŁAW WOŁOSZYŃSKI

KRWAWE DZIEWOSŁĘBY

POWIEŚĆ Z XVII WIEKU

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA
I WOLFFA W WARSZAWIE, LUBLINIE I ŁODZI.
KRAKÓW: G. GEBETHNER I S-KA ∴ ∴ 1915.

Дозв. Военной Цензурой, Варшава, 30 Мая 1915 г.
Druk L. Bogusławskiego, Śto- Krzyska 11.

Niedaleko Żwańca, wzdłuż prawego brzegu Dniestru, ciągnęły się lasy Bukowińskie. Lasy te, zarośnięte przeważnie bukami i dębami, były kiedyś tak wielkie, że od nich prowincya otrzymała swą nazwę Bukowiny. Przeróżne gatunki zwierząt i ptastwa znajdowały w nich bezpieczne schronienie, rzadko bowiem stopa ludzka zapuszczała się w niezgłębione komysze olbrzymich kniei, w których, jak niosło podanie, przebywały duchy leśne i dyabli. Zato dzikie zwierzęta, więcej snadź od ludzi oswojone z duchami, zamieszkiwały w nich chętnie. Wilki, łosie, niedźwiedzie i suhaki spotykałeś tu niemal na każdym kroku; niezliczone chmary dzikiego ptastwa napełniały powietrze wrzaskiem i świergotem, a w niedostępnych matecznikach głębin leśnych lęgły się stada pstrych danieli, między ktorymi znajdowały się okazy posiwiałe od starości, podobnie, jak ich leśni towarzysze—odwieczne dęby i buki.

Strony te nazwano „polskim mogilnikiem”, nigdzie bowiem nie wylało się tyle krwi rycer-

skiej, jak na ziemi wołoskiej. Chocim, Cecora—zapisały się w historyi niezatartemi głoskami; a ileż pomniejszych bitew stoczyli tutaj Polacy, bądź broniąc hospodarów przeciw najazdom tureckim, bądź też pomagając im do osiągnięcia tronu, lub sami ubiegając się o takowy. Wojenne wyprawy Żółkiewskich, Łaskich, Zamojskich, Wiśniowieckich i Sieniawskich, oddały hospodarom wołoskim nieocenione usługi, albo uwieczniły się w historyi obu narodów.

Wielu też z hospodarów jawnie oświadczało się za Polską, oddając się jej w lennictwo, lub wyrabiając sobie indygenat polski, albo przez związki małżeńskie wchodząc w kolligacye z magnatami Rpospolitej. Jedynie wrodzona Wołochom lekkomyślność i niestałość, gdyż naród ten nawet własnym panom nie umiał dotrzymać wiary, a z drugiej strony brak zaborczości ze strony polskiej, zdziałały, że ziemie te, przyłączone już za Jagiellonów do Korony, następnie odpadły i, zawojowane przez Turków, jęczały przez długie wieki pod jarzmem muzułmańskiem.

W epoce, kiedy się powieść nasza zaczyna, Wołoszczyzna była prawdziwym mogilnikiem. Łupiona ustawicznie przez hordy tatarskie, wyzyskiwana przez własnych bojarów, przedstawiała raczej obraz pustyni, aniżeli osiadłej prowincyi. Kraj z natury bogaty zamieniał się stopniowo w pustkę, żyzne łany leżały odłogiem, chaty zapadały się w ziemię, lub odda-

ne zostały na pastwę płomieni; lud zaś, nie znajdując opieki prawa, z rozpaczy szukał schronienia w niedostępnych kniejach leśnych, albo górskich kryjówkach.

Mściwa Nemezis wymierzała srogą karę wiarołomnemu narodowi.

. . . .

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając resztki gasnących promieni, gdy na drodze od Chocimia pojawił się oddział jazdy. Była to polska chorągiew pancerna, złożona z kilkudziesięciu towarzyszów, strojno, piórno i buńczucznie jadących, jakby na gody.

Na przodzie jechał stary szlachcic, tęgi i barczysty, z poszczerbionem od szabli obliczem, o potężnych wąsach i marsowym wyrazie twarzy, istny bożek wojny, przedzierzgnięty chwilowo w polskiego wojaka, a obok niego, w husarskiej zbroi, młodzieniec wielce urodziwy, ową pięknością dawnych Rzymian, łączącą w sobie plastykę kształtów z atletyczną budową ciała.

Młodzieniec ten siedział na bogato przybranym arabskim mierzynie, zwinnym i skocznym w korwetach jak młoda dziewczyna, a kosztowną zbroją, którą miał na sobie, wyróżniał się z pomiędzy swoich towarzyszów.

Drogę tę odbywał snadź po raz pierwszy, bowiem zwracał się od czasu do czasu ku swemu kompanionowi i o coś zapytywał; ten zaś odpowiadał mu z pewną atencyą, jak się zwykło mówić do ludzi wyżej urodzonych.

— I teraz zwrócił się do starego z zapytaniem:

— Daleko stąd do Jass? pułkowniku.

— Szmat drogi—odparł tenże—będzie, jak z Kamieńca do Wiśniowca, może i lepiej. Ale za lasem trafi się gospoda, gdzie można będzie zanocować i koniom dać wytchnąć.

— Zali gospody trafiają się gęsto?

— Jest tego dość, bo je żydy arendą trzymają, a taki wszędy sobie umie radzić. Okupi się zbójom, przechowa towar zagrabiony, to go i w pokoju ostawią. Najgorzej im z kozakami, bowiem ci, mając do żyda przyrodzoną abominacyę, przedarować się nie dadzą... Oj, ciągnęli niedowiarki łyko, ciągnęli, aż im Chmiel zadał takiego łupnia, że teraz nieboraczki gotowiby przed nim do Palestyny uciekać, chocia i tam niema poco.

Młodzieniec milczał, snadź zajęty innemi myślami, a stary ciągnął dalej:

— Ale i dla nas niema z tego miodu. Oczywiście kara boska za grzechy. Prawda, że pod Zborowem przytarł król kszynę rogów hultajstwu, ale się wnet odgryźli i znów przeciw prawej matce, Rpospolitej wierzgają. Ot, u nas wżdy taki obyczaj: przetrzepiem nieprzyjaciołom skórę, a potem jeszcze im zato basarunek zapłacimy.

Kiedy tak stary wojak biada, w oddali dały się słyszeć dźwięki teorbanu i słowa wesołej piosenki:

Koło Warszawy, koło Lublina,
Była dziewczyna, była jedyna;
Była dziewczyna, co mnie kochała,
Jakżem odjeżdżał, to mnie płakała.

Chór zaś wtórował mu:

Bańduru duru, bańduru duru.

Ze słów piosenki łatwo było poznać Polaków. Ale w owe czasy włóczyło się po drogach mnóstwo rabusiów i rozmaitej hołoty, wobec której dobrze się było mieć na ostrożności.

Co też mając na względzie, stary pułkownik zakomenderawał:

— Baczność! formuj się!

Sprawni żołnierze natychmiast wypełnili rozkaz, poczem zaczęto zwolna posuwać się naprzód.

Tymczasem głosy z przeciwnej strony przybliżały się coraz więcej, aż wreszcie dał się słyszeć odgłos kopyt końskich, i ujrzano dość znaczny oddział zbrojnych, na czele którego jechał jakiś rycerz z teorbanem i śpiewał drugą zwrotkę piosenki:

Modre oczęta u tej dziewczyny,
Buziak rumiany—istne maliny,
Takowy specyał, nikt nie zaprzeczy,
Przytulić do się zawżdy jest krzeczy.

Chór zaś wtórował:

Bańduru duru, bańduru duru.

W lesie panował już mrok i nie można było rozeznać barwy przybywających; dlatego przezorny pułkownik zawołał:

— Halt! werdo?

— Gadaj sam, taki synu, werdo! — ozwał się głos z przeciwnego oddziału — byśmy ci responsu z rusznic nie skrzesali.

Poczem, nie zważając na nic, zaczął się przybliżać.

— Kiej dyabeł?—mruknął stary rycerz.

A widząc, że przeciwnik już niedaleko. krzyknął:

— Stój! bo każę ruszyć cyngli.

— I my to potrafim—brzmiała odpowiedź. Co zacz jesteście?

Pułkownik zawahał się chwilę, a następnie odrzekł:

— Polska chorągiew pancerna...

— Tere, fere, kuku — ciągnął jowialny przeciwnik.—Tak się to, pogańskie syny, legitymujecie, jako żyd, kiedy go o chrzest pytają.

Pułkownikowi jednak musiało coś zależeć, żeby nie wymienić swego nazwiska, gdyż odparł dyplomatycznie:

— A wy?

Ale wesoły szlachcic również, widać, nie miał ochoty do legitymacyi, gdyż oburknął się szorstko:

— Nie będę się wam pierwszy wywodził chyba prochem albo szablą; czego jeśliście radzi ujść, to gadajcie bez termiwersacyi.

Nastała chwila ciszy. Stary zwrócił się do młodego towarzysza i zaczęli coś szeptać między sobę. Poczem ozwał się:

Ostawcie pół drogi, to się oba pomieścimy.

— Takiś mi to medycynjer?—była odpowiedź—ale nie trafiłeś na fryca. Albo mi się wywiedziecie, co zacz jesteście, albo się całkiem z drogi usuńcie, jako nie zwykłem byle komu ustępować.

Nastąpiła znów cicha rozmowa, poczem pułkownik zapytał:

— Jest-li u was rozmówić się z kim godnym, to od nas wyjedzie ten, co jego chorągiew i na parol spuści się—co zacz jest.

Po tych słowach. wyjechał na front jakiś młody rycerz i zatrzymał się w połowie drogi. Jednocześnie podążył mu na spotkanie znany nam młodzieniec w husarskiej zbroi. Oddali sobie nawzajem honory wojskowe i, spojrzawszy jeden drugiemu w twarz rozjechali się w milczeniu.

Wkrótce potem ustąpiono sobie pół drogi, i dwa oddziały przejechały obok siebie.

— Szczęśliwej drogi!—odezwał się jowialny głos szlachcica z teorbanem, gdy się chorągwie minęły.

I po chwili doleciały znów dźwięki muzyki i słowa piosenki:

Niech, komu nadzieja ściele
Różnych fortun na myśl wiele,
Ja już będę tryumfował,
Kiedym szczęśliwie stargował.

Wtedy stary pułkownik zwrócił się do swego kompaniona i rzekł cicho:

— Zda mi się, że to Powała z wojewodzicem bracławskim.[1]) Snadź z dobrą otuchą wracają od hospodara, skoro takie piosenki śpiewa.

Ale młody rycerz widocznie nie podzielał obaw starego, bo rzekł:

— Zali młoda hospodarówna istotnie jest tak urodziwa, jak o niej fama głosi?

— Urody P. Bóg jej nie litował, choć myślę, jako nietyle gachom o urodę chodzi, ile o wiano, które pono żadnej królewny nie może być tak wielkie, jak hospodarówny. Co skalkulowawszy, lecą też z całego świata młodzi i starzy do Jass jakby, nieprzymierzając, owe pszczoły po miód.

— Co do onych skarbów—odrzekł młody— to mi się nie widzi, żeby mogło być prawdą, co ludzie gadają; bo skądżeby ich hospodar wziął, skoro kraj nie taki bogaty, a Porta niemało z hospodarów ciągnie.

— Wszystko to dla Jegomości Lupuła jest jakoby raka z kobieli wypuścił, bowiem ma złota więcej, aniżeli wszyscy razem królowie na świecie; a jeśli wasza miłość ciekaw posłuchać, co ludzie o tem gadają, to opowiem.

I stary rycerz, poprawiwszy się na kulbace, tak rzecz swoją prowadził:

Kiedy hospodar był jeszcze w Epirze, a miał być chłop wielce urodziwy, rozmiłowała

---

[1]) Piotrem Potockim, starostą kamienieckim, synem Mikołaja, W. hetm. kor.

się w nim jakaś wiedma pogańska, która posiadała sekretum wyrabiania złotego kruszcu. Powiada też doń: żyj ze mną, jako mąż ze żoną, a ja ci dam, co każdy nów, taką kotnię złota, jak jeno sam dźwigniesz. Hospodar był człek łasy, przeto choć do wiedmy czuł wielką awersyę, ale się przemógł; a co mu ta po miesiącu da mieszek, to powiada: „dosyp, bo mało". Aż się nieborak, po dziesięciu leciech komitywy z wiedmą, zerwał pewnego razu, dźwignąwszy zbyt wielki miech złota. Wtedy to poczuł do niej takowy obrzyd, że choć mu ta, nie mogąc przenieść z nim rozłąki, ofiarowała jeszcze raz tyle złota, co pierw, on na nic nie zważając, zabrał kiesy i pojechał na Multany do swych koligatów Mohiłów, gdzie też wprędce został przez Portę na tron hospodarski wyniesiony. Powiadają ludzie, że jest tego złota tyle, coby mógł niem drogę z Jass do Krakowa wymościć, i jeszczeby go się ostało.

Ale młodego rycerza nietyle, widać. interesowała powieść o skarbach hospodara, ile wdzięki jego córki, gdyż spytał:

— A jejmościankę hospodarównę waszmość widziałeś?

— Jušci widziałem, jeno że wtedy nie była jeszcze domężna jako jest nią pono teraz. Co zaś do starszej, która wyszła za ks. Janusza Radziwiłła, to ta była na podziw gładka.

Byłem też i na onem weselisku, które hospodar sprawił z taką pompą i magnificencyą, jakiejby się i sam cesarz rzymski nie powsty-

dził. Powiadali ludzie, że za te pieniądze, co one gody kosztowały, możnaby kilka miast kupić; bo tam i najostatniejszy ciura takiej zaznał gościnności, że i żywot poprawił, i jeszcze mieszek przywiózł do domu niepróżny. Była tam i muzyka turecka, i rozmaici skomorochy[1]) ze Stambułu, którzy takie dziwy wyprawiali, że się tego wszystkiego nigdzie indziej nie obaczy. A hospodar jegomość wszystkim suł złoto z kabzy, jakby one plewy z kreptucha.

Tak gawędząc, przejechali szmat lasu, a gdy drzewa rzednąć zaczęły, ukazała się na skraju chata, otoczona wysokim płotem, przez szczeliny którego dobywało się światło.

— Oto nasze azylum—rzekł stary, zsiadając z konia i zbliżając się do wrót przy płocie, w które zaczął kołatać bezwłocznie.

Z wewnątrz dolatywały głosy, jakby napół dzikie, napół pijane, chwilami przycichające, jakby przelęknione, to znów wybuchające szaloną orgją wesołości.

Coś się tu święci—mówił półkownik.—Pewno jacyś grasanci wyprawiają sobie gody.

I zaczął dobijać się silniej.

W chacie snadź posłyszano pukanie, bo gwar nagle ucichł, a natomiast dały się słyszeć na podwórzu ciche szepty i jakby krzątanie się kilkunastu ludzi.

Co widząc pułkownik, zakomenderował:

---

[1]) sztukmistrze, kuglarze.

— Otoczyć domostwo! Skrzesać ognia i zaświecić, bo się tu na coś zanosi.

Rozkaz wypełniono natychmiast. Żołnierze mieli przy sobie suchą faszynę, sznury, moczone w smole, i próchno, bez którego nie puszczano się w drogę. Skrzesano wnet ognia i, uplótłszy na prędce rodzaj pochodni, oświetlono niemi domostwo, podczas gdy stary nie przestawał dobijać się do wrót.

Zjawił się wreszcie żydek, który odemknąwszy wrota, zaczął witać przybyłych i, z wielką uniżonością, zapraszać do środka.

— Aj waj! co za szczęszcze! Miszlałem, co jakie burzniki, a to jaśnie panowie Polaki! Aj waj! To chwałe bogu! Czołem jaśnie panom!

Żydek był wielce pomieszany, co zauważywszy pułkownik, spytał:

A jakich to macie gości, co taki rozbrok sprawują?

— Ny, bo jo wim? — odrzekł wymijająco żydek—zwyczajnie, jak w gospodzie—kto chce, to zajedzie—i jasny pan, i żołnierz, i handlarz... bo gospoda dla wsistkich.

Co mówiąc nie przestawał prosić do środka.

Ale bystre oko pułkownika, rozejrzawszy się po podwórzu, zauważyło w kącie kilkanaście postaci, ubranych z węgierska, w krótkie, powywracane włosem na wierzch, kożuszki i obcisłe, wyszywane spodnie.

Ludzie ci, stojąc przy koniach i trzymając

je za uzdy, niespokojnymi ruchami zdradzali chęć ucieczki

Żyd bełkotał coś pod nosem, również przestraszony i, nie wiedząc, co począć, zapraszał przybyłych do chaty.

Cała ta scena wydała się staremu wielce podejrzaną.

— Co zacz są ci ludzie?—spytał gospodarza.

Ten zaczął się tłómaczyć, że nie wie, że to pewno są jacyś handlarze, jadący do Turcyi, ale zresztą „bardzo porządne łudże".

Odpowiedź ta jednak nie zadowoliła pułkownika, bowiem zwrócił się w stronę, gdzie, zbici w gromadę, Węgrzy szykowali się do ucieczki, i krzyknął:

— Hej, ludy, co zacz jesteście?

Ale tamci, zamiast odpowiedzi, widząc niezbyt wielką liczbę przeciwników, gdyż większa część została poza domostwem, obces rzucili się na żołnierzy, widocznie z zamiarem przebicia.

Polacy jednak z łatwością wytrzymali impet, a gdy wzięto opryszków na szable, rozgromiono ich w oka mgnieniu. Połowa padła na miejscu, resztę zaś pościągano żywcem z kulbak i powiązano. Poczem pułkownik rozkazał przeszukać dom, ażeby odnaleźć ukrytych.

Ale jakież było zdziwienie naszych rycerzy, gdy zamiast poszukiwanych opryszków, przyprowadzono kilkanaścioro dzieci obojga

płci, obdartych, mizernych i wylęknionych, podobnych raczej do szkieletów ludzkiach, aniżeli do istot żyjących.

Mowa ich była rozmaita: znajdowały się tam dzieci polskie, wołoskie i niemieckie, a wszystkie razem, jakby czując instynktownie, że wspólna dola je łączy, tuliły się do siebie w braterskim uścisku. Po ubraniu nieszczęśliwych również było widocznem, że nie do jednego należały stanu, gdyż niektóre miały na sobie resztki sukna i podartych materyi, inne zaś parcianemi koszulami i spódniczkami z samodziału wykazywały swe kmiece pochodzenie.

Wprowadzono dziatwę do chaty, i zaczęto karmić niebożęta. Ale biedactwa tak były wylęknione, że trzymały sie wzajem w objęciach i żadną miarą nie można ich było rozłączyć. Dopiero pojawienie się żydówki, która tem słodszym głosem zaczęła uspakajać dzieci, im więcej czuła się winną na sumieniu, obudziło w nich nieco ufności.

Żyd tymczasem nadskakiwał j. panom, kłaniał się i zapraszał na miód i cholerkę, której pokaźny gąsiorek przyniósł z piwnicy.

A to ty, żydzie, zacne procedery prowadzisz—mówił pułkownik, nieco udobruchany widokiem tak szumnych trunków—Wartcienbyś za to dyndać.

Żyd zaczął się tłómaczyć: że on nic nie winien, że mu te „burzniki" gwałtem gospodę

najechali i wypili baryłkę cholerki, przez co bardzo stratny będzie i, zakończywszy narzekania życzeniem: „żeby jego wrogi takie goście widzieli", począł rozlewać trunki.

Wobec tak niepewnej winy gospodarza, a oczywistej prezencyi napiwków, zmiękły serca rycerzom od razu. Pułkownik pociągnął haust z kusztyka i, nieco już udobruchany, zapytał:

— A co zacz są te kanalie?

— Bo ja wim? Ja onych nie znam... To pewno są martahuzy, co uni dzieci kradną.

— A gdzie je zaś prowadzą? — pytał zaciekawiony tą sceną młody husarz.

— Ja nie wiem... skąd ja mogę wiedzieć?... Uni pewno ich prowadzą do Bender, co go Turki trzymają.

Bender była to forteca nad Dniestrem, niedaleko od Czarnego morza, wystawiona przez jednego z baszów w celu rabunku. Obsadzono ją janczarami, i stąd wypadano na Wołoszczyznę, łupiąc kraj bez litości i uprowadzając jasyr, ażeby go następnie sprzedać w Konstantynopolu. Hospodarowie od czasu do czasu skarżyli się przed W. Portą na te bezprawia, ale zawsze bez skutku. Turcya uważała zawojowane przez siebie kraje, do których i Wołoszczyzna należała, jako źródła dochodu, zresztą los tych ziem nie obchodził ją wcale. Paszowie nadużywali swej władzy, zdzierali co się dało, a gdy zbyt wiele skarg nagromadziło się na nich w Stambule, mieli się czem okupić — i sprawa szła w zapomnienie.

W takich warunkach znajdując się, lud, przywykł do swego losu. Zdzierstwo wydawało mu się rzeczą naturalną, bezprawie koniecznością, przed którą pokornie uchylano czoła. Ukrywano się w górach albo lasach, szukano bezpiecznych kryjówek w zachodniej stronie kraju, jako więcej odległej od siedlisk tureckich i tatarskich, a wschodnie świeciły pustkami. Tylko żydzi umieli sobie tutaj radzić, służąc jednocześnie miejscowej władzy i ludności, a także Turkom, Tatarom i rozmaitemu hultajstwu. Ich gospody służyły jako oazy w tych pustkowiach, zarówno dla uczciwych podróżnych, jako też dla wszelkiego rodzaju rabusiów, przemytników, ludokradzców i tym podobnych procederzystów. Za ich pośrednictwem rozchodziła się po całych Wołoszech kontrabanda t. zw. „cholerki", wódki pędzonej w ziemi Siedmiogrodzkiej z owoców i jęczmienia, ulubionego trunku Wołochów; oni ułatwiali węgierskim martahuzom przeprowadzanie do Turcyi i handel żywym towarem, a także uczciwy podróżny znajdował pod ich dachem schronisko podczas słoty, mrozu lub śnieżycy. Na pozór użyteczni wszystkim, przez wszystkich byli tolerowani, potrafili zawsze wyciągnąć korzyść dla siebie i nie narazić się nikomu. Był to jedyny żywioł, umiejący istnieć w tych pustkowiach.

I tym razem udało się żydowi uniknąć zasłużonej kary. Z jednej strony zadowolenie z napotkanego azylu, z drugiej brak dowodów

uczestnictwa gospodarza w spełnieniu karygodnego czynu, wpływało na jego obronę i zmniejszało winę do minimum. A choć pułkownik groził żydowi stryczkiem, jednakże wcale o tem nie myślał.

Z martahuzami natomiast uwinięto się szybko.

Zawołani, gdy ich wzięto na pytki, zeznali, iż w samej rzeczy są dzieciokradcami, a maleństwa pochwytali w różnych stronach na pograniczu; wobec której to, tak oczywistej winy, zostali skazani na powieszenie.

Według polskich praw, martahuzów zazwyczaj rozszarpywano końmi; ponieważ jednak w drodze wykonanie takiej egzekucyi okazywało się zbyt ambarasownem, przeto ograniczono się na powieszeniu zbrodniarzy, co też natychmiast uskuteczniono.

Na gałęziach drzew przydrożnych zawiśli opryszkowie, ku postrachowi innych kompanionów w ohydnem rzemiośle.

Pozostawało tylko pytanie: co zrobić z dziećmi, potrzebującemi rychłego wypoczynku, odżywienia i troskliwej opieki. Uradzono, żeby je odesłać do Polski.

Nie byli jeszcze zbyt oddaleni od granicy. Nie dalej jak o 100 mil leżał Kamieniec podolski, a jeszcze bliżej Chocim, obronna twierdza wołoska, z której miejscowa załoga robiła często wycieczki przeciw grasującemu w tych stronach hultajstwu. Wreszcie napotkany w lesie oddział Potockiego i świeże przebycie drogi

przez naszych pancernych, oraz schwytanie opryszków dawały niejako gwarancyę, że okolica została należycie oczyszczoną z rabusiów. Postanowiono też niezwłocznie wysłać działwę do granicy.

Z tym celem zostały wyszykowane dwa wozy, z których każdy zaprzężono w cztery zdobyczne konie i, dawszy im jako eskortę kilku żołnierzy, wysłano najbliższą drogą do Polski.

Nazajutrz, skoro świt, wyruszyli nasi podróżni w dalszą drogę. Wypoczęte konie posuwały się szybko naprzód, parskając nozdrzami. Step szumiał dokoła barwnym kobiercem z burzanów i łobody. Miejscami, jak oazy, wychyłały się z pośród zieleni kępy oczeretów, nad któremi uwijając się raźno, pstre żórawie szukały sobie zdobyczy. Równocześnie z brzaskiem budziła się do życia cała przyroda, napełniając powietrze piskiem, krzykiem i brzęczeniem. Tysiące dzikich kaczek i gęsi zrywały się niekiedy z wrzaskiem i łopotem, zasłaniając przed jeźdźcami słońce i, przestraszone widokiem rycerzy, zapadały w ogromne kępy oczeretów, sterczące gdzieniegdzie, jako olbrzymie wyspy, pośród tego morza przeróżnej roślinności. Musiano miarkować jazdę, bowiem droga w stepie stawała się nużącą i, niebezpieczną dla koni. Miejscami sterczały, jak poniki, głębokie wądoły obrośnięte krzewami, w które koń wpadłszy, mógłby złamać nogę, albo jeźdźcowi karku nakręcić. To znów gdzieindziej widniały suche jary, obrośnięte kurdowatem drzewem i wpadające promienisto

do kosodrzewiastych wądołów, jako strumienie do rzek. Owdzie z pod tarninki wylatywał spłoszony „filip” [1]) i, stanąwszy słupka, zdziwiony wielce, nadstawiał ciekawie słuchy, a potem znikał w gąszczu roślinności.

Pomimo tych przeszkód, jakie im step nastręczał, posuwano się jednak dość szybko, ażeby przed nocą zdążyć do Jass. Kraj, w miarę jak się zbliżano do wołoskiej stolicy, stawał się coraz bogatszy i ludniejszy. Tu i owdzie widać było winnice, pokryte lasem winogradu, i błyszczące w słońcu szmaragdową barwą liści. W dolinach, u ich podnóży, rozsiadły się wioski, wprawdzie dość licho zabudowane, ale w stosunku do północnych części kraju, stanowiące pewien postęp. Rolnicy czyli t. zw. terrani, odziani w bluzy płócienne, przepasane powrozem, boso lub w łapciach, krzątali się około zbioru zbóż i kukurydzy, będącej głównem ich pożywieniem. Biedota ta nie jadała nigdy chleba, żując natomiast surowe ziarna jęczmienia lub kukurydzy, albo przyrządzając sobie z niej mamałygę. Całą ich ciężką pracę pochłaniał skarb hospodarski i falanga chciwych „isprawników”, którzy z rozkazu Porty, lub pod tym pretekstem, łupili lud bez litości.

— Hej, miły Boże!—ozwał się stary pułkownik do swego towarzysza—źle tym dzieciom

[1]) zając.

bez ojca, jakim winien być prawy pomazaniec Boży. Inaczej się tu pono działo ongi, za dawnych dziedziców tej ziemi; a dziś Turek i Tatar łupi, a hospodar i bojary, miast bronić, eszcze ich w tem sekundują.

— Zdradny bo też to naród, te Wołochy i nie umiejący dochować wiary swym panom. Toć ich też P. Bóg za to karze, jako oną kobuź kozacką, wżdy przeciw prawej pani i matce, R. pospolitej rebelizującą. Brałać też ona i Wołochy pod swe macierzyńskie skrzydła, niemało się przez to krwi zacnej wylało, ale i nam wiary dochować nie umieli.

— Prawda jest, jako Wołosza farmazoński naród, aleć i patronat Reipublicae nie był nigdy całkowity. Myślił król Władysław o wielkiej potrzebie z pohańcami, myśleli o niej i insi przed nim królowie, jeno do tego przyjść nie mogło, bośmy się nadto rozmiłowawszy w delicyach sielskiego żywota, dawnej fantazyi do spraw rycerskich zbyli. Nie byłby pono i Chmiel w takowe obrósł pióra, ani się zgoła uchował, gdyby nie owa dzisiejsza awersya naszej szlachty do spraw marsowych.

Młodzieniec nic nie odrzekł, a stary ciągnął dalej:

Powiadał mi raz jeden uczony mnich takową historyę o naszym narodzie, która, nie wiem, o ile może być prawdziwą, ale mi wielce smakowała. Mówił on, że ongi Polacy byli nacyą całkiem inakszą, jako są nią dzisiaj. Chodzili sobie po górach i doliznach, pasając trzo-

dy i wygrywając P. Bogu cudne piosenki na ligawkach, bez którego to instrumentum, nie było wypadku, by się króren ruszył. Między sobą żyli jako brat z bratem, a najstarszy z rodu był razem najwyższym sędzią i wojewodą. Gościnność zaś była taka, że kto wychodził z domu, to pierwej zastawiał krzynów[1]) z jadłem na stole, by jeśli się wypadkiem gość trafi w absencyi gospodarza, miał się czem pożywić i głodny od chaty nie odszedł.

Ulubił sobie też Ś-ty Michał archanioł naszą nacyę za takową fantazyę, i nierzadko wychylał z nieba swoją dostojną fizys, radując się onym piosenkom i mając ich za to w swoich świętych respektach. Aż, pewnego razu, zainfestowały naszych jakieś srogie ludy barbarzyńskie, które niearmatnym pieśniarzom srogą rzeź sprawiły. Co widząc Ś-ty Michał, zalterował się bardzo, a litując zagłady tak grzecznej nacyi bożych śpiewaków, wziął się duchem do przekowania swego miecza, którym ongi, na rozkaz Boski, wypędzał szatana z bram niebieskich, a którego długość miała być na parę mil dzisiejszych, i porobiwszy zeń miecze rozdał one między naszych, mówiąc każdemu z osobna: „Tnij, bracie, a zawdy wznak krzyża świętego".

— Dobrze waszność powiada—wtrącił młody — bowiem jest to naszego narodu przymiotem, że zawżdy tniem na krzyż inimicos.

[1]) misa drewniana.

— Rzecz słuszna — odrzekł stary — ile że takie było rokazanie Ś-go Michała archanioła· To też ,dla tej racyi, słynął przez długie lata oręż polski ponad inszych nacyi, które nie znając tak szumnego prawidła, nie umiały się zastawić przeciw mieczowi archanioła. Jeno, że nasi, uprzykrzywszy sobie marsowe rzemiosło, jęli się do rumianej Cerery aplikować, i zbywszy dawnej rycerskiej fantazyi, owe zacne miecze na lemiesze i skrody poprzekowali. I oto przyszła kara boska, jak ono pod Pilawcami, któremu podobnego sromu nigdy przedtem, jako świat światem, ta nasza R. pospolita nie zaznała.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia. Zamyślił się młody rycerz, widocznie rozważając w głowie opowieść starego, która była tak podobna do prawdy. Jechali więc, nic nie mówiąc do siebie—wreszcie ozwał się młody:

Zacnieś to waszmość skalkulował w swojej opowieści. Aleć żelazo wżdy da się przekować; a niechno znów owe lemiesze przerobim na miecze, to obaczysz, że i oną pilawiecką sromotę pokryjem i, da Bóg, będzie się jeszcze czem przed światem pochwalić.

— Oby się to rychło ziściło. Krzepkich ramion, chwała Bogu, u nas nie brak, a byle jeno była zgoda i jedność, to się one hultajstwo tatarsko-kazackie niedługo na naszej ziemi ostoi.

— Pociesz się waszmość, że to rychło

nastąpi. A wtedy będziem ciąć wznak krzyża świętego, aż się wióry posypią.

Tymczasem słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Strudzone całodzienną pracą i świergotaniem ptastwo, opuszczało się zwolna w głębokie komysze oczeretów, szukając sobie w nich schronienia na nocny spoczynek. Powoli ustawał gwar i życie w naturze. Znużeni całodziennym znojem terrani, szykowali się ku zagrodom, pędząc przed sobą stada owiec i by--ða, i smutnemi piosenki starając się umilić sobie twardą dolę wieśniaczą.

Zmęczone konie naszych podróżnych szły, podrzucając raz po raz głowami i parskając niecierpliwie, jakby w ten sposób chciały skrócić oczekiwanie i odpędzić senność, klejącą im powieki. I ludziom, i zwierzętom pilno snadź było dostać się pod dach, by wypocząć po dziennych trudach i spiekocie.

Minęli jeszcze jedną wioskę, potem drugą, aż wreszcie ukazały się wieże cerkiewne, i wkrótce podróżni nasi znaleźli się u bram wołoskiej stolicy.

O ile kraj wołoski przedstawiał się podróżnemu nędznie i ubogo, o tyle stolica, a głównie pałac hospodarski imponowały zbytkiem i wspaniałością. Przybysz z zachodu, zaraz na wstępie, uderzony został przepychem orientalnego zbytku, jaki się tu roztaczał, tego zbytku tak łudzącego pozorami, choć w rzeczywistości często nie dorównywającego zamożności innych krajów. Hospodarowie, będąc zależni od Porty i utrzymując z nią ciągłe stosunki, nauczyli się od Turków owej sztucznej pompy, która nieobeznanemu z rzeczywistością wydawać się mogła nadzwyczajnem bogactwem. Pozbawieni władzy, zależni nie tylko od sułtana, ale nawet od sług jego, bawili się rolą rzeczywistych monarchów i okazałością dworu nagradzali sobie brak powagi i znaczenia.

Obecny hospodar, Bazyli Lupul, nie różnił się w tem od swoich poprzedników, owszem nawet przewyższał ich w tym względzie. Sprytny ten człowiek potrafił, pomimo intryg swych przeciwników, utrzymać się przez długie lata na tronie hospodarskim, a jednocześnie zachowywał z Polską jak najprzyjaźniejsze stosunki.

Starszą swą córkę wydał za magnata litewskiego, ks. Janusza Radziwiłła, a starając się o indygenat polski, jednocześnie zakupywał w Konstantynopolu dom po domu, chcąc przekonać portę, że w razie złożenia go z hospodarstwa, ma zamiar osiedlić się na stałe w Stambule. W rzeczywistości sprzyjał on Polsce, i gdyby R. pospolita mogła mu zapewnić bezpieczeństwo wobec Turcyi, byłby się jawnie przechylił na jej stronę. Gdy jednak obecny stan Lechii nie dawał mu tej gwarancyi, przezorny hospodar umiał zręcznie zataić swe polskie sympatye i udać szczerą życzliwość dla sułtana.

Niemniej jednak Polacy, goszczący na dworze wołoskim, byli mile widziani, a nawet znaczniejszych podejmowano z wielką okazałością. Przybywających do Jass książąt, lub posłów królewskich, czekał na granicy liczny poczet dworzan i bojarów, umyślnie na ten cel wyprawionych, w asystencyi okazale przystrojonej milicyi. Dalej spotykał gość karetę hospodarską, zaprzężoną w 6 koni tureckich, a w niej dwóch urzędników dworu z zaprosinami na zamek. W samej zaś stolicy, rozstawione były szeregi czerwonej piechoty wołoskiej, pomieszanej z janczarami tureckimi, a przed zamkiem witały gościa tłumy zgromadzonego ludu, w różnorodnych ubiorach i najrozmaitszymi mówiące językami.

Nasz młody podróżny, niewiadomo z jakich przyczyn, pragnął zachować incognito. Ale

na dworze Lupula nawet nieznani rycerze mogli liczyć na dobre przyjęcie; bowiem rycerskość Polaków, tylokrotnie obalająca i wznosząca tron hospodarów, była tu w wysokiej cenie. Nie zapomniano jeszcze Łaskich i Sieniawskich, którzy z małemi stosunkowo siłami wielkie hospodarom oddawali przysługi.

Przeto i nasz młody rycerz, jakkolwiek niegłośnego nazwiska, mógł liczyć na dobre przyjęcie, zwłaszcza, że przybywał z okazałym orszakiem, co u Wołochów, lubiących zbytek, w wielkiem było poważaniu.

Zaraz też nazajutrz udał się do pałacu i kazał się zameldować, jako szlachcic polski, Jerzy z Podhajec.

Zjawił się wkrótce W. Postelniku, t. j. marszałek dworu hospodara, ze srebrną laską w dłoni, otoczony gronem karałaszów i służby dworskiej, w najrozmaitsze ubiory, z turecka, wołoska, z polska i tatarska przybranych, i oznajmił Jerzemu, że jego pan raczy przyjąć gościa.

Wprowadzono młodzieńca do wielkiej sali czyli „dywanu", która służyła jako miejsce obrad sądowych. Stąd przez ogromne podwoje roztaczał się widok na drugi salon, nadzwyczaj wspaniały, gdzie w dni uroczyste zasiadała okazałem kołem rada książęca, napół z brodatych tuziemców, w wysokich czapkach, z wołoska ubranych, napół zaś z poważnych Turków, w białych zawojach, złożona. Dopiero w trzecim dywanie, najwspanialej przybranym, siedział hospodar na wyniosłym tronie. Przy drzwiach

stali czauszowie, bogato poubierani, ze złocistemi halabardami w dłoniach, gotowi na każde skinienie swego księcia.

Lupul był odziany w szatę z materyi altembasowej, jako sam sultan, na której hafty złote były na cal wysokie. Na wierzchu miał cambanizzę t. j. płaszcz honorowy, podszyty sobolami, a przy nim dwie pary pętlic brylantowych, nadzwyczajnej ceny, łunę oślniewających blasków rzucających. Całość sali odpowiadała magnificencyi hospodarskiego majestatu.

Rycerz nasz przedstawił się jako szlachcic polski, którego ciekawość poznania obcych krajów i sławnego monarchy sprowadza do Jass.

Lupul domyślił się, że nietyle jego kraj i osoba, ile rozgłośna piękność córki i fama skarbów zwabiła nieznanego młodzieńca na dwór wołoski, ale widząc rycerza dobrze ułożonego, wyraził mu swe zadowolenie, a następnie zrobił kilka zapytań w kwestyi buntów ukraińskich.

Sprawa kozacka zajmowała teraz wszystkie dwory ościenne. Był nią zainteresowany zwłaszcza Lupul, który starając się o indygenat polski i mając córkę za magnatem litewskim, był tą kwestyą osobiście dotknięty. Prócz tego, Polska silna mogła go zabezpieczyć przed intrygami współzawodników wobec Porty i, swym potężnym wpływem, utrzymać go na tronie hospodarskim. Dlatego też pragnął, ażeby rozruchy kozactwa zostały jak najprędzej uśmierzo-

ne, a R. pospolita wróciła do dawnej siły i powagi.

Z rozmowy zaś z młodzieńcem dowiedział się, że Jerzy, choć młody, za piecem nie siedział, ale był w oblężeniu Zbaraża, które taką sławą okryło Jeremiego Wiśniowieckiego i wszystkich tych, co w sławnej obronie grodu czynny udział brali.

Wyraził więc gościowi powtórnie swe zadowolenie, a następnie rozkazał marszałkowi dworu, ażeby go przyjęto z należnymi rycerzom honorami.

Na tem skończyła się pierwsza audyencya, poczem W. Postelniku wprowadził młodzieńca do drugiej komnaty, gdzie gości częstowano konfiturami, kawą i fajką na długim cybuchu.

W taki sposób odbyła się instalacya młodego rycerza na dworze hospodarskim, nazajutrz zaś miał być przedstawiony żonie Lupuła i córce jego, uroczej domnie Rozandzie [1]). Śpieszył też następnego dnia do pałacu, pełen gorącej żądzy poznania księżniczki, o której nadzwyczajnej urodzie tyle pochwał słyszał.

Rzeczywistość zrobiła na nim nie gorsze od opowieści wrażenie: domna w samej rzeczy była tak piękną, jak tylko wymarzyć sobie można. Natura wysiliła się, ażeby stworzyć arcydzieło wdzięku i urody.

[1]) Domna w języku wołoskim znaczy tyle co domina—pani.

Jakkolwiek jeszcze bardzo młoda, gdyż skończyła zaledwie lat szesnaście, ale nad wiek rozwinięta, błyszczała już całą pełnią dziewiczych wdzięków, niby on pączek róży, gdy wczesne lato rozwinie nagle zwoje jego listków i zdumionym oczom ukaże skryte czary piękności i woni. Wysmukła jak pień cyprysu, o greckich rysach twarzy, okolonych zwojem bujnych, jak heban czarnych, włosów, o łukach brwi wydatnych, z pod których błyszczały głębokie jak morze, piękne ciemne oczy, niby brylanty z aksamitu. Oczy te były wprawdzie jeszcze zamglone, jakby gazą nieświadomości życia, ale z poza tej powłoki wyglądały niecierpliwie demony ciekawości, żądne jego poznania, niekiedy ogniste i dzikie jak koń tabunowy. Jakby przeciwieństwo tym oczom, stanowiła łagodność natury, miękkość i uprzejmość w obejściu, a nawet pewnego rodzaju lękliwość, wypływająca snadź z nieznajomości swej potęgi. Ale ta właśnie nieświadomość stanowiła punkt kulminacyjny jej uroku, zdolna była pociągnąć ku sobie każdego mężczyznę, zhołdować, na śmierć rozkochać.

To też nie dziwmy się Jerzemu, że od pierwszego wejrzenia został oczarowany jej cudną krasą, i poprzysiągł sobie w duszy, że ona, albo żadna inna na świecie, zostanie jego żoną.

Nie było to jednak zadanie zbyt łatwe do osiągnięcia. Chcąc zdobyć rękę księżniczki, należałoodpalić wszystkich konkurentów, a tych

na dworze w Jassach nie brakowało. Była to młodzież arystokratyczna z rozmaitych sąsiednich krajów, po większej części aspirująca nietyle do osoby młodej księżniczki, ile do skarbów jej ojca, o których, jak powiedzeliśmy na początku powieści, bajeczne krążyły wieści.

Hospodar wszystkich mile przyjmował, wszystkim robił nadzieję, ale przyparty do muru, tłómaczył się młodością Rozandy i zależnością swoją od Porty, bez której pozwolenia nie wolno było podwładnym sułtanowi wojewodom stanowić o losie swych dzieci.

Krążyły wprawdzie wieści, że domna przyrzeczona była Piotrowi Potockiemu, wojewodzicowi bracławskiemu i synowi W. hetm. koronnego, za którym miał się podobno król wstawiać, ale nie wszyscy dawali temu wiarę, zwłaszcza zaś młodzieniec, nazwany przez nas Jerzym z Podhajec.

Ten młody bohater nie lękał się współzawodnictwa, bowiem w jego umyśle „módz" wyrażało się w słowie „chcieć", on zaś zbyt gorąco pragnął, ażeby jakiekolwiek przeszkody mogły go zrazić, lub odwieść od raz powziętego zamiaru.

Nie zważając też na nikogo, zaraz wystąpił z komplementami, a następnie i do tańca prosił.

Nie podobało się to innym konkurentom, którzy mniej gładcy i obyci z damami, nie umieli sobie tak, jak on, radzić. Zaczęto się

dopytywać: „co zacz jest ów młokos, chcący wszystkich odpalić”, a skoro się dowiedzieli, że to jakiś Jerzy z Podhajec, ten i ów wzruszył ramionami, albo uśmiechnął się ironicznie z naiwności młodzieńca, któremu się zdało, że dość przywdziać na się zbroję, ażeby mieć prawo ubiegania się o rękę milionowej księżniczki.

Jeden tylko z konkurentów nie przestał się niepokoić, będąc bowiem sam ubogi, nie uznawał w innych wartości kruszcu, a Jerzego, tak szarmancko biorącego się do rzeczy, uznał za rywala bardzo niebezpiecznego.

Był to młodzian również polski, który przebywał już od dość dawna na dworze hospodarskim i potajemnie wzdychał do księżniczki. Osobistość ta małego wzrostu, cienka, z czarnym wąsem, dopiero zaczynającym się sypać na śniadej twarzy, z małą szpiczastą bródką i długimi włosami w kędziorach, z szwedzka przyciętymi, ubierała się czarno, również po szwedzku, a przytem miała nadzwyczajną łatwość zbliżenia się i zastosowania do najrozmaitszych osób. Posiadając obejście wielkiego pana, który nie miał potrzeby okazywać się dumnym, a nigdy nie był pokornym, przytem znajomość obcych języków i maniery arystokratyczne, torował sobie wszędzie drogę; a jakkolwiek nie prezentował się bogato, przybywał skromnie, bez licznego pocztu sług, był jednak przyjmowany w pałacach książęcych,

i wszędzie umiał sobie wywalczyć pewne stanowisko.

Na dworze Lupuła przebywał od dłuższego czasu, jakby pragnął przetrzymać wszystkich współzawodników, ale wyraźnie nie wyjawiał swoich zamiarów. Starał się tylko kolejno zaskarbić sobie względy zarówno hospodara, jako też jego żony i córki.

Po przybyciu do Jass naszego rycerza, natychmiast mu się przedstawił, jako Alexander Kostka ze Szternberku, i starał się wejść z nim w komitywę, a przytem wybadać, z jakimi przybył zamiarami.

Ale Jerzy nie miał bynajmniej ochoty spowiadać się ze swoich intencyi. Dał więc odpowiedź wymijającą, podobnie jak hospodarowi, że ciekawość poznania świata i ludzi sprowadza go do Wołoszech.

To zapewnienie uspokoiło na razie Kostkę ze Szternberku, ale obecnie, widząc powodzenie Jerzego u księżniczki, zbliżył się znów do niego i starał się zawiązać rozmowę.

— WMpan z których okolic?—pytał.

— Z Mazowsza, MPanie — odrzekł lakonicznie Jerzy.

Co powiedziawszy, odwrócił się i chciał odejść.

Ale Kostka zatrzymał go słowami:

— To dziwna, bowiem jam także z Mazowsza, a rodu waszmości nie znam.

— Nie tak dziwna, jako się komu zdawać może—odparł spokojnie Jerzy—ile że ze stroju

waszmości możnaby wnosić, jakoś nie bardzo w kraju zasiedziały.

— W samej rzeczy—tłómaczył się nieco skonfundowany Kostka.—Przebywając ustawicznie na dworach zagranicznych, przywykłem do obcego stroju; acz rody polskie znam, za ekscepcyą tych jeno, o których wiedzieć nie warto.

— A to snadź ja do takiego rodu należę, którego waszmości znać nie potrzeba—odparł wesoło Jerzy.—A skoro tak jest, to poco sobie próżny trud zadawać, indagując bez potrzeby?

— Nie indaguję ja W. pana, jeno wchodząc w komitywę, radbym wiedzieć z kim, co według mnie, nie powinno gniewać waszmości.

— Ja się też nie gniewam, ale i o komitywę nie proszę, zwłaszcza gdy waści niedość tego, żem szlachcic polski — odrzekł dumnie Jerzy.

— Waszmości, widzę, moja ciekawość niezbyt w smak idzie.—z czego możnaby powziąć asumpt, żeś waść nierad, jeślić o ród pytają—wycedził przez zęby Kostka.

Ale bohater nasz, niezdetonowany tem bynajmniej, odparł:

— Nie przybyłem tu samowtór, jeno w kompanii, i to dość numeroso; a z tych każdy, myślę, wywiedzie się waści nietylko z rodu, ale i szablą, jeśli wola. Co jednak, mniemam, nie wyszłoby waści na pożytek. Przeto najlepiej uczynisz, nie pytając wcale.

Kostka zmiarkował odrazu, że słowa te

stojąns się do jego małego wzrostu; czem rozgniewany wielce, odparł:

— Stawałem ja w Szwecyi z niegorszymi od waszmości, a może i lepszymi, przeto się i waścinych kompanionów nie ulęknę.

— Nie braknie tu pewno okazyi do rycerskich turniei, a skoro się pora zdarzy, można będzie śród zabawy, dotknąć i bojowej tarczy *)—odrzekł Jerzy.

I z temi słowy oddalił się, pozostawiając Kostkę z wielce kwaśnem obliczem.

---

*) Każdy, z zapisanych do turnieju rycerzy, składał dwie tarcze: pokojową i wojenną. Jeżeli ktoś dotknął pierwszej, to znaczyło, że wyzywa przeciwnika dla zabawy, jeśli zaś drugiej, wówczas goniono na ostre, t. j. na śmierć.

Nie mylił się nasz bohater, przypuszczając, że na dworze hospodara nie braknie okazyi do rycerskich popisów, bowiem Wołosza, w owej epoce bawiła się zawzięcie. Bale, polowania, gonitwy i inne nciechy następowały po sobie, jak piękne dni śród lata. Zabawom tym dodawały powabu urocze damy, w świetnych tualetach, błyszczące od złota i drogich kamieni, a nadęte jak pawie i, jak ten ptak, próżne. Tualety bojarek kosztowały nieraz krocie, a gdy naród prosty chodził w płóciennych bluzach, z samodziału, przepasywał się powrozem i żuł z głodu surową kukurydzę, racząc się tylko od święta mamałygą, żony dygnitarzy i urzędników dworskich często wydawały w przeciągu miesiąca całoroczny zarobek swych mężów, pobudzając ich przez to do nowych zdzierstw i coraz większych bezprawi.

Rozwody były tu również .na porządku dziennym. Żona bojara, zrujnowawszy jednego męża, wychodziła za drugiego, potem za trzeciego, i tak, odmieniając małżonków co lat

kilka, bawiła się dopóty, aż niepożądana starość i zmarszczki na twarzy nie przerwały tego małżeńskiego „changement“ zalotnicy.

Tak lekkie usposobienie kobiet, żądnych zabaw i błyszczenia, musiało wytworzyć atmosferę niezdrową, w której ginęły wszelkie lepsze instynkta, i kraj dążył do upadku.

Panowanie hospodara Lupuła nie było jednak najgorsze; owszem, światły ten mąż z początku usiłować opanować rozhukane żywioły, ukrócić łapownictwo i zmniejszyć bezprawie Za jego rządów wprowadzono nieco ładu w opodatkowaniu i urządzeniach wewnętrznych. I on jednak, będąc zależnym od Porty, nie troszczącej się bynajmniej o zawojowane przez siebie prowincye, zdradzany ustawicznie przez własnych bojarów, którzy nie więcej dbali o hospodarów, jak o swoich współziomków, musiał uledz w nierównej walce z przeciwnymi sobie żywiołami, i rzeczy szły po dawnemu. Rozkosz zmysłowa była tu jedynym celem życia, jej szukali wszyscy, nie troszcząc się o kraj, ani nawet o własne jutro, byleby dzień dzisiejszy spędzić jak najweselej.

Obecnie umysły całej arystokracyi zajęte były nowem widowiskiem, ma ącem się wkrótce odbyć w wołoskiej stolicy.

Był niem t. zw. karuzel, stanowiący naśladownictwo dawnych gonitw rycerskich, a urządzany z inicyatywy pewnego Włocha, bawiącego na dworze w Jassach.

Od kilku tygodni mnóstwo cieśli praco-

wało nad zbudowaniem obszernego amfiteatru, w rodzaju cyrku rzymskiego, w którym widowisko miało się odbyć. Młodzież rycerska szykowała się do popisów, składając swe tarcze i odczytując starannie wydrukowane umyślnie na ten cel przepisy turniejowe, zwłaszcza, że krążyły wieści, jakoby zwycięzcę czekała nagroda z rąk samej hospodarówny. Niejeden więc z licznych konkurentów marzył o zdobyciu tego „musztułuka", a z nim ręki uroczej Rozandy, wraz z milionami jej ojca.

Czyszczono tedy zbroje, dobierano konie, odbywano próby z orężem i, jeśli komu czegoś brakowało, rozsyłano posłańców na wszystkie strony świata.

Wreszcie nadszedł dzień upragniony.

Od samego rana zbierały się tłumy gawiedzi, żądnej widowiska. Najrozmaitsze stroje: wołoskie, węgierskie, tureckie i polskie akompaniowały tu przeróżnym dyalektom mowy pomieszanych narodowości, z jakich się mieszkańcy Jass składali; a wszystkie oczy zwrócone były w stronę, skąd oczekiwano pojawienia się książęcego orszaku.

Nakoniec ukazała się poszóstna, błyszcząca od złota, hospodarska karoca, poprzedzona orszakiem strojnych karałaszów, a za nią, równie w bogatych pojazdach, dążyło mnóstwo dam i bojarów wołoskich, w wspaniałych tureckich lub narodowych kostyumach. Nie brakło także i kontuszów polskich, bowiem, jak rzekliśmy, na dworze Lupuła chętnie Polaków wi-

dziano, a nawet zasłużonym dawano ważne stanowiska.

Cały ten orszak, nadzwyczaj strojny i okazały, zatrzymał się przed cyrkiem, a następnie rodzina hospodarska zajęła miejsca w przeznaczonej dla siebie loży, bojarowie zaś z damami w amfiteatrze; poczem dano znak heroldom, ażeby obwołali warunki turnieju i ogłosili nagrody.

Pierwszą miała być szarfa, złotem tkana, dar Rozandy, podobno własnych jej rąk robota.

Ozwały się trąby—i wnet pojawili się rycerze, wspaniale uzbrojeni, na pięknych arabskich lub tureckich koniach, którzy objechawszy arenę, stawali na boku, oczekując swojej kolei. Zdobywcą miał być ten, kto w pełnym biegu konia trzy razy kolco na kopię zadzieje.

Pierwszy wystąpił jakiś bojaryn wołoski, w bardzo pięknej kolczy, nadzwyczaj misternej roboty, na równie wspaniałym i okazale przystrojonym rumaku; ale pątknąwszy się w biegu, uderzył kopią w ziemię i, według turniejowych przepisów, musiał opuścić szranki.

Po nim stanął Węgier, krewny księcia Rakoczego, który, podobnie innym, starał się o względy księżniczki.

Ten najpierw uderzył kolco z dołu, co stanowiło pewną szansę, ale za trzecim razem nie udało mu się trafić pierścienia.

Następnie gonił, znany nam młodzieniec, Kostka ze Szternberku, lecz i ten również

z niewielkim skutkiem, gdyż trafiwszy za pierwszym razem dość szczęśliwie, następnie przeniósł sznur kopią i utracił wszystkie szanse.

Inni rycerze gonili z różnem powodzeniem, nikomu jednak nie udało się nadziać pierścień trzy razy na kopię.

Wtedy wystąpił Jerzy z Podhajec.

Ubrany był w kaftan z łosiowej skóry, na którym pozłocista kolczuga, do pasa sięgająca, znakomicie uwydatniała jego piękne kształty. Na głowie miał hełm z orłem białym i strusiemi piórami, co dodawało niezwykłej okazałości i powagi jego urodziwej postawie.

Rumak pod nim był arabski, nadzwyczaj piękny i ognisty, przybrany w rząd lśniący od złota i drogich kamieni; a siedział na nim tak dzielnie, i w ruchach młodzieńca tyle było widać siły i zręczności, iż nikt nie wątpił, że on, nie kto inny, otrzyma palmę zwycięzcy.

Zaraz też przy pierwszem uderzeniu pokazał, co umie, gdyż w całym pędzie rumaka, pierścień chwycił na kopię.

To samo nastąpiło za drugim i trzecim razem, poczem, witany oklaskami tłumów, zbliżył się do loży hospodarskiej, ażeby otrzymać zasłużoną nagrodę.

Gdy jednak zdjął hełm z głowy i przyklęknął, dawnym zwyczajem rycerskim, przed córką Lupula, ta ujrzawszy znajomego sobie, a tak urodziwego młodzieńca, okryła się rumieńcem i drżącemi rękoma zawiesiła szarfę zwycięzcy.

Nastąpiły później inne popisy, jako to: ścinanie głów manekinom, gonitwy na fakina wreszcie podlejsi rycerze popisywali się rozmaitemi sztukami na koniach, mniej więcej takiemi, jakie dziś widzimy w cyrku. W owej bowiem epoce, nie przestano jeszcze nadewszystko cenić siły i zręczności, a rycerskie rzemiosło stawiane było ponad wszystkie inne umiejętności. W ten sposób zdobywało się serca kobiet, względy przełożonych, a nawet nierzadko zaszczyty i urzędy.

Nie na żarty też potrwożyli się współzawodnicy Jerzego do ręki domny, było bowiem rzeczą prawie pewną, że ognista córa Greka i Czerkieski, ponad nich, przeniesie dorodnego zwycięzcę z turnieju. Pocieszano się wprawdzie tem, że Jerzy był nieznany, a jakkolwiek przyjechał z dużym pocztem służby i rycerzy, nie musiał być jednak znaczną osobistością, gdyż wszystkie głośniejsze rody polskie były tu doskonale znane. Hospodar zaś zbyt był rozumnym człowiekiem, dumnym i dbającym o sławę imienia, ażeby córkę oddać bylekomu.

Tymczasem pomiędzy Rozandą i naszym rycerzem, który został zaproszony do loży hospodarskiej, następująca toczyła się rozmowa:

— Grzecznie się W. M. Pan sprawiłeś— mówiła hospodarówna, topiąc w nim wzrok ognisty, od czego w sercu rycerza robiło się, jako, nieprzymierzając, w plastrze wosku, gdy

płomień go ogarnie.—Nie chciałabym być onym wrogiem, w którego W. M. Pan godzisz.

— Nie pożądam ja też niczego, jeno byś mi W. M. Panna była zawżdy przyjaciółką. Co zaś do onej wiktoryi, o którą raczysz mię Wasza Mość pomawiać, to mi się widzi całkiem inaczej, przyczytując on sukces nietyle sobie, ile pewnym oczom, co na mnie patrzały.

— Nie wydaje mi się podobnem do wiary, żeby komu cudze oczy do wiktoryi pomódz mogły—odrzekła, jakoby nie rozumiejąc słów rycerza, Rozanda.

A widząc, że Jerzy milczy, dodała ciszej:

— Jeśli zaś W. M. Pan rozumiesz, że się to przygodzić mogło, to racz mi wytłómaczyć, akim kształtem.

Bo pod takim wzrokiem—odparł z ogniem, młodzieniec—nawet najpodlejszy ciura musiałby poczuć w sobie wigor i nabrać kawalerskiej fantazyi. Co jeżeli jest inaczej, to bodajem nigdy więcej onych ślepiąt nie oglądał.

Rozanda zarumieniła się i odrzekła:

— E, niezupełnie to tak jest, jako W. M. P. powiada, boć przecie i insi o nagrodę stawali, a jednak nikt z takowym podziwieniem i aplauzem spektatorów, jako to W. M. Pan uczyniłeś.

Snadź nikomu o oną nagrodę tyle nie chodziło, ile mnie, bowiem inaczej musieliby pewno ją otrzymać—odrzekł również cicho, ale dobitnie Jerzy.

Hospodarówna umilkła i spuściła oczy.

Przyszło jej widać na myśl, że w wyborze męża wola ojca więcej znaczyła, aniżeli jej własna. Była już prawie jakby przyrzeczona Potockiemu, a jakkolwiek rodzice tłómaczyli się jeszcze młodością córki i brakiem pozwolenia od W. Porty, ale Rozanda wiedziała, że skoro ta przeszkoda zniknie, nikt się o jej wolę nie spyta, i musi zostać żoną hetmanicza.

Jednakże ciekawość niewieściej natury przemogła. Zapytała więc, zniżając głos.

— Zali W. M. Panu doprawdy tak wiele na onej nagrodzie zależało?

— Więcej jako na życiu samem!—odparł namiętnie młodzian.

A w głosie jego tyle było szczerości, że domna pokraśniała jeszcze więcej i szepnęła drżącym głosem:

— Radabym wierzyć, że tak jest, jako W. M. Pan powiada, jeno... we wszystkiem jest wola ojca, nie moja....

O tem — potem,— odparł szybko młodzieniec—a jakom się nie dał wyprzedzić innym w chwyceniu kolca, tak, da Bóg, poradzę sobie i z resztą.... bylem jeno waszą przychylność posiadał.

I widząc, że dziewica milczy, dodał goręcej:

— A toćże mi już powiedzcie jakie dobre słowo, bo stoję tu, jakby na rozpalonem żelazie.

Wtedy Rozanda pochyliła się ku niemu

i odrzekła głosem, który naszemu rycerzowi wydał się jakąś rajską muzyką:

— Myślę, że kto z tak rycerskim animuszem zdobył mój bindał, temuby się słusznie i reszta należała.

W tym właśnie czasie, współzawodnicy Jerzego wyperswadowali już sobie chwilowe obawy, i zaczęli powracać do dawnej otuchy. Lecz jakież było ogólne zdziwienie, gdy przy zapisywaniu zwycięzców z turnieju do pamiątkowej księgi hospodara, młodzieniec nasz podał swe prawdziwe nazwisko, to zaś było: ks. Dymitr Jerzy, na Załościach i Zbarażu, Wiśniowiecki.

Imię Wiśniowieckich miało rozgłośne znaczenie na Wołoszczyźnie. Przez babkę Mohilankę, Jerzy spokrewniony był z domem jednego z najzacniejszych i najwięcej popularnych na Wołoszy hospodarów, Jeremiasza Mohiły, a tem samem z obecnym domem panującym. Śmierć Dymitra i Michała Wiśniowieckich, obudwu na wojnie o Wołoszczyznę, jeszcze więcej zacieśniała ten węzeł. Samo nazwisko uż otwierało młodzieńcowi drzwi wszystkich znaczniejszych domów wołoskich, i wyrabiało mu ogólną sympatyę i poważanie u bojarów, a także u Lupuła. Wobec takiego pretendenta do ręki domny, upadało współzawodnictwo wszystkich innych konkurentów, i Jerzy stawał się panem położenia.

Niemałe także wrażenie, zwłaszcza na kobietach, sprawił sposób, w jaki młody bohater rozpoczął starania o piękną rączkę Rozandy. Poczytywano mu to za czyn wielce szlachetny że pierwej, jako nieznany, pragnął zdobyć serce dziewicy własną zasługą, a później dopiero wyjawił swe tytuły; domyślano się bowiem, że

zanim przyznał się do swego książęcego nazwiska, musiał być pewnym serca wybranej.

W tych warunkach nasz bohater zyskał sobie tak przeważne stanowisko na dworze hospodara, że zrozpaczeni konkurenci potracili głowy, i potrochu zaczęli opuszczać Jassy.

Jerzy zaś zdawał się nie troszczyć o wszystko, co go otaczało, i cały oddawał się miłości. Widziano go zawsze w towarzystwie Rozandy, dla której przeróżne wymyślał zabawy. Dwoje tych ludzi zdawali się jakby stworzeni dla siebie. Oboje młodzi, piękni, szlachetni, równi sobie majątkiem i urodzeniem, byli jako dwie gwiazdki z jednej konstelacyi, jedno jako dwa kwiaty, z jednej uszczknięte gałązki. Zdawało się, że nic tego związku rozerwać nie może, nic przeszkodzić zamierzonemu połączeniu się tych dwojga dobranych istot, chyba— śmierć tylko jedna.

O tem jednak nikt z otaczających nie myślał, a tem więcej oni sami. Nieraz, wprawdzie, hospodarowa napomykała o pozwoleniu sułtańskiem, bez którego nie można było myśleć o zawarciu ślubu, ale Jerzy tak był pewny, że swoimi stosunkami wszystkiego potrafi dokazać, nie tylko u W. Porty, ale nawet u samego Belzebuba, gdyby tego zaszła potrzeba, iż najmniejsza troska nie zasępiła czoła kochanków i, pełni najlepszej wiary, oddawali się bezgranicznej miłości.

Tymczasem z Polski niepokojące zaczęły

nadchodzić wieści. Czerń kozacka, niezadowolona z ugody zborowskiej, która Chmielnickiemu, a nie im, zapewniała pewne korzyści, podniosła bunt przeciw niemu i, obrawszy sobie hetmanem dawnego pułkownika, Daniła Neczaja, znów wypowiedziała Rpospolitej posłuszeństwo.

Jednocześnie, powróceni z niewoli, W. hetman kor. Mikołaj Potocki i polny, Marcin Kalinowski, pragnąc krwią kozacką i tatarską obmyćklęskę korsuńską, podburzali stany do wojny, w czem ich dzielnie sekundował Jeremi Winiowiecki,ș stryj naszego bohatera, od czasu rebelii nieprzejednany wróg kozaczyzny.

Polska, rozdzielona, jeszcze za Koniecpolskiego, na dwa obozy: zwolenników ugody i orężnego zakończenia sprawy kozackiej, zaczęła coraz więcej chylić się ku wojnie. Skłaniały ją do tego zarówno namowy partyi nieprzejednanych, jako też wiadomości, nadchodzące z Ukrainy, że Chmielnicki, wbrew paktom zborowskim, podniósł liczbę regestrowych do 80,000.

Było to wynikiem buntu Neczaja, z powodu którego, Chmiel, widząc się zagrożonym na hetmaństwie, musiał zadowolić żądania zbuntowanego ludu, i przyjąć do regestru drugie tyle kozaków, pod nazwiskiem „kompanijnych".

Te nowiny, a także blizkość sejmu, na który Jerzy odebrał od stryja inwitujące listy,

były przyczyną, że młodzieniec zamierzył powrócić do Polski.

Pożegnawszy więc gościnny dom hospodara i ukochaną, która jakby w jakiemś złem przeczuciu, żegnała go ze łzami w oczach, wyruszył nasz bohater, smutny i zgnębiony, ku ziemi ojczystej.

Step szumiał równie wesoło jak wówczas, kiedy młody rycerz, pełen dobrych nadziei, podążał ku wołoskiej stolicy. Te same różnobarwne burzany wyciągały doń swe kraśne główki, te same bodziaki i oczerety, rojące się od dzikiego ptastwa, to samo pogodne niebo, odbijające w sobie promienie wschodzącego słońca, a jednak wszystko wydało mu się insze, odmienne, jakieś smutne, grobowe. Nie bawiła go już piękność przyrody, ani śpiewy towarzyszów, unikał rozmowy i, jakby zapamiętawszy się w sobie, bódł jeno rumaka ostrogami i pędził, aż go hamować musiano.

— Wasza ks. Mość konie ludziom pozabija!—reflektował go pułkownik—a i moje stare kości, od takowej jazdy, do cna się rozlirotają. Czy W. ks. Mość chce nas w czambuł tatarski obrócić? Jeśli tak, to nam pierw należało popróbować fortuny na Wołoszech, albo się choć teraz wrócić do Jass i zacny jasyr stamtąd uprowadzić.

Wtedy młodzieniec mitygował się i wtrzymywał konia, ale na to jeno, żeby za chwilę powrócić do dawnego zapamiętania.

Mijano szybko wsie, rzeki i futory, robiąc tylko niekiedy krótkie popasy; a że tym razem jechano bitym gościńcem, przeto po paru dniach podróży, minąwszy Czerniowce, znaleziono się na polskiej ziemi.

W tym samym czasie, kiedy Jerzy dążył z Jass do Polski, drogą ku Czehryniowi jechało kilku jeźdźców. Jeden z nich młody, z szwedzka przybrany, był to znany nam Kostka ze Szternberku, dwaj inni zdawali się być jego ludźmi służebnymi, a czwarty wyglądał na semena, przydanego widocznie dla wskazania drogi podróżnym.

Jechali szybko, jakby z ważnem posłannictwem, co jednak nie przeszkadzało młodzieńcowi wypytywać semena o różne szczegóły, dotyczące życia Chmielnickiego i jego stosunku do Polski.

Kozak, zręcznie badany, dawał odpowiedzi, stosownie do własnych poglądów i inteligencyi, niedość jasne, niekiedy nawet śmieszne, co jednak nie zrażało Kostki, gdyż ponawiał pytania, jakby mu wiele na poznaniu tych szczegółów zależało.

— A wasz ataman teraz mieszka na zamku czy w ogrodzie?—pytał zwracając konia ku semenowi.

— Taj teper na zamku — brzmiała odpowiedź — Koły my Lachiw prognały, tak korol

nam daw wsiu zemlu i bat'ku kazaw nam panowaty, a paniw ne słuszaty, tolki sia korolu jehomosti pokłonity, taj Bohu służyty i Tatariw wojowaty.

— To wy króla jegomości słuchacie?—dopytywał Kostka.

— A koho że by miały słuszaty? Taże korol jehomost, dobry pan i kozakam nie woroh, tolki pany ne choczat joho słuszaty i nas, bidnyj narid, presledujut.

Co powiedziawszy, poprawił frasobliwie jałom na głowie. Po chwili spytał:

— A wy z czom do naszoho bat'ki jedete Koły pysma od korola wezete?

— Tak jest—wiozę listy królewskie i dla was lepszą dolę przynoszę. Wkrótce skończą się już wasze cierpienia.

— Sława Bohu!—odparł dobrodusznie kozak. Oj, szczoby sia ta wojna skonczała i szczob skoro stała sia nam sprawedływost! A tak i pany bijut, i Tatary łupiat, i jasyr berut, i atamany sami sia meż soboju bijut, a narid wsio terpyt taj terpyt.

— Wkrótce się już wasza bieda skończy—pocieszył go Kostka — jako już obce potencye zaczynają się waszą sprawą zajmować i pragną wojsku wymierzyć sprawiedliwość.

Kozak, niezmiernie ucieszony tą wiadomością, uznał za stosowne z większym jeszcze, aniżeli dotąd, szacunkiem traktować przybysza, tak pomyślne na Ukrainę przywożącego nowiny.

— Sława Bohu!—mówił uradowany—szczo wsiudy znajut wże nasze krywdy i pomogut

paniw rizaty. Boh to dał naszomu bat'ku wy·igraty sławnu wojnu z panami. Oj, narizali my ich, narizali; tolki teper korol ne pozwalajet bilsze wojowaty.

— A u was dużo narodu?—

— Oj, je, pane, bohato!.. je i naszych i Tatariw. Kołyb buła wojna, to paniw pobijemo. Teper państwo Lachiw pereszło do nas, dobrych mołojcew, bo staryj korol [1]) ne wmer, ale żyw z Łytwy do naszoho wojska pryjichaw; a w wojsku je tolki try namioty: odin dla Boha taj i dla wojska, druhi dla korola jeho mylosti, do kotroho tolki bat'ko chodyt, a treti dla neho samoho.

— I któż to wam mówił, że stary król nie umarł? — dopytywał ciekawie młodzieniec.

— Ot u nas wsi ludy tak każut; szczo pany ne hoteli korola słuszaty, tak jeho mylost ujszow z Warszawy i do nas, dobrych mołojcew, przyjichaw, szczoby nam korolowaty.

Była w tem opowiadaniu semena pewna nielogiczność, bowiem kazacy słuchali rozporządzeń Chmiela, a zatem, według pojęć opowiadającego, starego króla, a także poddawali się nowemu monarsze, Janowi Kazimierzowi. Ale prosty kozak snadź nie zastanawiał się nad sprzecznością tych pojęć, w których jednak tkwiła prawda historyczna; nierząd to bowiem panów i sprzeciwienie się mądrym projektom

---

[1]) Władysław IV. Słowa historyczne.

Władysława IV sprowadziły na Polskę ową kozacką rebelię, co miała ją wciągnąć w długie wojny, wyczerpać siły żywotne, i na długie lata pogrążyć w zastoju moralnym i politycznym, stając się następnie przyczyną upadku.

Rozumiał to może przybyły, ale nie tłomaczył semenowi. Dla intencyi, z jakiemi przyjechał, były te pojęcia snadź dogodne, bowiem rzekł:

— Przeto mówicie, że król nie umarł?

— Tak ludy każut, a meni sia zdaje, szczo prawdu każut—odparł dobrodusznie kozak.

Sentencyę zaś swoją poparł argumentem:

— Bo jesłyb to ne buła prawda, toby lu dy ne howoryły.

— A to czemu króla z Warszawy słuchacie, kiedy stary u was żywie? — zapytał znów przybyły.

— Toho ja, pane, ne znaju — odparł z tą samą dobrodusznością semen. — Tak każut bat'ko Chmielnicki i atamany, a koły ony tak każut, to wże ne może buty inacze.

Taką prowadząc rozmowę, zajechali nasi podróżni do Czehrynia. Tu, śród brudnych ulic, zarzuconych resztkami ludzkiej i zwierzęcej strawy, kałem i przeróżnymi śmieciami, snuły się tłumy kozactwa i pijanej czerni. Gdzieniegdzie widać było wałęsające się, lub siedzące w grupach po turecku dzikie postacie napół nagich obdartusów, z puszcz i stepów ukraińskich, czabanów, okrytych niewyprawnemi skórami, warzących sobie strawę przy ogniskach

i wyjących ochrypłymi od wódki głosami, swe ulubione „chorowody". Atmosfera przepełniona była gorzałką i wstrętnymi wyziewami, od których mierziło z daleka.

Przejechali most na Taśminie i skręcili ku wyniosłemu horodyszczu, gdzie na sinem tle nieba rysował się zamek warowny, o kilku basztach, wybudowany niegdyś przez Aleksandra Wiśniowieckiego, a obecnie służący za rezydencyę Chmielnickiemu, który sobie to miejsce, jako w stronach jego rodzinnych położonem głównie upodobał.

Przed bramą zatrzymały podróżnych warty, ale gdy semen objaśnił: „szczo poseł do batka prybywajet"—wpuszczono ich do wnętrza.

Jechali więc przez dziedziniec, na którym, śród śmieci, walały się armaty, jaszcze do amunicyi, kule żelazne i kamienne, telegi i mnóstwo przeróżnych rupieci, zrabowanych na szlachcie, ku właściwej sadybie hetmana, mieszczącej się w głównym pawilonie. Otaczały go warty Zaporożców, rodzaj przybocznej gwardyi atamana, w czerwonych hajdawerach i przestronnych giermakach, z szablami przy boku i pikami w ręku.

Po krótkiej wymianie słów z semenem, wprowadzono gościa do obszernej sieni, stanowiącej poczekalnię w rezydencyi Chmielnickiego, a niezadługo potem do jego gabinetu.

Była to izba dość licha, jak wogóle całe wewnętrzne urządzenie zamku, gdyż dzisiejsi właściciele jego, Koniecpolscy, nigdy tu nie mieszkali.

wprawdzie Chmiel, uczyniwszy zamek swoją rezydencyą, starał się przystroić pokoje rozmaitymi, na panach zrabowanymi, sprzętami; ale że jedno było od Sasa, a drugie od lasa, przeto brakło tu gustu i harmonii, koniecznych warunków piękna. Tak więc obok okna, w którem, zamiast szkieł tkwiły błony pęcherzowe, stał inkrustowany zegar gdański, a na popękanych i bielonych wapnem ścianach wisiały obrazy włoskich malarzy, lub piękne gobeliny, godne królewskich pokoi.

Skoro Kostka wszedł do komnaty, Chmielnicki siedział przy biurku, starając się nadać swej postaci wyraz powagi i majestatu; chociaż pod tą przybraną maską kryła się ciekawość i sporo niepokoju. Jego krwawe, skośne oczy błyskały niespokojnie z pod krzaczastych brwi, obrzucając przybyłego spojrzeniem pełnem przenikliwości, a leżąca na stole ręka poruszała nerwowo palcami, zdradzając wewnętrzny niepokój.

Powitał uprzejmie gościa, który mu się przedstawił, jako Aleksander Kostka z Sziernberku i, mieniąc się posłem księcia siedmiogrodzkiego, oddał hetmanowi list od tegoż.

W liście tym Rakoczy polecał młodzieńca Chmielowi, jako człowieka zdolnego i mającego na dworach europejskich stosunki, oraz zapewniał sprzymierzeńca o swej życzliwości dla sprawy kozackiej i przyjaźni dla jej apostoła.

— To waszmość aż z Siedmiogrodzkiej ziemi do nas przybywa? — spytał Chmiel, któremu zarówno list Rakoczego, jako też pań-

skie obejście Kostki zaimponowały nielada.

— Nie całkiem wprost, — odrzekł zagadnięty, korzystając ze sposobności, ażeby się swymi stosunkami pochwalić—bowiem wstępowałem po drodze do Jass, gdzie na dworze hospodara Lupula gościłem.

— Sławny to hospodar, jegomość Lupuł — mówił Chmiel, chcąc pokazać przybyłemu, że dwory panujące nie są mu obce, przynajmniej z nazwiska. — Znam, znam. Bogatyj to pan szkoda tolki szczo ne rycerskij.

Ta ostatnia uwaga miała podnieść wartość Chmielnickiego, który od czasu bitwy korsuńskiej, miał się za wielkiego wodza i lubił, żeby go drudzy za takiego uważali.

Spostrzegł to sprytny młodzieniec, i nieomieszkał skorzystać ze sposobności przypodobania się kozakowi.

— Oczywiście — rzekł — jedni łakną bogactw i o nie solicytują, jako J. M. hospodar wołoski, insi zaś kochają się w sławie, jako W. M., mości hetmanie, one nad bogactwa przenosząc.

Ta zręczna odpowiedź wielce była Chmielowi po myśli. Wyprostował się dumnie i rzekł:

— Boh mi to dal i mij brat, dusza moja, sokół mij, Islam Girai, car ordy krymskoj [1]).

— Pan Bóg wżdy na tych łaskaw, co w słusznej sprawie oręż podnoszą — wtrącił od niechcenia Kostka.

---

[1]) słowa historyczne.

Chmielnicki podniósł na mówiącego swe krwawe, przenikliwe oczy i rzekł dobitnie:

— Tak to i je. A szczo nasze krywdy buły weliki, to wsie ludy znajut.

Ale snadź wygłoszona przez hetmana sentencya nie znajdowała potwierdzenia w jego własnem sumieniu, bo zmienił nagle temat rozmowy, i zapytał:

— To waszmość taki zna hospodara Lupuła?

Młodzieniec odparł skromnie, że nie tylko zna hospodara jegomości, ale nawet całą rodzinę, której przyjaźnią i względami ma honor się szczycić.

— A tam u niego krasna dońka — mówił, śmiejąc się ataman—Waszmość młody, tak może szczo z toho bude...

Kostka zarumienił się po uszy, ale zaczął upewniać Chmielnickiego, że mu to małżeństwo wcale nie w głowie.

— Domna jeszcze młoda—mówił—a przytem hospodar wydać jej za mąż, bez pozwolenia Porty, nie może; przeto choć wielu przysyła do Jass dziewosłęby, nietyle pono córki, ile skarbów ojcowskich łaknąc, ale to wszystko próżno; bowiem hospodar snadź inaczej myśli, skoro się wszystkim młodością córki składa.

— Takto i u nas ludzie mówią, ale wże pryjde pora pannije, a wtedy ojca, matku rzuci, a za mylym pobieżyt. Takto zwykle na świecie

Po małej zaś przerwie dodał:

— Powiadają, szczo tam młody Potocki

smali cholewki, i jakoby nań hospodar jegomost' ne buw kryw.

Twarz młodzieńca okryła się znów purpurą, i odrzekł szybko:

— Od ludzkich baśnień do prawdy wżdy daleka droga; acz każda fabuła kszynę onej w sobie mieści. Radziby Potoccy posmakować skarbów hospodarskich, ale nie im się one dostaną.

Na obliczu Chmielnickiego mignęła błyskawica radości. Rad był w duszy, że owe łupułowe skarby, o których tyle mówiono, nie dostaną się synowi hetmana koronnego; bo choć nie czuł do Potockich osobliwej nienawiści, ale znając dumę panów polskich obawiał się ich zemsty za korsuńskie upokorzenie.

Spytał też ciekawie:

— A szczo to, je kto drugi?

— Oczywiście, jest... kniaź Dymitr z Załośców, któremu hospodarówna wielce rada, i ojciec pewno przeciwny nie będzie.

Na te słowa twarz atamana sponsowiała. Oczy krwią mu nabiegły i wyraz nieopisanego gniewu odmalował się na jego nabrzękłych policzkach. Uderzył ręką w stół z całej mocy i ryknął głosem zranionego tygrysa:

— Na pohybel-że jemu, wrażemu synowi! Na pohybel im wsiem lacham proklatym!

Wnet jednak pohamował dziki gniew, którym mu, na dźwięk imienia nieprzejednanego wroga, wezbrały nagle piersi i, zoryentowawszy

się, że ma przecież ze szlachcicem polskim do czynienia, o którym jeszcze nie wiedział, na co mu się przydać może, rzekł spokojnie i niemal słodko:

— A waszmość z których Kostków?

Młodzieniec się zawahał. Mając świeży dowód tak srogiej nienawiści hetmana do braci herbowej, nie uważał za rzecz stosowną przyznawać się do sławnego imienia Kostków; ale ponieważ przyszedł z planem gotowym, przeto postanowił od razu przystąpić do rzeczy. Wspomniał więc krótko o sympatyi zmarłego króla[1]) do kozaków i chęci ulżenia ich jakoby ciężkiej doli, a następnie wyznał, że jest naturalnym synem Władysława, i przybył do Chmielnickiego w celu uzyskania pomocy przeciw panom, którzy go od tronu i sukcesyi po ojcu odsunęli. Nadmienił także, że w Szwecyi uznają jego słuszne pretensye do korony polskiej i nawet gotowi orężem poprzeć sprawę wydziedziczonego królewicza, gdyby zaszła tego potrzeba. Co zaś jeśliby się stało z pomocą Chmielnickiego, to on Kostka, nie omieszkałby wywdzięczyć mu się za to daniem wszelkich swobód i przywilejów kozakom w ogólności, Chmielnickiemu zaś w szczególności.

---

[1]) Władysława IV.

Hetman zaporoski słuchał gościa swego uważnie, a jako człek przebiegły, od razu ocenił położenie z punktu osobistych korzyści. Pretensye nieznanego młodzika do tronu polskiego wydały mu się śmieszne. Wiedział jednak z praktyki, że w dyplomacyi nietyle wygrywa się wielkimi argumentami i słusznością sprawy, ile zręcznem jej symulowaniem i umiejętnem wyzyskiwaniem sytuacyi.

Ten nowy kandydat do korony, bądź co bądź, był dla niego dobrym nabytkiem: mógł mu posłużyć za pretekst do nowej rebelii, gdyby się zdarzyła odpowiednia chwila, a zarazem stać się w ręku hetmana postrachem zarówno dla króla, jako i dla panów koronnych. Przytem ułożenie młodzieńca, obytego w świecie, podobało mu się, i postanowił zatrzymać go w Czehryniu, choćby tylko dlatego, żeby syn jego, nieokrzesany Tymofiej, nabrał przy nim ogłady, co hetmanowi niemało leżało na sercu. Odrzekł więc Kostce, że sprawę jego musi pierw rozpatrzyć należycie, bowiem jakkolwiek pretensye wydają się słuszne, jednakże popieranie ich musiałoby pociągnąć za sobą długą wojnę, co do której on, Chmielnicki, musi się pierw obliczyć z siłami i przygotować. Tymczasem więc ofiaruje mu tylko u siebie gościnę i prosi, ażeby, nie zdradzając przed nikim swego incognito, czekał cierpliwie „szczo Boh da".

Tak zakończyła się audyencya Kostki

z Szternberku u hetmana zaporoskiego, który wyznaczył mu kwaterę w swoim zamku, aby układnego młodzieńca mieć blizko siebie i korzystać tymczasem z jego ogłady, zanim nadarzy się sposobność lepszego spożytkowania jego osoby.

Chmielnicki, od czasu ugody zborowskiej, nadającej „szlachetnie urodzonemu hetmanowi zaporoskiemu" storostwo czehryńskie, wyrósł na wielkiego pana. Ufny w swe siły i pomoc tatarską, przekonawszy się o niezgodzie szlachty i niedołęstwie hetmanów, zaczął się uważać za władcę całej Ukrainy.

Jak każdy człowiek, któremu szczęście nagle sprzyjać zaczęło, przecenił własne siły, a może tylko butą chciał zagłuszyć w swem sercu lęk, jaki doń niekiedy zazierał. Bądź co bądź urządzał się w swem Czehryniu, jako udzielny książę i pragnął sobie stworzyć dwór na sposób magnacki.

Do tego jednak potrzeba mu było ludzi ukształconych i obytych ze zwyczajami i urządzeniami dworów wielkopańskich, a tych hetmanowi brakowało.

Oprócz Wyhowskiego, szlachcica z dawnych bojarów Rusi, którego zrobił swoim sekretarzem, oraz pereasławskiego pułkownika Tetery, rodem z Podlasia czy też z Litwy, nie było przy Chmielnickim żadnej istoty wykształceńszej, gdyż do tych nie można było zaliczyć

fałszywego patryarchy, przybyłego z Konstantynopola, jakoby z błogosławieństwem dla Chmiela i odtąd przy nim pozostającego, a także Hansa, wiedeńskiego zegarmistrza, który był podskarbim hetmana. Zresztą otaczali go ludzie prości, kozacy i czarownice, które podczas pokoju snuły swemu panu szczęśliwe wróżby na przyszłość, a w czasie wojny, uzbrojone jak mężczyźni, robiły czary i zachęcały kozaków do bitwy.

W takich warunkach, inteligentny i obyty na dworach książęcych Kostka, był dla Chmielnickiego doskonałym nabytkiem, i hetman zaporoski gotów był oddać mu najpierwsze zaszczyty, byleby młodzieniec zechciał przy nim pozostać i urządzić mu dwór na wzór magnacki, a syna jego, nieokrzesanego basałyka Tymofieja, wykształcić na układnego młodzieńca.

Zaraz też nazajutrz postanowił zapoznać młodych ludzi, i w tym celu, urządził ucztę familijną, na której była zebrana cała rodzina hetmana.

Prócz powyższych osób, do blizkich hetmana zaliczyć jeszcze należy panią Chmielnicką, ex-żonę imć podstarościego Czaplińskiego, oraz kilka dam z jej fraucymeru, a w szczególności panią Haśkę Karpińską, osobę, z powodu swej tuszy, wielce okazałą, a przytem bardzo wymowną, zwłaszcza gdy sobie podpiła; co zresztą można jej było policzyć za stałą zaletę, bowiem pani Haśka rzadko bywała

trzeźwa, podobnie jak cały fraucymer atamanowej, którego była ochmistrzynią.

Kostka po raz pierwszy w życiu znalazł się w podobnem gronie, ale, jako człek bywały, nie pokazał najmniejszego niezadowolenia przeciwnie starał się być dla mężczyzn grzecznym, a dla dam szarmackim, pamiętając o przysłowiu: „my rządzim światem, a nami kobiety” jako i o tem, że przez białogłowy nieraz otrzymuje się to, czegoby w inny sposób zdobyć się nie udało.

Takie zachowanie się młodzieńca wprawiło w zachwyt cały fraucymer, nie wyłączając ochmistrzyni, damy już nieco podeszłej w lata, ale z sercem gorącem i na kochanie wielce czułem, a nawet samej hetmanowej, która, przeąwszy się już obyczajami kozackimi, trącała Kostkę łokciami i szczerzyła doń białe zęby.

Ta konfidencya żony niebardzo podobała nią Chmielowi, bowiem romansowy kozak ukochał tą cudzą niewiastę nad wszystko i był o nią zazdrosny. Wiadome są spory Chmielnickiego z podstarościm Czaplińskim i prześladowania tego ostatniego, które spowodowały ucieczkę setnika na Niż, a następnie rebelię kozacką. Wszystko to było przez ową Czaplińską, która, będąc z natury lekką, nie umiała dochować wiary żadnemu i, porzuciwszy kozaka dla szlachcica, zdradzała potem tego ostatniego, wywołując przez to niesnaski i spo-

ry, co w następstwie zakłóciło spokój całej R. pospolitej.

Jedynie takt, jaki Kostka okazywał w stosunku do hetmanowej, powściągnął Chmiela od wybuchu gniewu, którym się łatwo unosił a zarazem obudził w nim tem większą estymę dla młodzieńca, tak powściągliwego i pełnego powagi.

— Ot tobi takim byty — szeptał do syna, ukazując mu szlacheckiego młodzieńca.—Nie czerńcom brody opalać i kupatsia w dziogtiu. Wtedyby tobi można było żenić się z jakową bosarką, i ostaty czołowikom.

W umyśle hetmana zapor., po ostatnich ukcesach wojennych i paktach zborowskich, zaczęły się budzić marzenia dynastyczne. Radby był ożenić syna z jaką możną szlachcianką i zapewnić mu po swojej śmierci, jeśli nie księstwo ruskie, to przynajmniej hetmaństwo kozackie. A tu, jakby na przekor ojcu, Tymoszek nie nadawał się do niczego. Mały, ospowaty, pozbawiony wszelkiej inteligencyi, najczęściej milczał, gdy o czem radzono, a jeśli się odezwał, śmiech tylko wzbudzał między słuchaczami. Kozacy zwali go paliwodą, macocha gamoniem, a u Polaków nosił miano nicdobrego, łotrzyka. Najulubieńszem zajęciem jego było bicie się z kozakami w palcaty, albo też płatanie ludziom figli takich, jąk opalanie bród pijanym czerńcom, smarowanie im wąsów różnymi brudami i t. p. Macochy swej wielce nie lubił i ciągle się z nią kłócił, za co ona

mściła się przy każdej sposobności, i starała się zniechęcić doń ojca, co jej się w części udawało.

Do Kostki poczuł Tymofiej od razu wstręt nieprzeparty, zwyczajnie jak człowiek nieokrzesany, a mający się za coś, do inteligenta. Zazdrościł mu ułożenia i względów u niewiast, do których sam nie miał szczęścia i, traktując gościa z lekceważeniem, chciał sobie w ten sposób dodać fantazyi.

— A szczo to waszmost nosyt u pochwy? — pytał wskazując szpadę Kostki — koły to rożen do nadziania kury?

— Można nadziać i kurę — odrzekł spokojnie Kostka — ale można także przewiercić nim dudka, jeśli się zbyt naprzykrza.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem, a Tymoszek zdetonowany, nie wiedząc co odpowiedzieć, rzekł:

— A to waszmost umije bronią robity?

— Stawałem w Jassach o lepsze z ks. Dymitrem z Załośców w karuzelu, co go hospodar jmść dla nas urządził; i gdyby mi się koń nie był potknął, byłbym wziął pierwszy dank, bom już miał dwa kolca przed drugimi.

Nazwisko ks. Wiśniowieckiego i nieznane Tymofiejowi wyrażenia rycerskie do reszty go zdetonowały, tak, że uznał za stosowne zamilknąć; ale do Kostki powziął tem większą nienawiść.

Stary zaś Chmiel pytał:

— A szczo to tam buło takoje?

— Były gonitwy do pierścienia, na sposób włoski—odrzekł Kostka—które są u nas mało znane.

— I to kniazik pobił wsich? — pytał kwaśno Chmielnicki.

— Pobił — nie pobił — mówił chełpliwie Kostka.—Bo żeby mi się koń nie był potknął, to byłbym wziął przed nim nagrodę, co była z rąk hospodarówny.

Wspomnienie synowca nieprzejednanego wroga rebeliantów i pana licznych włości na Ukrainie zasępiło Chmielnickiemu oblicze. Przywodziło mu ono na myśl niepewną pozycyę hetmana zaporoskiego i możliwą jej utratę. Ten „kniazik“, jak go nazywał Chmielnicki, był przecież jeszcze dość silny, miał poważny głos w radzie królewskiej i na sejmie, a szlachta po prostu go uwielbiała. Chmielnicki udawał, że lekceważy swego wroga, ale w rzeczywistości bał go się jak ognia, czuł bowiem, że ten kniazik, gdyby mu oddano wielką buławę, może stać się jego zgubą.

Wprawdzie Jeremi miał w senacie możnych przeciwników, z królem na czele, a utraciwszy niejako, z powodu rebelii kozackiej, ogromne posiadłości na Ukrainie, stawał się mniej groźnym, ale bogate ożenienie synowca mogło go nagle postawić na nogi, a wówczas... Chmielnicki wiedział, że w Polsce nie brak szabli i dzielnych ramion, coby ich z chlubą użyć umiały, brak tylko zgody i porządku, a nadewszystko energicznej dłoni, którąby wpro-

wadzała ład pomiędzy zwaśnione żywioły. Panowie kłócili się między sobą, a obydwie buławy, wielka i polna, były w rękach niedołężnych hetmanów; król, choć mu na dobrych chęciach i dzielności nie zbywało, nie był genialnym wodzem i dlatego nie miał u szlachty i rycerstwa popularności; z panami również nie umiał żyć w zgodzie, robił im na przekor, a oni mu się pięknem za nadobne odwdzięczali, na czem Rpospolita nieosobliwie wychodziła. Ale gdyby nagle chwycił buławę taki wojak jak Wiśniowiecki, i zechciał wesprzeć króla, wówczas na Chmiela wybiłaby ostatnia godzina.

Na to przykre wspomnienie wzdrygnął się stary lis i powiódłszy błędnym wzrokiem po swojej rodzinie, siegnął po butelkę, do któktórej, od czasu ucieczki na Niż, coraz częście zaglądał w chwilach strapienia.

Wódka go rozwesellła i rozegnała ponure myśli. Kazał zawołać czarownic i, posadziwszy je za stołem, obok siebie, zawołał:

— Hej, worożyhy! my znajem szczo je, a szczo bude—wy howoryte.

Wiedźmy pośpieszyły spełnić życzenie swego pana i zaczęły mu snuć przepowiednie szczęśliwej przyszłości, któremi ukołysany Chmiel, poszedł wkrótce legnąć w kącie na skórach, w ten sposób zakończywszy ową ucztę familijną.

Tymczasem z Warszawy zaczęły nadchodzić do Czechrynia coraz więcej niepokojące wieści. Szlachta, niezadowolona z paktów zborowskich i poduszczana przez panów, którzy bojąc się powrócić na Ukranę, tracili z dóbr tamtejszych intraty, zaczęła sejmikować. Oburzenie nie miało granic. Wszyscy byli zdania, że z Chmielnickim należy raz skończyć i przywrócić dawny porządek w Rpospolitej. Zapał wojenny ogarnął wszystkie umysły, tak, że nawet dotychczasowi ugodowcy czuli potrzebę boju i głośno się za nim oświadczali.

Zwołany wkrótce sejm wielki do Warszawy również postanowił wojnę. Na pakta zborowskie oburzali się wszyscy i zaledwie krótką wzmiankę o nich pozwolono wciągnąć do konstytucyi. Kanclerz Ossoliński, głowa zwolenników ugody, stał się przedmiotem ogólnej nienawiści. Rozwścieczona szlachta o mało nie porąbała go szablami, gdy przeciwnie, ks. Jeremi Wiśniowiecki, od chwili buntu nieubłagany wróg kozaczyzny, przyjmowany był wszędzie owacyjnie i wynoszony pod niebiosa.

Wszystko dążyło ku wojnie.

Te wiadomości przeraziły bardzo Chmielnickiego, zwłaszcza, że na Ukrainie również panowało niezadowolenie. Ugoda zborowska dawała wiele hetmanowi, ale nie ziszczała marzeń rozbałamuconych łatwemi zwycięstwami kozaczych umysłów i czerni. Pakta pozwalały tylko na 40,000 regestrowych, tymczasem kozaków było przeszło sto tysięcy, nie licząc czerni, która wynosiła dwa razy tyle; a cała ta falanga niepowołanych rycerzy, rzuciwszy rolę i wszelkie zajęcia, chciała również korzystać z praw, przyznanych regestrowym, i żyć kosztem Rpospolitej.

Tłumy te, głodne i wiecznie pijane, buntowały się ustawicznie i nakłaniały swego bat'kę do rebelii, zapewniającej im bezkarny rabunek, a gdy im tego odmawiał, groziły mu zrzuceniem z hetmaństwa.

Wobec tych mas dzikiego, rozkiełznanego motłochu, Chmielnicki stawał się bezsilnym. Czuł dobrze, że ani on, ani Rpospolita, ani nikt na świecie nie byłby w stanie zaspokoić ich żądań, zaś do pracy nakłonić się nie dali. A jednak trzeba było coś zrobić; należało ująć ich w pewne karby, doprowadzić do jakiegoś porządku, a jednocześnie utrzymać w życzliwości dla sprawy kozackiej. W jakiby zaś sposób można tego dokonać, ani hetman, ani jego doradzcy nie wiedzieli. Powrócić ich dawnym panom—znaczyłoby wyzbyć się siły, a nawet w danym razie, obrócić ją przeciw sobie, pozwolić zaś na dalsze grabieże kraju—było zer-

waniem paktów zborowskich i pociągało za sobą wojnę, któraby w rezultacie musiała przynieść hetmanowi upadek.

W tem trudnem położeniu, nie mając ze strony polskiej nawet gwarancyi dotrzymania ugody zborowskiej, ta bowiem wtenczas dopiero nabierała prawnego znaczenia, gdyby ją sejm zatwierdził, niepewny trwałości tatarskiego przymierza, mając nad karkiem bunt czerni i kozactwa niepomieszczonego w regestrze, Chmielnicki uczuł potrzebę wsparcia się na czemś, pozyskania stałego gruntu pod nogami. A gdy się obejrzał wokoło, przyszła mu na myśl hospodarówna wołoska Rozanda i jej milionowy ojciec, Bazyli Lupul.

Ożenić Tymoszka z Rozandą i posiąść skarby jej ojca, a potem wyzuć starego, pod tym pretekstem, z trónu, i samemu nim zawładnąć, stało się odtąd marzeniem zaporoskiego hetmana.

Nie był to projekt nie do wykonania. Hospodarstwo wołoskie nazywano w Polsce „przepiórczem polem“ dlatego, że było, tak jak ono, nietrwałe. Wołosi, nie mając własnej dynastyi i nie mogąc sami wybierać hospodarów, niewiele o nich dbali; sułtan zaś, jak już powiedzieliśmy, nie troszczył się o zawojowane prowincye, pozostawiając ich rządy swym urzędnikom, na czele których stał W. wezyr, zawsze przekupny i niedbający o interesa zwyciężonych ziem i ich panów. Tron więc wołoski uważany był ze strony Porty, jako rzecz do

sprzedania, ze strony zaś pretendentów, jako intratny interes do nabycia, w kupnie którego kandydaci licytowali się wzajemnie. Zwykle otrzymywał ten, kto najlepiej zapłacił lub największy, z jakichś innych względów, przedstawiał dla Turcyi interes.

Chmielnicki, jako przeciwnik Polski, sprzymierzeniec i przyjaciel Tatarów, a tem samem W. Porty, obiecujący sułtanowi przeprowadzić całą Ukrainę i nawet Ruś na łono kościoła muzułmańskiego, mógł mieć powne szanse pozyskania Turcyi dla swoich celów, zwłaszcza, gdyby miał w ręku jakiś pretekst, usprawiedliwiający zrzucenie z tronu obecnego hospodara. Takim zaś pretekstem mogły być prawa jego syna, w razie gdyby się z Rozandą ożenił. Resztę spodziewał się zrobić pieniędzmi, a te znów miał nadzieję wydusić z Lupuła, bądź jako posag, dany Tymoszkowi z córką, bądź też postrachem, czy w jakikolwiek inny sposób, co już było, według jego rozumowania, łatwiejsze do przeprowadzenia.

Hospodar wołoski był doskonałym administratorem, bardzo sprytnym i przebiegłym człowiekiem, ale niewojowniczy, nie miał dostatecznej armii, ani dowódców, żeby się połączonej kozacko-tatarskiej nawale oprzeć, zwłaszcza, że bojarowie i naród, jak już powiedzieliśmy, niebardzo dbali o swych hospodarów, i łatwo można ich było przekupić.

Projekt więc Chmielnickiego był obmyślony nieźle, gdyby nie pewne na pozór drobne

fakta, których zaślepiony chwilowem powodzeniem hetman zaporoski nie przewidział, i mógł go doprowadzić do zamierzonego celu.

Fakta te zaś były następujące: Lupul był człowiekiem przebiegłym i mającym stosunki w Stambule, a niemniej od Chmiela chciwym panowania. W Polsce zaś sprawa kozacka nie została bynajmniej uregulowana i miała się ku rozstrzygnięciu. W takiej chwili rozpoczynać wojnę, bez pozwolenia króla i stanów, rozrywać swoje siły, było niedorzecznością; ale hetman zaporoski, zatonąwszy w marzeniach dynastycznych, zapomniał o reszcie i, uczepiwszy się tej myśli, postanowił stawić wszystko na jedną kartę.

Z tym celem, mając już cały projekt obmyślony w szczegółach, zwołał radę familijną, do której zostali przypuszczeni Wyhowski z Teterą i, wyłuszczywszy zgromadzonym swoje projekta, zwrócił się do syna z zapytaniem:

— A szczo ty na to, Tymofiej?

Tymoszek nie był przeciwny. O hospodarównie słyszał, że miała być „krasawica", a do pieniędzy jej ojca, o których nawet między kozakami cudowne opowiadano bajki, również nie czuł wstrętu.

Rozśmiał się przeto, swoim zwyczajem, głupowato i rzekł:

— Jaby ne buw od toho; kołyb ona mene chotieła.

Na te słowa Chmielnicka wybuchnęła śmiechem.

— Ty durny! — rzekła — Tobie akurat tak

do hospodarówny, jako pokrzywie do altembasu! Ja nie hospodarówna, alebym ciebie nie chciała, choćbyś był sam jeden na świecie.

— A jaby was także ne chotel, choćby wy sama jedna była! — odrzekł rozgniewany Tymofiej.

— Ty gamoniu! — krzyknęła zaperzona macocha — ciebieby nawet prosta kozaczycha nie chciała, bo takiego chłopa mieć, to żal się Boże! lepiej się w studnię cisnąć od razu.

— Tymofiej chciał coś odpowiedzieć, ale groźne spojrzenie ojca powstrzymało go w zapędzie. Tego wzroku, z wyjątkiem żony, obawiali się wszyscy.

Gdy się uciszyło, Chmielnicki zaczął mówić:

— Prawda, szczo tam jemu radzi nie będą. Hospodar dumnyj pan, a ty Tymofiej, ne umijesz byty hładkim, jak łycari. Ot tobieby uczytsia ot toho lacha, szczo tutkie do nas przyjichaw. Takomu to krasawicy pryhołubywat', a ne tobi.

Tu wtrąciła się Haśka Karpińska i, westchnąwszy ogniście, rzekła:

— Ataman prawdu każe. Oj, mylyj tot laszok, jak bełyj hołubok.

— A taki hospodarówny ne dostane! — krzyknął Chmielnicki, uderzywszy przytem w stół ręką, aż deski zatrzeszczały. — Kto maje siłu, toj maje wsio. A ja silnyj — wołał, bijąc się w piersi — ja pobił hetmany, ja moh pobić samaho korola, ja wsio mohu!

Nikt nie protestował, a Chmiel ciągnął dalej, już nieco spokojniej:

— Ja tak umyślił: posłać swaty do Jass i prosić, a nie dadzą, to samomu brać — Ot szczo!

— Przemocą niewiastę brać! — odezwała się oburzona Chmielnicka — jak zbójniki albo Tatary! Słyszał to kto?

Hetman miał wybuchnąć, ale się zmitygował; ta kobieta miała na niego wpływ niepojęty.

Ale Haśka Karpińska przyszła mu z pomocą.

— Tak szczo? — zawołała — abo sia onej krywda stanie, abo szczo? Tymofiej-że dobryj mołojec, a szczo ne krasawec, tak szczo?... zato syn sławnoho na ciłom sweti atamana.

Bogdajże aśćkę Tatary porwały! — odrzekła rozgniewana Chmielnicka.

— Tak szczo to je Tatary? taj i Tatary ludi! — ciągnęła z przekonaniem imć ochmistrzyni. — Naj wezmut, ja sia ne boju!

Teraz dopiero zoryentowała się atamanowa, że dla takiej damy, jak Haśka, nie było już strasznego mężczyzny. Odrzekła więc, śmiejąc się:

Aśćka bo, widzę, nie zlękłabyś się i samego lucypera, gdyby do cię w komendy przyjechał. Ale hospodarówna nietyle pewno chłopa głodna, by się takim gamoniem kontentować.

Teraz Haśka uczuła się obrażoną.

— A szczo to je hospodarówna? — od-

rzekła gniewnie. — Taka ja dobra, jako i ona, koły sia komu podobaju. Ta meni krasawica, kotra serdcu myła.

Na te słowa roześmieli się wszyscy. Dziwnie bowiem brzmiało owe porównanie w ustach niewiasty już niemłodej, z obrzękłą od pijaństwa twarzą i karmazynowym nosem.

Ona zaś ciągnęła dalej:

— Komu sia ne podobaju, to naj ho trysła!... ja sia prosyty ne budu — ot szczo. A hospodarówna taki musyt buty Tymofiejewa, i musyt!

Rada przybrała charakter jowialny, nieodpowiedni poważnym projektom, jakie miano rozważać.

Co widząc Wyhowski, rzekł:

— A jakże to chcecie, hetmanie, wziąć hospodarównę siłą? Toćże to przecie ziemia sułtańska, a jeśli ją z wojskiem najedziecie, to tak, jakbyście samego sułtana infestowali.

Na to odrzekł z dumą Chmielnicki:

— Durny ty pułkowniku! Ja z sułtanem ne budu wojować... Ja najpierw poślę swaty do Jass i budu prosyty. Ja wiem, szczo hospodar odmówyt, bo to dumnyj wojewoda, ałe ne odmówyt prosto. On meni skaże tak, jak druhim: szczo ne może dać doczki bez pozwołenia Porty. A u Porty, to ja bilsze znacze, czem Potoccy i Wiśniowieccy. Hospodar maje druhiw w Carogrodzie, i ja także maju. Budemo oba staratsia, a kto silniejszy, tot druhowo pobyje.

Tu hetman zaporoski rozśmiał się na ca-

ły głos, rad ze swoich projektów; poczem, jakby kończąc myśl, mówił:

— Naj hospodar meni da słowo, a jak słowo da, to ja postaram się, szczob go zderżył. Koły sułtan pozwołyt, to pijdemo z molojcami w Jassy, a i Tatary z nami pójdą, bo tam hroszy są, i jasyr jest — i weznemo panniju jak swoju.

— Lachy na to nie pozwolą — wtrącił Tetera.

Twarz Chmielnickiego oblała się purpurą i oczy krwią mu zaszły.

— Na pohybel-że im! — krzyknął w strasznym gniewie—Ja ich nie bojuś! Za mną car krymski, za mną sułtan jehomost', za mną weś narid ukrainski i hospodar siedmiogrodzki, Rakoczy. Szczo meni pany, szczo meni korol! ja nikoho ne bojuś.

Wyhowski wiedział, że hetman kłamie, ale nie protestował; najpierw dlatego, że znając Chmiela, wiedział, iż gdy tenże był w gniewie, niebezpiecznie było mu się sprzeciwiać, a powtóre, będąc niezadowolony z obrotu rzeczy, który Chmielnickiemu tylko zapewniał korzyści, rad był, że się położenie może odmienić. Przystępując z nim do ligi, wiedział, że tenże, mając dwadzieściakroć liczniejszą armię, pobije hetmanów, nie będących zresztą dobrymi wodzami; myślał jednak, że później nastąpią układy, przy których i jemu dostanie się jaka kasztelania lub, co najmniej, starostwo. Tymczasem stało się inaczej. Przegrana bitwa, zamiast

upokorzyć szlachtę, podnieciła ją tem więcej; o szczerych układach nawet marzyć nie było podobna; a tu nieprzewidziany bunt kozactwa psuł sprawę do reszty. W tych warunkach, Wyhowski rad był wycofać się z niefortunnej ligi i na własną rękę rozpocząć politykę; do takiej zaś roboty więcej nadawał się słaby Chmielnicki, niż silny.

Tetera widocznie podzielał zdanie swego kolegi, bowiem również milczał. Co widząc Chmielnicki, zapytał:

— A szczo wy sidite tycho, jakby wam kto hubu zawiazaw?

— Nie chcemy wam negować, mości hetmanie—odrzekli obaj.—Skoroście taką już powzięli rezolucyę...

— Mało szczo ja powziął rezolucyę—odrzekł Chmiel niechętnie. — Ja mógł tak, a wy możecie dokazać, szczo ja durno umyślił.

— Obmyślałeś dotychczas wszystko mądrze, przeto i teraz pewno nie pobłądzisz—odparł dyplomatycznie Wyhowski.

— Ot tobi rada! — zawołał gniewnie hetman. Poczem zaczął mówić z ironią, jakby przeniknął ich skryte myśli: — A wy wiecie, co ja umyślił?... Wy myślicie, szczo ja siły swoje rozdzielę i dam sia Lachom pobić?... A ja taki maju na nich obmysł... Ja zrobię u nich rebelię w ciłom kraju. Ja każę chłopom paniw i żydów rizaty.·. Ot szczo ja im zrobię.

Wyhowski z Teterą spojrzeli po sobie zalterowani. Pomysł był rzeczywiście szatański.

Podburzyć niższe warstwy przeciw wyższym, służbę przeciw panom, nigdy nie bywa rzeczą trudną, a tem więcej mogło się to udać w Polsce, gdzie lud był swawolniejszy, a panowie, przez oddanie wielu majątków w dzierżawę żydom, którzy naród wyzyskiwali bez miłosierdzia, oburzyli na siebie chłopów. Zarówno Wyhowski, jak i Tetera widzieli na własne oczy, z jaką zajadłością rzucało się chłopstwo ukraińskie na „niedowiarków", mszcząc się za wszystkie doznane od nich krzywdy. Patrzeli też na siebie z wyrazem zdziwienia i niepokoju, nie znajdując na razie słów odpowiedzi.

Chmielnicki zaś ciągnął dalej z tryumfem:

— Teper znajecie, szczo ja obmyślił? Trystaby zjiw, ktoby mi w tom przeszkodził. Kto nie pójdzie protiw korola, toj pójdzie protiw paniw, a kto nie chocze protiw paniw wojowaty, toj bude protiw żydow. Ot szczo!

To powiedziawszy, hetman zaporoski roześmiał się szyderczo i sięgnął po flaszkę z wódką. Pociągnął z niej haust dobry, a następnie podał ją Wyhowskiemu i rzekł:

— No, pij Wyhowski, pij i ty Tetera, bo wy moje druhy. I Islam Gerai, welykyj chan ordy krymskiej mij druh, i kniaź Rakoczy mij druh, i wsie kniazi i koroli moi druhy. Tak wy pijcie, szczoby buło Lacham na pohybel: wsim panom Potockim a Kalinowskim, a Wiśniowieckim. Na pohybel-że im jasno wielmożnym panom.

Tak zakończyła się owa rada, po której hetman zaporoski legł pijany, swoim zwyczajem, na skórach, gdzie przeleżał do dnia następnego, bełkocąc przez sen na panów polskich przekleństwa.

Projekta w umyśle Chmielnickiego dojrzewały szybko. Pokonanie szlachty zapomocą jej własnego ludu, jak go upewniał Kostka ze Szternberku, było rzeczą łatwą do przeprowadzenia, osiągnięcie zaś tronu wołoskiego dla syna Tymofieja, również w jego umyśle nie przedstawiało nadzwyczajnych trudności.

A wówczas—podzieli się Rpospolitą z sąsiadami i, jako udzielny pan całej Ukrainy, będzie władał obszerną prowincyą, nie potrzebując już nikomu zdawać rachunków ze swoich czynności... chyba tylko W. Porcie i... przyjacielowi Islam Girai'owi. Porta jednak była tak daleką i tak nań łaskawą, a chan tatarski, pomimo wymyślania mu od świnojadów i psów niewiernych, oraz wybierania haraczu i jasyru z jego ludu, tak zacnym przyjacielem, że hetman zaporoski wcale się tem nie trapił. Wymordować panów polskich i zdobyć tron wołoski dla syna—oto były jego marzenia. A zresztą—szczo bude, to bude!

A były to myśli pijane, bowiem Chmielnicki nigdy nie był więcej zależnym i mniej pewnym jutra, jak w chwili obecnej. Kozacy,

a główniе czerń, buntowali się ciągle i grozili zamordowaniem hetmana i jego rodziny, lub wydaniem go w ręce Polakom. Od chana krymskiego, ba, nawet od jego murzy, Tuhajbeja, musiał znosić liczne wymówki i upokorzenia, a prócz tego znajdował się pod grozą kary ze strony Rpospolitej, która, bądź co bądź, była jeszcze dość silna, ażeby takiemu warchołowi zgotować los Łobody lub Nalewajki. Może też dlatego hetman zaporoski chwytał się rozpaczliwych środków, jak tonący chwyta się brzytwy, byleby choć na chwilę odsunąć z przed oczu widmo niechybnej śmierci.

Snuł więc najśmielsze projekty i, odrzuciwszy wszelkie myśli pojednawcze, nasuwane mu przez życzliwych, rzucał się w wir wypadków, co miały pochłonąć nie tylko jego wraz z całą rodziną, ale razem z nim Kozaczyznę, której się obrał obrońcą i apostołem. Zaślepiony dumą i chwilowem powodzeniem wojennem, pijany niemi i wódką, którą się zalewał, uzuchwalony wróżbami czarownic, składających mu trony i berła pod nogi, marzył już teraz nie o buławie hetmana kozackiego, lecz o zawojowaniu i podziale całej Polski.

Takiemi myślami natchniony, pisał więc do chana krymskiego:

„Przychodźcie wybierać miód z Polski, kiedy my zakurzymy pod nos lachom i, jak jak pszczoły z ula, wyganiać ich będziemy!...”

Do Rakoczego zaś pisał:

„Szlachta polska, za królem idąc, zosta-

wia bez obrony miasta i wsie swoje. Namówiłem chłopów, aby, chwyciwszy oręż, uderzyli niespodzianie na nieprzygotowanych i zajętych wojną ze mną. Uderz nagle szlakiem Turcyi, Siedmiogrodu i Węgier, zdobądź stary gród Wawelu, na co dwóch dni potrzeba, a znajdziesz tam bogate łupy. Bądź zdrów i zwyciężaj!" [1])

List do chana został wysłany natychmiast, do Rakoczego zaś miał powieźć hetmańskie orędzie znany nam młodzieniec, Kostka, i poprzeć sprawę namową, w razie, gdyby wojewoda siedmiogrodzki wzbraniał się przystąpić do ligi.

Co postanowiwszy, zawezwał do siebie młodzieńca, wyraził mu swą sympatyę i kondolencyę, a następnie oświadczył, że po głębszem rozważeniu jego słusznych pretensyi do tronu polskiego, gotów jest poprzeć orężem sprawę wydziedziczonego, byleby Kostka również ze swej strony nie zaniedbał użyć wszelkich środków dla osłabienia szlachty, oponującej się przeciw jego obiorowi.

Ażeby zaś cel pożądany osiągnąć, miał Kostka porozumieć się w imieniu Chmielnickiego z hospodarem siedmiogrodzkim o pomoc i, za takową przysługę, ofiarować mu ziemię krakowską. Nadto młodzieniec obowiązał się skłonić górali tatrzańskich do buntu przeciw

---

[1]) Według Rudawskiego.

panom, w razie gdyby szlachta wyruszyła jako pospolite ruszenie przeciw kozakom. On zaś, Chmielnicki, miał z pomocą tatarską stawić czoło wojskom królewskim i takowe rozgromić.

Projekt przedstawiał się wspaniale. Należało tylko obmyślić szczegóły, dotyczące buntu chłopskiego, co wymagało znajomości charakteru mieszkańców pojedyńczych dzielnic Rpospolitej, gdyż nie wszędzie można było użyć hasła praktykowanego na Ukrainie: „Wojna za korola i wiru protiw panam a żydam!"

Na Litwie lud był pogodzony ze swoim losem, przywiązany do swych książąt, nadewszystko zaś zbyt ciemny, ażeby jakieś nowatorskie projekty mogły przeniknąć do jego umysłu. Mazowsze i Wielkopolska składały się prawie z samej drobnej szlachty, która tam stanowiła ludność osiadłą na roli — chłopi byli wyłącznie klasą służebną. Pozostawała więc tylko Ruś z Wołyniem i Podolem, oraz Mało-Polska, gdzie można się było spodziewać pomyślniejszych rezultatów.

Mało-Polskę Kostka wziął na siebie, jako obeznany z tamtejszymi stosunkami, i upewnił Chmielnickiego, że namówienie do buntu górali tatrzańskich uda mu się z łatwością. W innych zaś dzielnicach miał agitować pułkownik Stasieńko, któremu dano 2000 agentów, umyślnie na ten cel wybranych ludzi sprytnych i przebiegłych.

Cała ta falanga, poprzebierana za księży,

baby, żebraków, handlarzy i t. p., miała się rozlecieć po całej Polsce i namawiać lud do powstania przeciw swym panom, a gdy się pora zdarzy—palić, rznąć i rabować.

Taki zrobiwszy układ z hetmanem zaporoskim, jechał Kostka z Szternberku, tą samą drogą, którą przybył do Czehrynia, w głąb Polski, a za nim postępował pułkownik Stasieńko z 2,000 agentów — niszczyć i rabować własną ojczyznę.

A szlachta?... Możni kłócili się między sobą o zaszczyty i urzędy, krytykowali postępki króla i wytaczali mu na sejmach sprawy o cofnięcie ręki do pocałowania; krzyczeli, że się wiolencya dzieje świętej wolności szlacheckiej i wmawiali w ogół herbowych, że król godzi na ich przywileje. Ci zaś, wierząc w pogwałcenie praw przez majestat królewski, ścieśniali władzę rządzącą i, chroniąc się od jarzma królewskiego, wpadali w stokroć gorszą niewolę swych karmazynowych braci herbowych, wiodących kraj nad brzeg przepaści.

Jerzy, po powrocie do Polski, wybrał się, wraz z stryjem Jeremim, na sejm do Warszawy, gdzie obu witano nader owacyjnie. Jeremi stał się ulubieńcem szlachty, która wynosiła pod niebiosa jego animusz rycerski i, jako męża opozycyi przeciw ugodzie z kozakami, otaczała nadzwyczajną estymą. Część tej sławy, rzecz prosta, musiała spłynąć na synowca.

Na sejmie wprawdzie niewiele uradzono, bo jakkolwiek izba poselska miała się zająć głównie ustanowieniem podatków na świeże zaciągi wojska, jednakże skoro przyszło do rzeczy, każde województwo starało się dowieść, że już zrobiło wszystko, co mogło, i że już nic nie pozostaje do zapłacenia. Poczem, wyłudziwszy od króla przywileje na nowe urzędy i starostwa, rozjechali się posłowie do domów, zadowoleni z siebie i poczciwej Rpospolitej, która była dla nich tak hojną matką, a wzamian zato tak mało żądała.

Jerzy, wraz z drugimi, opuścił Warszawę i osiadł w swoich Załościach, skąd raz po raz biegali posłańcy do pięknej hospodarówny,

przywożąc mu czułe i wonne liściki, kreślone rączką uroczej bogdanki.

W listach tych donosiła Rozanda, prócz zapewnień o swej miłości, że ojciec rozpoczął sekretne starania u Porty o zezwolenie na małżeństwo jej z ukochanym, i prosiła, ażeby również użył swych stosunków dla przyśpieszenia upragnionego dla obu stron związku.

Była to prośba zbyteczna, bowiem nasz bohater gotów był oddać połowę życia, byleby jak najprędzej posiąść szczęście upragnione i uprowadzić ukochaną pod swój dach rodzinny. Nie zapomniał o tem, będąc w Warszawie, gdzie udało mu się pozyskać wstawiennictwo kilku wpływowych osób, a i teraz, z Załośców, dążyli posłańcy w różne strony z listami, w których były przypomnienia obietnic lub nowe prośby o protekcyę.

I byłoby mu się niezawodnie udało osiągnąć cel pożądany, gdyby nie intryga Chmielnickiego, który przez janczarów agitował w Konstantynopolu, ażeby otrzymać od sułtana przeciwne życzeniom Jerzego rozporządzenia.

Tak minęło kilka miesięcy, a przez ten czas stęsknieni kochankowie koili męki rozłączenia wylewaniem na papier swych uczuć płomiennych, albo też, nadwrót, odczytywaniem takowych. Gdy, pewnego dnia, odebrał Jerzy od Rozandy list następującej treści:

„Nie imaginujesz sobie WM. Pan ileśmy tu na dniach zażyli smutku i niespokojności. Aże mi srom przyznać się do takowej konfu-

zyi, jaka mię przez to spotkała, i lękam się, abym nie postradała u WM. Pana tej estymy, jaką w swem szlachetnem sercu powziąć dla mnie raczyłeś. Oto przybyli tu posłowie od owego zbuntowanego kozaka, Chmielnickiego, prosząc o rękę moją dla jego syna Tymofieja, który, jak słyszę, ma być wielkie ladaco i człek bez żadnej polityki. Ale choćby nawet był prawym królewiczem, to ja afektu mego, jaki widomie jest z natchnienia Bożego, już nie odmienię. Co zważywszy, byłabym kazała przegnać przecz owe mierzłe dziewosłęby, gdyby nie Hospodar JMość, który ich politycznie odprawić rozkazał.

WM. Panu zaś polecił napisać, jako nie chcąc sobie uczynić wroga z tego kozaka, ile że ma on podobno u Porty wielkie uważanie, dał respons, iż nie może powziąć żadnej rezolucyi względem córki, bez przyzwolenia sułtańskiego, i z taką wiadomością one posły odprawił.

Nie myśl jednak WM. Pan, aby to mówił z serca, bowiem WM. Panu dotrzymać obietnicy pragnie, ja zaś prędzejbym wolała być żywcem pogrzebioną, aniżeli WM. Panu wiarę złamać. Co tak mi dopomóż P. Boże. Amen."

Jerzy, przeczytawszy list, rzucił się jak wściekły.

— Ha, gnojki smrodliwe! hospodarówny wam się zachciewa? Chamy bezecne! Mało wam snadź jeszcze przytarto rogów, skoro wam się takowych sukcesów zabażyło. Ale was

kara nie minie zasłużona. Tak mi dopomóż P. Boże, że rychło z was pasy na chomąta robić każemy.

Było to tylko oburzenie na zuchwałość kozacką, gdyż Jerzy nie lękał się utraty narzeczonej, nie przypuszczał ani na chwilę, żeby Chmielnicki mógł zamiary swoje wykonać. Od czegóż był król, wojsko, cała Rpospolita, która go, jako syna, winna była bronić od krzywdy? Ale sam fakt bezczelnej śmiałości kozaka oburzał go do głębi duszy. Gotów był rozesłać zaraz wici, zwołać pospolite ruszenie, zawezwać cały świat cywilizowany, ażeby pomścił jego zniewagę, ujął się za pokrzywdzonym.

Te zaś reminiscencye naprowadziły mu myśli, które może w innym razie nie znalazłyby przystępu do jego arystokratycznej duszy.

— Źle uczyniono, — mówił sobie — nie uchwaliwszy zaciągów wojennych. Ten rebeliant za wiele sobie pozwala. Krzywdy Rpospolitej są wielkie, cała Ukraina złupiona do szczętu... nie należało do tego dopuścić.

Rozumiał, że wina była po stronie magnatów, gdyż szlachta zgodziłaby się na wszystko, gdyby panowie nie bałamucili jej i, dla swojej prywaty, nie poświęcali interesów całego kraju.

— Brak u nas porządku—myślał sobie— brak dbałości o dobro publiczne, prywata jeno i nic więcej.

— A jednak—szeptał mu głos tajemniczy w głębi duszy—ani ty, ani stryj Jeremi nie byliście wolni od tej wady. Krzewiliście, miast

porządku, swawolę, miast poszanowania prawa — wiolencyę; samiście wykształcili Chmielnickiego, a teraz zbieracie owoce.

Ale dumny magnat zaczął się zaraz tłómaczyć:

— Nie myśmy to przecież wymyślili. Taki już porządek zastaliśmy po naszych ojcach i, widać, niema na te rady.

Tymczasem dni mijały, zawziętość słabła i, kto wie, czy nasz bohater nie pozostawiłby swej krzywdy losowi, gdyby nie pewna okoliczność, która go pobudziła do czynu.

Hospodar Lupuł, przezorniejszym będąc od swego przyszłego zięcia, lepiej wyrozumiał położenie. Rpospolita w obecnej chwili była prawie bez wojska, a choćby je nawet miała, któż mógł zaręczyć, że zechce stanąć w obronie obcego książęcia. Chmielnicki, przeciwnie, miał na zawołanie sto tysięcy kozaków i każdej chwili mógł zaciągnąć drugie tyle, nie licząc czerni i posiłków tatarskich. Gdyby mu przyszła ochota z orężem w ręku zażądać Rozandy, Lupuł nie mógłby mu odmówić.

Wprawdzie Wołoszczyzna znajdowała się pod opieką Turcyi, o której względy Chmielnicki się ubiegał, ale praktyczny hospodar wiedział, że u Wysokiej Porty wszystko się robiło pieniędzmi. A choć sam również nie szczędził kosztu, ażeby przeszkodzić hetmanowi zaporoskiemu w jego staraniach około uzyskania sankcyi sułtańskiej na ten związek, nie będąc jednak pewnym powodzenia, wolał wysłać cór-

kę z domu i, tym sposobem, zabezpieczyć się od możliwej napaści zuchwałego kozaka.

Hospodarówna miała wyjechać, wraz z matką, na Litwę do siostry swej, ks. Januszowej Radziwiłłowej, o czem też zawiadomiono obydwóch, Jerzego i Radziwiłła.

Dzień wyjazdu został naznaczony, ale ponieważ na Litwie miały pozostać do czasu, póki pozwolenie na małżeństwo z Wiśniowieckim nie nadejdzie z Turcyi, co wobec przeciwnych starań Chmielnickiego, mogło potrwać dość długo, przeto i przygotowania do drogi nie szły zbyt pośpiesznie. Okazała się potrzeba zakupienia nowych tualet, sprowadzenia z dalekich stron niektórych drobnostek, potrzebnych do ubrania obu pań, i te przyczyny opóźniły wyjazd.

Tymczasem Chmielnicki, jak to wyżej widzieliśmy, miał już plan gotowy. Wiedząc z góry, że dumny hospodar nie zechce oddać swej córki kozackiemu synowi, szykował potajemnie wojska, aby uderzyć nagle na Wołoszczyznę i siłą zbrojną poprzeć żądania Tymofieja.

Armia gromadzona była pod pretekstem wyprawy do Rosyi, co też stary lis kazał w kraju rozgłaszać, ażeby uśpić czujność panów koronnych i nie pozwolić im przygotować się do odsieczy. Gdy jednak przyszło do czynu, udało się hetmanowi zaporoskiemu namówić dowódcę tatarskiego, Nuradyna, iż zdecydował się pójść z Tymoszkiem na Wołoszczyznę.

Napad miał być uskuteczniony w ten spo-

sób, że Tymoszek w 16,000 kozaków i tyleż Tatarów, przemkną się wzdłuż granicy polskiej, poczem ordyńcy wkroczą do kraju i opanują Jassy, on zaś z kozakami, pod dowództwem Neczaja, Doroszeńki i Puszkareńki, będzie stać na granicy i da pomoc, gdyby wojska koronne, stojące pod Kamieńcem, pośpieszyły hospodarowi z pomocą. Chmielnicki zaś, z głównemi siłami, będzie się posuwał wolno ku Kamieńcowi i, w razie potrzeby, zajmie tyły Polakom.

Wyprawa powiodła się nadspodziewanie, zwłaszcza, że król, dowiedziawszy się o tym pochodzie, przysłał wyraźny rozkaz hetmanowi Potockiemu, żeby pod żadnym pozorem nie ważył się zaczepiać kozaków. Uczynił to zapewne ze względu na szczupłość sił koronnych, a także, być może, chciał się zemścić na panach za nieuchwalenie zaciągów wojennych, i skłonić ich na przyszłość do większej dbałości o bezpieczeństwo Rpospolitej.

Tak więc wojska Nuradyna zajęły bez oporu Jassy, a przerażony hospodar, umieściwszy rodzinę, wraz ze skarbami, w obronnej Suczawie, schronił się z garstką swego wojska w lasach Bukowińskich. Tu, poczyniwszy wielkie zasieki, obwarował się należycie i, wysławszy do Polski z prośbą o posiłki, z wysokich drzew obserwował ruchy nieprzyjacielskie.

Tatarzy tymczasem, zastawszy kraj bezbronnym, rzucili się do rabunku, paląc i pusto-

sząc wszystko dokoła. Jassy uległy zupełnemu zniszczeniu, wszystkie przyległe wsie i miasteczka zostały zrównane z ziemią, a tysiące ludzi poszło w niewolę bisurmańską, lub padło pod mieczem najeźdźców.

Hospodar, nie widząc znikąd ratunku, wysłał do Nuradyna poselstwo, z propozycyą układów, na co Tatarzy, obciążeni jasyrem i łupami, przystali bardzo chętnie. Nie było dla nich ponętną rzeczą kusić się o zdobywanie silnie ufortyfikowanej Suczawy, a tem więcej potężnych zasieków leśnych. Woleli przyjąć zaproponowany okup, około 200,000 talarów, poczem, obładowani zdobyczą, powrócili do Krymu, nie troszcząc sie wcale o Tymoszka, stojącego z kozakami na granicy.

Ten jednak, dowiedziawszy się o ustąpieniu sprzymierzeńców i widząc, że wojska koronne stoją spokojnie pod Kamieńcem, wkroczył nagle na Wołoszczyznę, zrabował ją do reszty i postanowił wypłoszyć hospodara z zasieków, a potem zdobyć Suczawę, wraz z skarbami i Rozandą.

Wtedy Lupul zaproponował mu układy. Zobowiązał się wypłacić kozakom pewną kwotę okupu, a Tymoszkowi oddać córkę. Zaręczyny miały się odbyć natychmiast, ślub zaś po Bożem Narodzeniu, na co, jako rękojmię dotrzymania przyrzeczeń, musiał hospodar wydać czterech zakładników z najznaczniejszych bojarów, a między nimi swego siostrzeńca.

Zastrzeżono sobie tylko zgodę sułtańską,

i aby Tymoszek ze szlachtą polską i polityką tego narodu na ślub przyjechał; czego jeśliby nie dopełnił, nie będzie miał prawa żądać dotrzymania obietnic.

Projekt ten zrodził się zapewne w gronie niewiast, które liczyły na to, że łatwy na pozór warunek może się stać dla nieokrzesanego kozaka trudnym do wykonania i posłużyć w następstwie jako pretekst do cofnięcia wymuszonych obietnic.

Wkrótce potem zwycięski Tymoszek opuścił Suczawę i, pełen otuchy, podążał tą samą skrytą drogą na Ukrainę, dokąd również ciągnął, powiadomiony o pomyślnym rezultacie wyprawy, Chmielnicki.

Wszystko to stało się tak szybko, że zanim Jerzy, dowiedziawszy się o wypadkach i zebrawszy na prędce parę chorągwi, pośpieszył na pomoc zagrożonemu teściowi, kozacy byli już daleko poza granicami Wołoszczyzny.

Tymoszek, po powrocie do Czehrynia, zastał ojca pijanym. Musiał czekać do następnego dnia, ażeby się z nim podzielić radosnemi nowinami, jakie przywoził z Wołoszczyzny. Chmielnicki jednak, ku wielkiemu zdziwieniu lupułowego pogromcy, wcale się niemi nie ucieszył, a natomiast dopytywał syna, czy wybierając się na wojnę, nie wziął ze skarbca baryłki złota, której brak, po powrocie do domu, zauważył.

Skarbca pilnował wspomniany wyżej zegarmistrz Hans, który tak się umiał przypodobać hetmanowi, że tenże zrobił go swoim wielkim podskarbim, i powierzył mu pilnowanie baryłek ze złotem i kosztownościami, zrabowanemi na Polakach.

Obecnie, powróciwszy z owej wołoskiej imprezy, zajrzał Chmiel do skarbca i zauważył brak jednej baryłki. Wezwany na indagacyę zegarmistrz zaczął bąkać coś o pani hetmanowej, ta zaś oświadczyła, że o baryłce nic nie wie, ale słyszała od Hansa, że Tymoszek, wybierając się do Jass, brał złoto ze skarbca.

Zawezwany powtórnie skarbnik potwier-

dził zeznanie hetmanowej, a gdy go zapytano, dlaczego od razu nie powiedział prawdy, tłómaczył się, że jakoby z obawy zemsty hetmanicza, bał się go zdradzić, i miał nadzieję, że Tymofiej sam się przyzna do rabunku.

Chmielnicki Niemca uwięził, ale co do zaginionej baryłki pozostał w niepewności. Nietyle chodziło mu o złoto, ile o podejrzenia, jakie się z tego powodu w jego umyśle zrodziły, bowiem hetman kozacki kochał tę cudzą żonę i wierzył w jej uczciwość.

Wprawdzie zachowanie się Czaplińskiej pozostawiało wiele do życzenia: ciągłe hulanki i poufałość z kozakami niejednokrotnie skłaniały hetmana, że jej robił wymówki; ale te wybryki rozbawionej kobiety nie dawały powodu do podejrzeń, jakie obecnie owładnęły jego duszą.

A tu, jak na złość, Tymofiej nie wracał, i stary musiał pozostawać w niepewności, łagodząc mękę oczekiwania jedynie wróżbami czarownic.

Te jednak, pomimo swej kompetencji w odgadywaniu rzeczy tajemnych, nie umiały o stosunku baryłki do serca hetmanowej nic stanowczego powiedzieć. Zawiłość sprawy tłómaczyły tem, że jakieś duchy, sprzyjające Hansowi, który widocznie „ne musyt byty samowyty“, mieszają im wróżby, i stąd niepewność orzeczenia, czy hetmanowa pozostaje wierna swemu mężowi, lub nie.

W tych warunkach Chmielnicki, nie znaj-

dując innego pocieszenia, sięgał do butelki, i w niej szukał ukojenia strasznych wątpliwości, zrodzonych przez zaginięcie baryłki.

Słuchał też opowiadania syna o sukcesach wołoskich z roztargnieniem, a natomiast zaczął usilnie wypytywać o zaginioną baryłkę.

— Ty, synku, prawdu meni każi — rzekł groźnie do Tymoszka, gdy tenże zaprzeczył zeznaniom Hansa i macochy.—Meni nie o złoto chodzi, ale ja chcczu znaty prawdu. Toj Nemec żinku mi bałamuci, a jesły tak je, to ja jeho...

I krwawe oczy hetmana błysnęły tak strasznym wyrazem, że gdyby sławetny skarbnik ujrzał go w tej chwili, umarłby niezawodnie ze strachu, pozbawiwszy przez to swego dobroczyńcę przyjemności spełnienia na nim egzekucyi.

Widzieliśmy już, że Tymoszek nie lubił macochy. Choć prosty cap, bez żadnej edukacyi, rozumiał jednak, że żona hetmana, choćby zaporoskiego, powinna inaczej się prowadzić. Bale z pijanymi kozakami, jakie Chmielnicka wyprawiała, nie podobały mu się od dawna—lekceważył ją i, przy każdej sposobności, robił na złość macosze, co mu ona odpłacała wzajemnością.

Z tych przyczyn, i obecnie nie miał zamiaru jej bronić.

Rzekł przeto bez ogródki:

— Koły tak je, jak powedajete, bat'ku, to sia z nią sprawcie po kozacku, i ot szczo!

Chmielnicki, na tę propozycyę, wzdrygnął się, jakby mu dreszcz przeszedł po ciele. Wstał nagle z krzesła i zaczął wzburzony chodzić po komnacie, złorzecząc:

— Pohanskie syny! sobacze duchy! lachy siromachy!

I nagle gniew tak okropny chwycił go za piersi, że całkiem mowę mu odebrał. Zaciskał tylko pięści i machał rękoma, jakby chciał zrzucić z siebie straszny ciężar, co go przytłaczał. Wreszcie chwycił flaszkę z wódką i wychylił ją do połowy.

To go widać nieco otrzeźwiło i przywróciło mu mowę, bo krzyknął na semenów, żeby Hansa przyprowadzono.

— Ja z nieho skórę obłupię! ja go żywcem w ogniu upiekę, ja ho na pal wbiję, ałe musyt meni prawdu howoryty!

Rozkaz został niezwłocznie spełniony. Semenowie przyprowadzili wylęknionego zegarmistrza, który trzęsąc się jak galareta, stanął przed strasznym inkwizytorem.

Chmielnicki rzucił się ku niemu z wściekłością:

— Ty mi gadaj prawdu!—ryczał jako żubr raniony — bo ja onu z ciebie dobędę, choćby tobie sam Belzebub pomagał.

Zegarmistrz jednak nie miał odwagi przyznać się do winy, czując instynktownie, że tem sprawy swej nie poprawi. Wypierał się też wszelkiego udziału w kradzieży i całą winę zwalał na Tymofieja i hetmanową.

Wtedy rozwścieczony Chmiel kazał go chwycić oprawcom i rozebrać do naga.

— Prywiazat' go do pala—brzmiał straszny rozkaz.

Semenowie przywiązali delikwenta, ale Niemiec ze strachu zemdlał.

— Smoły!—ryknął Chmiel—przypalić go, czortowoho syna!

Przyniesiono maźnicę z wiechciem, uwiązanym do kija, które to przyrządy musiały być w częstem użyciu, gdyż wnet się znalazły.

— Pali ho!—brzmiała komenda.

Semen umoczył wiecheć w smole, potem zapalił i zaczął nim przypiekać ofiarę.

Jęk rozległ się straszliwy.

— Ha, słaszno tobi?—pytał Chmiel, śmiejąc się okropnie. — Tak ty gadaj prawdu, wrażyj synu!

Niemiec jęczał ciągle, podczas gdy oprawca rozsmarowywał mu smołę na piersiach, a ta, paląc się, spływała ognistemi smugami po ciele ofiary. Wreszcie nieszczęśliwy, nie mogąc wytrzymać bólu, krzyknął:

— Powiem już wszystko, jeno mnie nie męczcie, przez Boga!

Chmielnicki kazał przerwać egzekucyę i wytężył słuch, ażeby nie stracić ani jednego słowa.

Wtedy zęgarmistrz wyznał, że był w stosunkach z hetmanową i że na jej żądanie skradł baryłkę ze złotem, które też wspólnie przetracili.

Tego było za wiele na siły hetmana. Po-

rwał się jak szalony i, wbiegłszy do izby, zaczął się rzucać z wściekłością.

— Spasi Bih! spasi!—jęczał, trzymając się za głowę i potrącając nogami sprzęty.—O, ne zderżu! ne zderżu!

Tymoszek podążył za ojcem i starał się go pocieszyć; Chmielnicki jednak był głuchy na wszelkie perswazye. Jęczał tylko, zawodził, tłukł głową o mur i potrącał się o sprzęty. Wreszcie chwycił gąsiorek z wódką i pił, pił, jakby na zapicie; a wkrótce potem legł na kożuchach i zapomniał o wszystkiem.

Teraz Tymoszek wyszedł dokończyć zaczętej egzekucyi, nie wątpiąc, że się tem papie przysłuży. Kazał odwiązać skazańca od pnia i ułożyć go krzyżem na ziemi. Poczem krzyknął:

— Na pal jeho!

Semenowie, obeznani z tego rodzaju robotą, sprowadzili szybko konie i, przywiązawszy je do pala, wykierowali jego ostrze ku leżącemu.

Wkrótce jęk głuchy, przeciągły, dobył się z piersi nieszczęśliwego. Zaostrzone i wysmarowane mydłem drzewo zaczęło się wbijać w wnętrzności ofiary. Długie i straszne „aaa!“ rozpruło powietrze, a potem głucha nastąpiła cisza.

Zegarmistrz omdlał.

Semeni wygrzebali szybko dół w ziemi i, wyprostowawszy drzewo, okopali je dokoła.

Teraz skazaniec, znalazłszy się w powie-

trzu, otrzeźwiał. Usta zaczęły mu się kurczyć konwulsyjnie, oczy wystąpiły na wierzch, a na twarzy malował się przestrach i ból niewysłowiony. Drzewo zaczęło się wbijać coraz głębiej w jego wnętrzności.

Tymofiej chciał wykonać zaraz i drugą egzekucyę, ale się rozmyślił. Nie będąc pewnym, czy ojciec życzy sobie śmierci macochy, kazał ją tylko zamknąć w puszkarni i postanowił czekać, aż ojciec wytrzeźwieje.

Zato, gdy się Chmielnicki na drugi dzień przebudził, zastał już syna przy łożu. Przypomniał sobie, widać, co zaszło i uczuł w sercu wdzięczność dla Tymoszka za tę jego troskliwość. Przygarnął go do piersi i rzekł:

— Ty mój, synku, ty dobry!

Poczem obejrzał się wokoło, zatrzymał wzrok w stronie, gdzie stał gąsiorek z wódką, i szepnął:

— Daj horyłki!

Ale Tymoszek, zamiast spełnić życzenie ojca, podniósł go na posłaniu, mówiąc:

— Na szczo wam, bat'ku, horyłku pity? Ot, chody lipsze pryhladywat'sia Nemcu, jak utekaje do neba.

Co powiedziawszy, roześmiał się dziko i wyprowadził hetmana przed dom, gdzie osadzony na palu, konał wróg jego od wczoraj.

— Ot, takby i jej zdiłaty — namawiał Tymofiej, ukazując ojcu ofiarę.

Chmielnicki zatrząsł się nagle. Przyszło

mu widać na myśl, że Czaplińska mogła przez noc uciec, a tego obawiał się najwięcej.

— Ona gde?—spytał, zwróciwszy na syna niespokojne wejrzenie.

— Ona ne ujszła, bat'ku, ona je — pocieszył go tenże, odgadując myśl ojca. — Ja onu kazaw dobre pilnowaty.

W oczach Chmielnickiego błysnęło zadowolenie. Ta dzika dusza nie umiała żyć bez zemsty. Rad był z syna, który go tak dzielnie wyręczył w roli oprawcy.

Przytulił go do piersi i rzekł:

— Dobre, synku, dobre!

Tymofiej był również zadowolony, że się umiał przysłużyć ojcu.

— Ja onu kazaw zamknąć w puszkarny*) i pilnowaty mołojcom, aż wy sia probuditie.

— Dobre, synku, dobre — mówił Chmiel, jakby pragnąc skończyć nieprzyjemną rozmowę.

Ale Tymofiej, w obawie, żeby hetman nie przebaczył macosze, zaczął go napierać dalej.

— A szczo z neju bude, bat'ku?

— Ne znaju! ne znaju!—odparł stary, jakby w obłędzie.

— Na pohybel-że jej! — instygował w dalszym ciągu Tymofiej — Ona was zdradyła,

*) Zbrodniarzy zamykano w prochowni.

z Nemcem besedowała! Smert jej! Na pohybel!

— Na pohybel-że jej! — jęknął wreszcie zdławionym głosem Chmielnicki, podniecony zajadłością syna.

I wyczerpany do reszty, odepchnąwszy lekko Tymofieja, powlókł się do chaty w horełce szukać pocieszenia.

Ten zaś, mając teraz niejako sankcję ojcowską do wypełnienia drugiej egzekucyi, udał się wprost do więzienia, gdzie znienawidzona przez niego macocha zostawała.

— A szczo ty, maty?—zapytał, śmiejąc się swoim zwyczajem głupowato.—Jak sia majesz?

Chmielnicka zrozumiała od razu, że Tymofiej nie przychodzi do niej z dobrym zamiarem, ale tak już przywykła lekceważyć go, że nawet obawa śmierci nie mogła jej skłonić do pokory względem tego prostaka.

Spojrzała więc tylko z pogardą na mówiącego, i nie odrzekła ani słowa.

Tymoszek zaś mówił dalej:

— A szczo tobi, maty, hubu zawiazali? Oj, umiła ty howcryty jak szlachcianka, wełmożna pany, szczo z łycarami beseduje. No, ty umiła także i z kozakami besedowaty, i z Hansem, a teper tobi bude za to „kęsim". Ot szczo!

Chmielnicka z nienawiścią zacisnęła zęby, ale milczała.

Co widząc, kozak mówił dalej:

— Ty znajesz, szczo Hans wże sydyt na

palu, a tobi treba pijsty do neho w kompaniu. Wy sia znali i lubili besedowaty, taj wam treba razem umiraty.

Słowom tym towarzyszył śmiech tak okropny, że na Chmielnickiej skóra zadrżała. Ale nienawiść i pogarda, jaką czuła do swego pasierba, snadź silniejsze były nad obawę śmierci, bowiem zamiast słów prośby, których się Tymofiej spodziewał, przez jej zaciśnięte zęby wymknęło się tylko słowo: „Rakarz!“

Takie zachowanie się macochy rozgniewało jeszcze więcej kozaka. On chciał, żeby go prosiła, upokarzała się przed nim, tymczasem ta znienawidzona niewiasta pozostała w chwili niepowodzenia taką, jaką była dawniej, gdy mając za sobą opiekę starego Chmiela, pozwalała sobie na kpinki i drwinki z jego pierworodnego syna.

To zdetonowało i onieśmieliło głuptasa. Trzymał postronek w ręku i obracał go na wszystkie strony, nie wiedząc, co mu uczynić wypada.

Wreszcie dziki gniew nim owładnął: nogi zaczęły mu drżeć, ręce ściskać się konwulsyjnie — aż ryknął ochrypłym od wzburzenia głosem:

— Na pohybel że wam, dumnym lacham! psia krow welmożnym panam! na pohybel wam biełoliczka! teper kozaki budut górą! budemo was wsich rizaty i wiszaty—ot tak!

I z temi słowy zarzucił macosze pętlę od powroza na szyję.

Krzyk krótki, zdławiony wyrwał się z ust ofiary, a potem nastąpiło ciche rzężenie.

Usiłowała się wydrzeć oprawcy, ale napróżno, powróz ściskał jej szyję i obezwładniał zupełnie. Jeszcze kilka konwulsyjnych drgnięć, i hetmanowa padła na ziemię bez ruchu.

Wtedy Tymofiej roześmiał się szyderczo i, zarzuciwszy sobie ciało, jak wór zboża, na plecy, wyniósł je na podwórze, ażeby powiesić trup na płocie, naprzeciw pala, na który wbity zegarmistrz wiedeński, Hans, dogorywał w męczarni.

— Ot wam kompania!—rzekł, przywiązawszy powróz do słupa w płocie — Ne budete wy wże bilsze z soboju besedowaty.

I, rzuciwszy przekleństwo, poszedł do szynku pić z mołojcami.

Jerzy, zebrawszy kilkuset żołnierzy, dążył ku granicy wołoskiej. Wysłane naprzód podjazdy miały mu torować drogę i, w razie schwytania, dostarczyć języka. W drodze jednak dowiedział się, iż przybywa za późno, ażeby uchronić narzeczoną od przykrości, jakie ją spotkały, jednakże dość rychło, ażeby zabezpieczyć nadal od kozackich dziewosłębów i brutalnej przemocy.

Wysłał tedy gońca do Suczawy z uwiadomieniem, że przybywa na sukurs i prośbą, ażeby panie, po odebraniu listu, natychmiast wybrały się w drogę ku Czerniowcowi, skąd na Śniatyń miano razem podążyć do Lwowa, a stamtąd na Litwę, do ks. Janusza Radziwiłła.

Ostrzegał przytem, ażeby cel podróży zachowano w tajemnicy, a to z obawy, żeby wiadomość nie doszła do Kamieńca, gdzie gubernatorował Piotr Potocki i gdzie również stał z wojskiem ojciec jego, W. hetman koronny; lękał się bowiem, żeby odpalony konkurent nie zechciał odbić mu narzeczonej, co przy ówczesnej bucie i swawoli magnackiej, łatwo zdarzyć się mogło.

Duma wielkich panów, w owych czasach, nie miała granic i nie znała żadnego hamulca. Ani królewski rozkaz, ani obawa sądu i kary nie mogły ich powstrzymać od raz powziętych zamiarów, choćby najswawolniejszych. Gdy król był tylko monarchą de nomine, oni byli królikami de facto i, uważając monarchę jako pierwszego pomiędzy równymi (primus inter pares), pozostawiali mu za cały przywilej—koronę i zaszczyt podawania ręki do ucałowania, oraz rozdawnictwo urzędów, które jednak, z samej natury rzeczy, nie mogły się dostać komu innemu, tylko osobom uprzywilejowanym, a zatem im samym; zwłaszcza, że król, nie mając żadnej siły, a chcąc coś na sejmie przeprowadzić, musiał sobie kaptować magnatów, którzyby go poparli. W taki sposób dostały się obie buławy koronne ludziom bez geniuszu wojennego, Potockiemu i Kalinowskiemu, i w taki sam sposób obsadzane były niemal wszystkie urzędy, ku największej szkodzie Rpospolitej.

I nic dziwnego—gdy król miał tylko 2.000 przybocznej straży, magnaci trzymali po kilka tysięcy wyborowego żołnierza. Ogłupiali szlachtę, że stoją na straży ich swobód oraz przywilejów i, mając za sobą siłę, drwili sobie z praw i majestatu. Pomagały im w tem kolosalne fortuny, jakie posiadali, a których rozległość dochodziła do 30 mil kwadratowych (80 miast i 1.300 wsi). Bez nich też nikt nie mógł dostać urzędu, ani dzierżawy królewskiej: oni byli pośrednikami pomiędzy tronem i zagrodą, a zatem

rzeczywistymi szafarzami dobrodziejstw; przez ich bowiem ręce przechodziły niemal wszystkie łaski królewskie. Niechętnych sobie magnatów król starał się przejednać donatywami, a z tych lepsze zatrzymywali dla siebie lub krewnych gorsze zaś rozdawali swym poplecznikom i służalcom. Takimi to względami tłómaczy się, że każdy magnat miał na zawołanie całą falangę tz. szlachty głodnej, co u niego talerze polizywała i, za ich pośrednictwem mógł dokazać niemal wszystkiego, co zamierzył. Stąd też ciągłe sprzeczki i nieporozumienia między samymi panami, a nawet gwałty i najazdy, przyczem nieraz sporo krwi pociekło. Ale gdy król, choćby w najlepszym celu, chwycił się tej samej broni i na drodze nielegalnej (jedynej zresztą dla monarchy polskiego w owej epoce) chciał coś przeprowadzić, oburzano się, że prawo gwałci, inkryminowano go na sejmach i sejmikach, a potem, nastraszywszy szlachtę, że król na ich wolności godzi, broili sami po dawnemu.

Na Chmielnickiego krzyczano, że zdrajca, gwałciciel praw i majestatu, a jednak hetman zaporoski naśladował tylko Radziejowskich, Opalińskich i, powiedzmy szczerze, wielu innych magnatów w swawoli. Jeśli zaś istniała pewna różnica, to chyba ex re przysłowia: Co wolno wojewodzie, to nie tobie... kozaku.

Skoro panie wołoskie otrzymały list od Jerzego, natychmiast zaczęły wybierać się do drogi, zwłaszcza, że Jassy uległy zupełnemu zni-

szczeniu i potrzebowały odbudowania, a w Suczawie obie damy nie znajdowały wygód, do jakich były przyzwyczajone.

Przyszykowały się też szybko, i wkrótce wyruszyły hospodarskie karoce, pod konwojem zbrojnych karałaszów, z Suczawy ku Czerniowcom.

Jerzy, który, odesławszy część wojska, dążył z resztą naprzeciw, spotkał księżne w Śniatyniu.

Jakie było przywitanie po tak długiej rozłące, opisywać byłoby zbytecznem. Czuli oboje, że szczęście ich wisiało na włosku i że mogli je utracić na zawsze, gdyby Tymofiej okazał się mniej powściągliwym i zechciał od jednego zamachu zrękowiny i ślub odprawić. Tylko przychylny im los zrządził, że kobietom udało się podejść kozaka, nastraszyć sułtanem i wmówić weń, że podobny pośpiech nic licował z stanowiskami zarówno hospodara JMości, jako też hetmana zaporoskiego, i w ten sposób kryzys odwlokły.

Niemniej jednak oboje kochankowie byli przeświadczeni, że rozłączenie mogło nastąpić, a na samą myśl takiego nieszczęścia, łzy stawały w oczach Rozandy, nasz bohater zaś doznawał takiego łaskotania w gardle, jakby mu arkan tatarski zarzucono na szyję.

O Tymofieju jednak nie mówiono wcale, nie chcąc poruszać w obecności dworu tej drażliwej kwestyi, która zarówno księżne, jako też Jerzego wielce żenowała.

Mówiono więc o ks. Januszu, o urządze-

niach na jego dworze, hospodarowa wypytywała rycerza o zamiary i środki, jakie panowie Rpospolitej mieli przedsięwziąć w celu uśmierzenia kozackiej rebelii, ale o tymoszkowych swatach nie mówiono wcale.

Młody kniaź, jadąc wierzchem obok karety, objaśniał wewszystkiem matronę, w duszy zaś przemyśliwał, jakby znaleźć sposobność domiłego i tak upragnionego tête à tête z narzeczoną. Rozanda snadź odgadła myśl jego, gdyż, pod wieczór, objawiła chęć przejechania się komunikiem.

Podano jej natychmiast wierzchowca i, wkrótce potem, kochankowie znaleźli się sam na sam. Jechali jednak dość długo, nie mówiąc nic do siebie. W ich duszach tyle było upojenia, taki natłok uczuć w wezbranych od rozkoszy łonach, że z nich wytworzył się jakby chaos szczęścia, ogarniający ich całych i wchłaniający w siebie wszystkie czucia. Odurzeni nagłą radością, jak haszyszem, zatracili wszelką wolę i, pijani nią kołysali się w śnie miłosnym, niby owe srebrne konchy, zamknięte w głębinach oceanu.

Wreszcie Rozanda odezwała się pierwsza:

— Nie imaginujesz sobie WMPan, jakicheśmy zażyli smutków i nieprzyjemności, z powodu onych mierzłych kozackich dziewosłębów, o których mówić, jeszcze teraz lęk mię bierze i srom przejmuje.

A na to odrzekł Jerzy ogniście:

— Deliberowałem ja dość nad tem; a że krzywdy WMPanny płazem nie puszczę, ale ją

pomszczę, jak przystało, tak mi daj P. Boże zbawienie.

Nie o to jednak chodziło, widać, domnie, gdyż rzekła po chwili:

— Gdyby on kozak okazał się mniej politycznym, mógłbyś mnie WMPan nie odnaleźć w Suczawie.

— Bóg to raczył sprawić przez narzędzia ordynansów swoich, że się tak nie stało, jako WMPanna raczysz suponować. A co zaś nadal, to już będziem się starali tak ogrodzić, aby się podobne terminy więcej nie przygodziły.

Rozanda wprawdzie, podobnie jak jej narzeczony, nie lękała się powtórzenia swatów kozackich, przeciwnie, czuła się zupełnie bezpieczną, ale chcąc w sercu rycerza tem więcej dla siebie obudzić litości, rzekła ciszej i jakby ze smutkiem:

— A gdybyś mnie WMPan nie zastał całkiem w Suczawie?

Wtedy wzruszony młodzieniec chwycił ją za ręce i, tuląc z całej mocy do swych piersi, jął mówić drżącym od wzruszenia głosem:

— A godziż się to tak znęcać nad człowiekiem? Toć pewna, że gdyby ciebie takie nieszczęście spotkało, to i mnie nie byłoby już poco żyć na tym świecie.

Po tych słowach zapanowało znów milczenie. Jechali tak, przytuleni do siebie, jakby jeden człowiek i jeden koń, gdyż i rumaki, snadź rozumiejąc intencye swych państwa,

szły krok w krok, ocierając się niekiedy bokami i muskając pyskami.

W powietrzu była cisza zupełna, jakby wszechwładny Eros zaklął tchnieniem miłości wiatry do spokoju. Od lasów wiała woń igliwia, na niebie migotały gwiazdy, rzucając swe mdlejące światełka na drogę, a srebrny sierp księżyca wschodzącym promieniem oblewał rozmarzone oblicza kochanków. Chwilami zdawało im się, że słyszą bicie serc wzajemnych.

Nie mówili nic do siebie, bo poco słów wiele tam, gdzie dusze rozumieją się wzajem. Było im dobrze, jadąc obok siebie, spoglądając sobie w oczy i duszą ulatując w krainy marzeń o miłości, nieznane, a pełne czarów i zachwytów.

Nagle Rozanda utkwiła oczy w niebo i, czując, że myśli ich zetknęły się na tym punkcie, rzekła:

— Czy widzisz waszmość te dwie gwiazdy obok siebie — jedną większą, a drugą mniejszą, co jakby do się należące, lśnią na ciemnem tle nieba? Ot tam, patrz, na wprost, około konstelacyi, co ją nasz astrolog zwie konstelacyą niedźwiedzia.

I ukazała rycerzowi dwa światełka, migocące jaskrawo na sinym firmamencie nieba.

— Uważałem te same astra — odparł Jerzy — namieniając w myśli jedną z nich dla WMPanny, drugą zaś dla siebie.

— A którą waszmość dla się wybrałeś?— dopytywała ciekawie domna.

— Tę, co mniej zorzysta, acz większa — odparł rycerz. — Gotówem jednak ustąpić jej WMPannie, zali ma być szczęśliwsza.

— Nie trzeba, ile że i jam sobie tę małą wybrała... i gotowam onę jeno wtedy oddać, gdyby WMPanu szczęśliwość zgotować miała. Inaczej wolę, że przy mnie ostanie.

— O, nie może być, abym miał kogo szczęśliwości pozbawić, a osobliwie ciebie, któraś mi milszą ponad własnej duszy zbawienie.

— Ja również — odrzekła, rumieniąc się z wzruszenia domna — niczego więcej nie pożądam, jeno tego, aby WMPanu Bóg we wszystkiem błogosławił.

— O mojaś ty najmilejsza!—szeptał w zachwycie Jerzy, chwytając ją za ręce — Oby ci P. Jezus zapłacił za tyle dla mnie dobroci... Jeno co do gwiazdki, to już niechaj przy tobie ostanie, skoroś ją sama wybrała. Myślę też, że ona ślicznotka, co tak krzeczną krasą lśni na jasnem niebie, jak twe urępne liczko tutaj na tej ziemi, nie może ci przynieść mniejszej szczęśliwości, niż moje serce pożąda.

Ale ledwie tych słów domówił, gdy błyszcząca gwiazdeczka oderwała się od firmamentu i spadła, pozostawiając jeno świetlaną smugę za sobą w przestrzeni.

Wypadek ten zasępił lica oboje kochanków. Wiara w gwiazdy była wówczas tak

wielka, że z ich obrotu wysnuwano przepowiednie na całe życie. Nie dziwmy się przeto naszemu bohaterowi, że się zląkł o swoje kochanie.

Ona zaś uśmiechnęła się smutnie i rzekła:

— Widzisz waszmość, że mi los nie płuży. Tak cudnie błyszczała ona gwiazdka i zczezła, ledwiem onej dla się zapragnęła. Snadź już takie moje przeznaczenie, aby się żadne z moich życzeń na tym świecie nie ziściło. Tak też i WMPan pewno o mnie zabaczysz.

— O nigdy, przenigdy, kochanie ty moje! — zawołał wzruszony rycerz — Tyś mi zabłysła, jako ona gwiazdka cudowna na niebie mego życia! A choćta onta znikła, ale ty nie zczeźniesz z mego serca tak łacno — chyba razem z życiem!

— Przeto — odrzekła, również wzruszona domna — musi mi być rychła śmierć sądzona. I taki też, myślę, a nie inszy wypada dla mnie z onej gwiazdy omen.

W tejże chwili nadbiegł karałasz od hospodarowej z uwiadomieniem, że JMPani wzywa córkę do siebie.

Przerwano więc rozmowę i oboje młodzi pośpieszyli ku karecie.

— Dość już tej jazdy komunikiem — mówiła matrona. — Utrudzisz się i zaziębisz. Będziecie jeszcze mieli czas nagadać się z sobą dowoli. A teraz, rycerzu, miej wzgląd na zdrowie jejmościanki, która jako białogłowa, niena-

wykła do konia, nie mogłaby ci w takiej imprezie sprostać.

Książę, w ten sposób zagadnięty, nie śmiał protestować, a choć Rozanda pragnęła dalej jechać wierzchem, musiał się przechylić na stronę hospodarowej, zwłaszcza, że z powodu owej gwiazdki, zaczął się naprawdę troskać o życie narzeczonej.

Siadła też domna do karety, a Jerzemu nie pozostawało nic, jak tylko, jadąc obok, kontentować się prowadzeniem rozmowy ogólnej, na którą go stara księżna wyciągała.

Wkrótce zajechano do Śniatynia, gdzie był nocleg dla pań przygotowany.

Miasteczko to, pamiętne hołdem Aleksandra, wojewody wołoskiego, który przyjechawszy tutaj z pocztem bojarów, złożył, obyczajem ówczesnym, chorągiew pod nogi Jagiełły, na znak poddaństwa, było dość dobrze zabudowane i mogło dać wygodne pomieszczenie dostojnym gościom, zwłaszcza, że Jerzy, pragnąc, żeby damom na niczem nie zbywało, wysłał przodem ludzi, z poleceniem wyszukania przyzwoitych gospód i urządzenia ich, jak można, najokazalej.

Nie brakło tedy mebli wygodnych, kotar i kobierców adziamskich, a nawet orkiestry, co piękną muzyką uprzyjemniała księżnom wypoczynek.

Po przespanej też smacznie nocy, ruszyły karety hospodarskie w dalszą podróż. Poranek, pomimo późnej jesieni, był dość piękny.

Słońce ukazało się zaraz od rana i ciepłym promieniem ogrzało skostniałą w chłodzie nocnym ziemię i rośliny. Lekki wietrzyk słabym podmuchem kołysał przydrożne drzewa, niekiedy tylko chlodniejszem tchnieniem uderzając w oblicza podróżnych. Czuć było jednak zbliżające się widmo zimy, co niezadługo białą płachtą okryje przestworza i ziemię ukołysze do snu zimowego.

Ale co znaczyła jesień przyrody, wobec wiosny uczuć, panującej w sercach kochanków. Ich młodociane dusze, ożywione tchnieniem pierwszej miłości, budziły się do nowego życia, otwierając zakochanym nieznane światy marzeń i uroków, zasłaniające przed ich wzrokiem całe otoczenie i każące w sobie nawzajem widzieć świat realny. Żar uczuć płomiennych był dla nich jakby promieniem wiosennego słońca, co im łona rozgrzewał i, jasnem światłem wpadając do duszy, zamieniał je w kratery ognistych wulkanów. Czuli jego płomień w piersi, widzieli tylko siebie, a otaczająca reszta stawała się zaledwie dopełnieniem ich własnej jaźni, niepotrzebnem, a cierpianem jedynie z musu, nie z potrzeby.

Patrzeli sobie w oczy, ściskali ręce, a gdy się pora ku temu nadarzyła, mówili sobie rzeczy, które opisać nadaremnoby się pióro siliło. Mijali strome góry, wsie, strumienie i ciasne wąwozy z jednaką obojętnością, chyba, że czasem troskliwość o narzeczoną skłoniła Jerzego do rzucenia jakiegoś słowa krytyki na

niewygodne gościńce, jakimi podówczas odznaczały się ziemie, przez nich przebywane.

Nie brakło także podczas podróży sposobności do przekomarzań, które oboje wielce sobie upodobali.

Wkrótce Rozanda objawiła znów chęć przejechania się komunikiem. A przebywano właśnie kraj górzysty Pokucia, gdzie po drodze trafiały się bandy rabusiów, dążących na Wołoszczyznę. Ciągnęło to hultajstwo zewsząd, jak kruki ciągną za stadem wilków, w nadziei pożywienia się resztkami zdobyczy po silniejszym napastniku. Bandy te wprawdzie uciekały, ujrzawszy zbrojne rycerstwo, niekiedy jednak straż przednia puszczała się za niemi; a wówczas domna miała sposobność podziwiać sprawność polskich żołnierzy; najczęściej bowiem brano opryszków żywcem i dopiero później, gdy karety z damami przejechały, wieszano ich przy drodze na postrach innym łotrzykom.

Patrząc na owe harce rycerstwa, Rozanda nabrała wiary, że jej nic nie grozi, przekomarzała się jednak z Jerzym, upatrując coraz to nowe niebezpieczeństwa.

To zdawało się jej, że widzi postacie kozackie, zaczajone pomiędzy krzakami, to znów widziała samego Tymoszka, ukazującego się, ażeby ją odbić, albo też Potockiego na czele zbrojnych hufców, zastępującego im drogę. Za każdym razem musiał ją Jerzy uspakajać; a ponieważ tym eksperymentom towarzyszyły inne,

o wiele przyjemniejsze, przeto dziewica uważała za rzecz godną powtórzenia ciągłe bojaźni.

— Waszmość bo zdajesz się całkiem nie dbać o wszelkie szkopuły, zagrażające mojej wolności — mówiła z dąsem, patrząc mu czule w oczy.

— O ile takowe nie są rzeczywistem periculum, jeno imaginacyą płochliwego umysłu WM. Panny—odpowiadał Jerzy, nieco już oswojony z tymi białogłowskimi fasonami.

— A gdyby Tymofiej naprawdę ukazał się na naszej drodze?

— Wolałbym takie otwarte jego wystąpienie, aniżeli sekretne knowania, przeciwko którym trudno się człeku asekurować.

— A gdyby też siły jego były przemagające?

— Za Bożą wolą, można sobie radzić choćby z przemagającym nieprzyjacielem, byle dał grzecznie pole — odpowiedział z fantazyą rycerską młodzieniec. — Gdyby zaś przyszło wylać krew w obronie WM. Panny, to także nie miałbym sobie za wielkie nieszczęście; bowiem myślę, że i WMość P. wolałabyś prędzej śmierć ponieść, aniżeli dzielić los z takim nieokrzesańcem.

Tu następowało zapewnienie ze strony Rozandy, co rycerza wprawiało w taki entuzyazm, iż rzeczywiście gotów był wylać dla niej choćby ostatnią kroplę krwi.

Tak bawiąc się, podążano naprzód, i wkrót-

ce podróżni znaleźli się w Zabłotowie, skąd, po krótkim popasie, ruszono ku Obertynowi.

Z górzystego położenia wydostano się na równiny, z lekka tylko najeżone nieznacznemi wyniosłościami. Mnóstwo mogił, usypisk i t. zw. kutołowów zalegało okolicę, a na niektórych z nich widać było z daleka dzwony lub beczki ze smołą, przy których stali strażnicy, gotowi każdej chwili dać sygnał, gdyby się Tatarzy pojawili. Inne były tylko pamiątką jakichś zdarzeń historycznych, albo, po prostu, mogiłą jednego lub więcej rycerzy, poległych w obronie ojczyzny. Lud czcił takie kurhany, śpiewał o nich pieśni i, z religijną bojaźnią, omijał je, zwłaszcza w nocy, wierząc, że są siedliskiem duchów, niekiedy upiorów lub czarownic.

Gdy zbliżano się do Obertyna, nadjechał znany nam pułkownik Napierski i rzekł do hospodarowej, ukazując okopy pod miastem, w części już rozwalone i zarośnięte trawą.

— Oto monumentum sławy naszego narodu.

Panie obiedwie spojrzały i, zaciekawione, spytały pułkownika, jaka była historya owych okopów.

Wtedy Napierski podkręcił wąsa i tak rzecz swoją wyłożył:

— Darują Wks. Moście, że historya, którą mam opowiedzieć, nie wychodzi na sławę wołoskiemu żołnierzowi; aleć to zwyczajna rzecz na świecie, że co na honor jednemu, to musi wyjść drugiemu na niesławę. Że zaś ja,

jako polski żołnierz, radbym gloryę tego narodu głosił, przeto nie należy mi brać za złe, że się przy prawdzie oponuję.

Roześmiały się panie na ten wstęp starego żołnierza, będąc bowiem w sercu życzliwsze Polakom, aniżeli Wołochom, i uznając wyższość pierwszych nad drugimi, nie miały zamiaru gniewać się na pułkownika. Same też zachęcały go, aby swą historyę raczył opowiedzieć.

Wtedy rycerz podkręcił drugiego wąsa i tak rozpoczął opowiadanie.

— Było to za Zygmunta Starego, P. N. M., kiedy to Wołosi, zainfestowawszy tę ziemię, wielkie na niej grabieże czynili. O czem dowiedziawszy się, król JM. wysłał W. hetm. kor. Jana Tarnowskiego, aby wstręt uczynił nieprzyjacielowi. Ale skoro hetman przybył pod Obertyn i okopał się obozem, aliści rozeszła się wieść, że hospodar wołoski Piotr, ze dwiema a dwudziestą tysięcy wojska, ciągnie z wielkim pośpiechem. Naszych zaś było jeno 4,000, i przeto, dla tak nierównej liczby z nieprzyjacielem, radziło wielu, aby wojsko, działa pozostawiwszy, do Halicza się salwowało. Ale Tarnowski, pan wielkiego serca, rzekł: „Tu nam albo zwyciężyć wroga, albo umrzeć przystoi!“ Poczem, obóz porządnie założywszy, silny okop jął czynić, wozy spinać, po woziech strzelców rozstawił, jeździe zaś ordynował stać w pół obozu i gotowymi być kazał. Naszym też od razu serca przybyło. Wtem zjawił

się nieprzyjaciel i, strzelbę gęstą wypuściwszy, na obóz szturmować począł.

Blizko pięci godzin bez mala trwało szturmowanie, ale nasi puszkarze Wołochów tak parzyli, że ci nazad ustępować musieli. Wtedy wysypały się wojska z obozu i nuż po nich! Uciekających gnano przez mil kilkoro i, straszną rzeź sprawiwszy, tysiąc jeńców, a 50 dział i tyleż chorągwi na nich wziąwszy, nieprzyjaciela aż po granicę ich kraju gnali. Taką to sławną wiktoryę pozwolił P. Bóg odnieść narodowi naszemu w tych okopach, co je W. Miłoście widzą przed sobą, a która nieledwie może być porównana z grunwaldzką; bo mało takowych przykładów w historyi świata, by ktoś sześćkroć liczniejszego nieprzyjaciela wstępnym bojem pokonał i jeszcze go żenął za granice kraju.

— Powiedz mi waszmość — ozwała się hospodarowa — dlaczego Polacy, tak sławny z rycerskości naród, nie chcą skończyć z owym rebelizantem Chmielnickim?

— Snadź chyba dlatego, W. Miłość, aby dzieci nasze nie miały racyi narzekać, iż ojcowie, wszystką sławę dla siebie zagarnąwszy, dla nich już nic zgoła do roboty nie ostawili.

— Jak to waszmość rozumiesz?

— A no tak, Whosp. Mość: skoro panowie nie mogą się na to zgodzić, kto ma być tryumfatorem nad onym kozakiem i wzajem sobie tego honoru zawiszczą, to widać, że

konkluzyi owej wojny, chyba się nasze dzieci doczekają.

— Zali doprawdy tak jest, jako waszmość powiada?—spytała hospodarowa.

— Oczywiście — boć rzecz wszystkim wiadoma, że gdyby hetman pod Żółtemi wodami mniej dufał w siebie i, miast rozdzielać wojsko, zaczekał na auksylia księcia wojewody[1]), nie byłoby się przygodziło to, co późniejsze kroniki napisały ku niesławie rycerstwa polskiego.

— Azali waść myślisz, że Rpospolita nie ocknie się już z tego paroksyzmu niezgody?

— Ocknąć to się ocknie, bo musi; daj jeno Boże, by to nie było zapóźno.

Przerwano rozmowę, bo właśnie karety wjeżdżały do miasta, gdzie zamierzano zrobić dłuższy popas.

Jerzy, podobnie jak pierwej, starał się, ażeby damom na niczem nie zbywało i żeby jak najmniej uczuły zmęczenia w podróży. Nie brakło także przyjemnych rozrywek, a nawet tańców, której to uciesze damy ówczesne oddawały się z wielką ochotą.

Ta galanterya zjednała wkrótce księciu wielkie względy u towarzyszącego hospodarowej fraucymeru, gdzie na cześć szarmanckiego młodzieńca odzywały się głosy wielkich po-

---

[1]) Jeremiego Wiśniowieckiego.

chwał, a nawet potajemnych westchnień, przyprawiających niejedną z dworek o zawrót głowy i palpitacyę serca.

Tak schodziły podróżnicom dni pod opieką rycerskiego księcia, aż do Lublina, gdzie, według pierwotnego projektu, miał się z niemi rozstać; ale nie mogąc przenieść rozłąki z ukochaną, ofiarował się przeprowadzić ją aż do Grodna, gdzie dopiero pożegnał się, pełen nadziei rychłego znów-zobaczenia.

Dowcipny pomysł wołoskiego hospodara wysłania córki pod skrzydła potężnego zięcia Radziwiłła, znalazł w Chmielnickim godnego współzawodnika.

Hetman zaporoski, dowiedziawszy się o tem, najpierw wpadł w gniew straszliwy, a potem — jak to zwykle bywało od śmierci żony — upił się i legł, jak kłoda, na skórach. Po wytrzeźwieniu jednak zaczął spokojniej rozważać swoje położenie. W Polsce ostać się nie mógł, nawet przy pomocy Islam Girai'a, który zresztą okazał się niedość pewnym i zbyt kosztownym sprzymierzeńcem. Pomagał mu dla łupów, a gdy takowe nie dopisały, rozpuszczał szeroko zagony po Ukrainie, pozwalając swym murzom, w powrocie do Krymu, zagarniać jasyr z ludu ukraińskiego, a zatem z elementu, którym Chmielnicki chciał rządzić. W takich warunkach hetman widział jasno, że wkrótce kraj zostanie ogołocony z ludzi i dobytku, a on, z bożej łaski bat'ko i hetman, nie będzie miał komu panować. A jednak, pijany szczęściem i „horelką" Bohdan, czuł się powołanym do rządzenia przez Samego Boga i, niedość

na tem, pragnął pozostawić synowi, jeśli nie mitrę książęcą, to przynajmniej buławę hetmańską.

„Boh mi to dał i mij brat, dusza moja, sokół mij, Islam Girai, car ordy krymskoj“—mówił, gdy mu ktoś nasuwał przestrogi umiarkowania—„To zemla kozacza, kotru lachy zawojowały, ale pryjszow deń hnewu bożoho: wygonym lachiw i budemo żyty szczastływy.“

Pijany hetman zapominał o tem, że ta ziemia, zwana przez niego kozacką, była jeszcze niedawno pustynią, koczowiskiem Tatarów, i dopiero pod rządem polskim zakwitła szczęściem i błogosławieństwem; a on właśnie, powołany przez Boga apostoł i obrońca, doprowadził ją do ruiny, upadku i wyludnienia. Sprowadziwszy przyjaciół Tatarów, popalił wsie i miasta, urocze futory i słobody obrócił w perzynę, a lud wesoły i szczęśliwy zaprzedał w niewolę bisurmańską, aby na tureckich galerach kończyli żywot, pełen sromu i niedoli. Jemu jednak zdawało się, że naród uszczęśliwia, że walczy w imię jego wiary i wolności, wszystko zaś złe, jakie na Ukrainę spadało, przypisywał lachom, którzy się przeciw niemu, Chmielnickiemu, zbuntowali i, wbrew woli „samoho Boha“, prześladują jego i cały niewinny naród ukraiński.

Utwierdzał go w tem przekonaniu ów fałszywy patryarcha z Konstantynopola, który nie dość, że dogadzając woli lubieżnego kozaka, dał mu ślub z cudzą żoną, ale nadto rozgrze-

szał go ze wszystkich win, zarówno już popełnionych, jako też mogących się przytrafić wielkiemu hetmanowi, byleby nie przestawał, za wolą Bożą "rizaty lachiw".

Kiedy Chmielnicki, po całonocnej pijatyce i wróżbach w kole czarownic, przebudził się dnia następnego, patryarcha wzywał go do ołtarza i, dając mu komunię, odpuszczał wszystkie grzechy w słowach: „Idy, preczyszczaj sia hetmane!"

A wtedy zebrane tłumy rozbiegały się na wszystkie strony i głosiły wesołą wieść, że podejrzewany o skłonność do islamizmu hetman, przyjmuje komunię z rąk prawowiernego patryarchy. I wołano radośnie: „Ludy radujteś! zbawytel nasz, hospodar, wełykyj ataman preczyszczajet sia!"

I bito w dzwony, strzelano z armat, i cieszono się z tej pomyślnej nowiny.

Chmielnicki tymczasem niewiele myślał o wierze i narodzie; on miał własne widoki na celu — zdobycie tronu wołoskiego dla siebie i syna.

Pierwszem jego staraniem w tym względzie były owe zbrojne swaty, które wykonane z takiem powodzeniem, obecnie miały się skończyć na niczem; bowiem Chmielnicki nie wątpił, że wysłanie Rozandy na Litwę nie nastąpiło dla czego innego, tylko w celu uchronienia jej od niepożądanego marjażu z kozakiem.

Prócz tego poszły skargi od Lupuła do

Stambułu, obwiniające go o napad na ziemie snltańskie i nieuszanowanie władzy padyszacha, który, jako prawy władca Wołoszczyzny, niezawodnie raczy ukarać zuchwałego buntownika za to, że się poważył urągać jego prawom i potencyi.

Lupul, jako człek przebiegły, umiał tak rzecz przedstawić, że W. wezyr, oburzony na Chmielnickiego, przesłał mu w słowach ostrych napomnienie za zuchwałe postępki Tymofieja, i zakazał nadal wojować ziemie sułtańskie.

Chmielnicki wysłał natychmiast poselstwo z tłómaczeniem, sekretnie zaś, przez swoich przyjaciół, ofiarował się z gotowością oddania zdobytych na Polsce prowincyi sułtanowi, a także obiecywał przyjęcie przez naród ukrainny religii Mahometa, mieniąc się samemu ukrytym wyznawcą tejże.

Prócz tego oskarżał Lupula o przyjaźń dla Polski i wspólne z nią knowania przeciw Turcyi, czemu jedynie on, Chmielnicki, przeszkadza. A pragnąc utwierdzić Portę o swej życzliwości dla islamizmu, postarał się, żeby go dwóch znakomitych Turków przyjęło za syna, i odtąd przybrał tytuł stróża Porty otomańskiej na Ukrainie. W. wezyr, odwdzięczając mu się za taką życzliwość dla padyszacha i wiary proroka, nadał mu godność hospodara ziemi Bohdanu, którem to mianem nazwano Ukrainę, ale w głównych pragnieniach nie zadowolił go wcale. Chmielnicki prosił o przesłanie Lupułowi rozkazu, ażeby córkę swą

sprowadził do domu i oddał Tymoszkowi za żonę, a wraz z nią i tron hospodarski. Ale polityka sułtańska trzymała się właściwego sobie systemu, aby zwaśnionym wasalom przyznawać zawsze taką racyę, którąby im żadnej korzyści nie przyniosła. I teraz więc, nie odmawiając słuszności i obietnic Chmielnickiemu, zażądano tylko od Lupuła, żeby Rozandę, jako zakładniczkę swojej wierności, przysłał natychmiast do Turcyi.

Stary lis takiego obrotu rzeczy nie spodziewał się wcale. Tyle poświęcił dla osiągnięcia swych marzeń hospodarskich, tak zasługiwał się Porcie, a wzamian nic nie otrzymał. Wyrzekł się ojczyzny, wiary, przeszłości, zaprzedał się pohańcom w służbę sromotną, zdyskredytował się do reszty w oczach Polski, a nawet wobec kozaków, cierpiących pomoc tatarską jedynie z konieczności, ale w głębi serca nienawidzących fałszywego i despotycznego sprzymierzeńca—i wszystko napróżno...

W tem smutnem położeniu nie pozostawało mu nic innego, jak tylko w „horyłce" szukać pocieszenia. Od owej też chwili, rzadko go już trzeźwym obaczymy.

Rozanda tymczasem przebywała u szwagra w Kiejdanach i poiła się słodkiemi marzeniami, że wkrótce nadejdzie z Carogrodu pozwolenie na małżeństwo jej z ukochanym; gdy, pewnego dnia, przybył posłaniec z listem od Lupula.

W liście tym hospodar donosi żonie, że

wskutek intryg Chmielnickiego, został poważnie zagrożony na tronie wołoskim i że, z tego powodu, musiał się usilnie starać o przyśpieszenie obiecanego mu indygenatu polskiego, ażeby w razie utraty hospodarstwa, znaleźć w Rpospolitej przytułek.

„Było już ze mną tak źle“ — pisze — „że spakowałem penaty i miałem intencyę podążyć za wami do Polski, gdy w drodze, przywieziono mi weselsze nowiny z Carogrodu, na skutek których powróciłem do Suczawy. W takowych terminach, a głównie w uzyskaniu indygenatu niemało mi pomógł JM. hetman koronny[1]), który jest wielce wpływowym senatorem w Rpospolitej. Ale wzamian za te posługi, żąda oddania Rozandy synowi jego Piotrowi, referując się jakoby na dawne nasze promissoryum. Pojmujesz, że mu odmówić nie mogłem, ile że go potrzebuję i potrzebować będę. Przeto proszę was, abyście, skoro młody gubernator kamieniecki przybędzie do Kiejdan, przyjęły go uczciwie, a nawet, gdyby tego zapragnął, pofolgowawszy gorącej krwi młodzieńca, zdeklarowały się na ślub tajemny. Wiele mi bowiem na przyjaźni hetmana zależy“.

Potoccy byli skolligaceni z Radziwiłłami, a hospodarowa za dobrze rozumiała interesa męża, ażeby mu stawiać przeszkody. I, w sa-

---

[1]) Marcin Potocki, ojciec Piotra, starosty kamienieckiego.

mej rzeczy, nikt nie mógł lepiej usłużyć Lupułom, ponad starego Potockiego, który z jednej strony, jako W. hetman kor., mógł w razie potrzeby wesprzeć ich siłą zbrojną, a z drugiej, jako senator, dopomódz swym potężnym wpływem w radzie królewskiej i na sejmie, podczas gdy Wiśniowieccy, utraciwszy z powodu rebelii kozackiej większą część dóbr ukraińskich, poszwankowali zarówno na znaczeniu, jako i powadze w Rpospolitej.

W tych warunkach kandydatura Jerzego upadła niemal zupełnie i hospodarowa postanowiła, zgodnie z wolą męża, przyjąć Potockiego jak najgrzeczniej, a Rozandzie wyperswadować miłość dla rycerskiego młodzieńca z Załośców.

Jakich użyła do tego sposobów, nie będziemy opisywać. Dość, że sprytna niewiasta umiała córce tak rzeczy przedstawić, że ta, pomimo srogiego żalu, jaki jej serce ściskał na myśl rozstania się z Jerzym, przyrzekła matce, iż grzecznie przyjmie syna hetmańskiego i, w razie potrzeby, zaślubi.

Dziwnem się to może wyda młodym czytelniczkom, że Rozanda, kochając tak bardzo Jerzego, uległa woli rodzicielskiej i zdecydowała się wyjść za innego. Zważyć jednak należy, iż w epoce przez nas opisywanej, nie było jeszcze mowy o emancypacyi kobiet, a córki kochały nadewszystko rodziców i ślepo szły za ich wolą, na czem zresztą wychodziły nienajgorzej.

Przeto i Rozanda, mając stanowisko ojca

na względzie, wyrzekła się własnego szczęścia, byle rodzicom usłużyć.

Ile ją ta ofiara łez kosztowała, o tem również pisać nie będziemy: tkliwe czytelniczki niechaj sobie same dośpiewają w duszy. Dość, że tak było rzeczywiście — Rozanda obiecała matce przyjąć grzecznie Potockiego.

Wkrótce też nadjechał zapowiedziany gubernator kamieniecki, z wspaniałym orszakiem szlachty i, przyjęty ostentacyjnie przez ks. Janusza i hospodarową, wręczył domnie, jako „zalotne", [1]) ozdobny pultynek, w którym, jak to obecni mogli wnioskować z towarzyszącej prezentowi oracyi, musiała się znajdować wielka osobliwość.

Przemowę miał, towarzyszący Potockiemu imć Andrzej Powała, którego widzieliśmy na początku powieści,—była zaś ona następującej treści:

„Wolentarz to jest w ciele ludzkiem afekt, moja wielce mościa księżniczko, który od inszych zmysłów żadnych nie przyjmując ordynansów, swoją własną rządzi się imprezą i na jakąkolwiek stronę zechce, i sam siebie, i serdeczną może nakierować inklinacyę. Niech przez wysokie przeprawuje się Alpy, niech bystrych rzek przepływa nurty, niech między bezdennemi niezbrodzonego oceanu zabawia się głębokościami, ma jednak swój cel, do które-

---

[1]) Tak zwano podarunek od narzeczonego.

go uprzejmem serca swego zmierza okiem, i choć w odległości, swoje życzliwe zwykł akomodować intencye. Takich nie omieszkując sposobów, ażeby swoją mógł wyświadczyć przysługę JM. Pan gubernator kamieniecki, deliberował długo, jakimby WKs. Mości przysłużył się prezentem; bo przywiózł z odległych krajów nie to, co lubo z drogości i ceny ma wysokie u ludzi zalecenie, ale że w Polsce z dawna znajome, nie specyał; ale przywozi z dalekiego oryentu taki rarytet, jakiego dotąd jeszcze Polska nie widziała. Niech odważny Jazon złotem popisuje się runem, po które do Kolchides resolwował się, czyniąc to dla swojej; niech Hippomenes, przez zdobycie złotego jabłka, gładkiej pozyskuje przyjaźń Atalanty; ale, rzekę śmiele, że tamte podarunki z tym oto nie mogą wchodzić w paragon. Czemuż? bo to tam były specyały, żadnego w sobie nie mające rarytetu, ale z samego jeno zrobione złota. Ja zaś poszczycić się mogę, że oddaję imieniem obecnego tu JW. Pana Piotra Potockiego tak niezwykły prezent, jakiego pewnie i w królewskich, i cesarskich nie znajdzie skarbnicach, jakiego nawet sama, na cały świat sławna i wymyślna strojnica, Kleopatra, nie zażywała i nie miała specyału. Co i Wks. Mość sama przyznasz to snadnie, tak niezwyczajny otrzymawszy rarytet. Prosi tedy przezemnie Imć Pan Gubernator, aby WKs. Mość ten niezwykły prezent wdzięcznem odeń sercem przyjąć raczyła“.

Co wyrecytowawszy rotmistrz, położył prezent, wedle ówczesnego zwyczaju na czapce, i z wielką galanteryą podał go hospodarównie.

Rozanda, choć jej się serce krajało, przyjęła dar hetmanicza i, wybąknąwszy parę słów podziękowania, skryła się w kąt, ażeby ukryć łzy, gwałtem cisnące się jej do oczu. Musiała hospodarowa wytłómaczyć córkę i otworzyć pultynek, ażeby zaspokoić ogólną ciekawość.

Były w nim, w nadzwyczaj ozdobnych flakonach, bardzo rzadkie, albo i całkiem nieznane podówczas w Polsce, dryakwie, esencye i wonne olejki wschodnie, wielce wysokiej ceny. Sam zaś pultynek, misternej roboty, inkrustowany złotem i srebrem, również przedstawiał niemałą wartość.

Tak wspaniałym prezentem darzył Potocki swą narzeczoną. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, że serce Rozandy było również wolentarzem, i że ten wolentarz zwracał swój afekt w inną stronę.

Bawiono się potem bardzo ochoczo do późnej nocy, bowiem hetman litewski, będąc wielce rad gościowi, nie szczędził niczego, ażeby przyjęcie uczynić jak najwspanialszem. Nie brakło więc jedzenia i picia, ani wszelakich uciech i okazałości, o której dziś trudno mieć należyte pojęcie. Stoły uginały się od srebrnych mis i talerzy. Na jednym z takich olbrzymich półmisków wniosły dwa chowane

niedźwiedzie t. zw. „magnam bestiam“, [1]) a i na innych niemniej sute podawano dania. Muzyka grała polonezy i cenary, a srebrne krużе i rostruchany, napełnione małmazyą lub alikantem, krążyły dokoła stołu, podniecając humor i animusz biesiadników, który się objawiał w licznych mowach i toastach, wznoszonych głównie na cześć pięknych Mohilanek, księżny Januszowej i jej uroczej siostry, domny Rozandy. Nie pominięto także przybyłego imć Piotra Potockiego, a jakkolwiek wyraźnie nie łączono jego imienia z imieniem hospodarówny, wszyscy jednak domyślali się snadnie, że on, nie kto inny, posiędzie rękę księżniczki, a z nią skarby hospodarskie, których mu najwięcej zazdroszczono.

Rozanda tymczasem połykała łzy, cisnące się jej gwałtem do oczu; a gdy wreszcie, po skończonej uczcie, znalazła się w swoim pokoju, wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Przybiegły do niej panny fraucymerne i, znając powód łez swej pani, zaczęły ją pocieszać.

— Eh, co się tam W. Miłość będzie turbować! — mówiła Maruszka, ciemnowłosa Podolanka, z piwnemi i figlarnemi jak kotek oczyma — Wielka rzecz, że ten przyjechał? Jak przyjechał, tak sobie odjedzie, a W. Miłość jego żoną i tak nie będzie.

---

[1]) Olbrzymia pieczeń z łosia.

— Ach, moja droga, — mówiła, płacząc, hospodarówna — ty nie wiesz ile ja cierpię, jaka jestem nieszczęśliwa! Co za okropna myśl przyszła im do głowy!

I, łkając rzewnie, pochyliła śliczną główkę na pulchną, jak puchy łabędzie, pierś piwnookiej Podolanki.

Ta zaś pocieszała ją jak mogła, mówiąc:

— La Boga! wielka rzecz, że on chce, kiedy W. Miłość jego nie chce. Toć W. Mości przeciw woli własnej nie weźmie, bo to pan znamienity, a nie kozak jakowyś.

I objąwszy piękną główkę swej pani, ciągnęła pieszczotliwie:

— No no, niech się W. Miłość uspokoi. Toć z Tymofiejem było jeszcze gorzej, a ja ciągle mówiłam: szczo ne bude sobaka toho misa jisty. I taki się ziściło.

— Ach, to było co innego—biadała domna—Nie wiesz, że ojciec tego po mnie wymaga, abym hetmaniczowi była rada i jego afekt wdzięcznem sercem przyjmowała.

— Przecież hospodar jegomość nie zechce was niewolić, gdy się dowie, że serduszko innemu się oddało.

— Ach, ty tego nie rozumiesz... ojciec musi... to jest polityka... hospodar hetmana potrzebuje i musi... Nie, nie! ja już jestem zgubiona na wieki! Nic mnie ocalić nie może!

I biedna dziewica, załamawszy piękne rączki, rzewnie płakać zaczęła.

— Kudyś ich z taką polityką — rzekła

z wielkiem oburzeniem Maruszka — co niemiłego sercu chłopa każe brać za pana. Jabym tam takiej polityki słuchać nie chciała.

Po chwili zaś milczenia, zapytała:

— A co to jest takowa polityka, pannulku, żeby aż przed kochaniem pierwsze miejsce miała?

— Ach, nie mam nawet głowy, żeby ci to tłómaczyć... Dość, że tak być musi, i niema sposobu...

Maruszka poskrobała się, wielce sfrasowana, poza różowe uszko, i rzekła z przekonaniem:

— Ej, mnie się zdaje, że gdyby tu był ten piękny pan z Załośców, toby rychło znalazł sposób na oną politykę, i wszystkoby na dobre przeinaczył.

Na wspomnienie pięknego pana z Załośców, serce hospodarówny uderzyło silniej. Ścisnęła Maruszkę za rękę i, jak echo, powtórzyła zcicha:

— Oj, gdyby on tu był, gdyby!...

— Chcecie, żeby był?—podchwyciła szybko dziewczyna—Tak i będzie! A czy on to was nie miłuje, albo co? Oj miłuje ci on swą gołąbkę, więcej nad wszystko, nad bogactwa i klejnoty, nad świat cały i nad życie własne; bo to piękny i szlachetny pan, jak żaden inny na świecie.

Rozandzie dziwnie przyjemnie było słuchać tych pochwał o swoim wybranym. Przy-

mknęła oczy, i jakby wpółsenna, zatonęła w lubem marzeniu.

A widząc, że Maruszka milczy, rzekła słodko:

— Mów, mów jeszcze. Tyś taka dobra, moja Maruszko, i tak pięknie mówisz...

Dziewczyna zrozumiała intencyę pani. Odgadła, że Rozanda chce, aby jej mówić o Jerzym, a jednocześnie nie odrzuca myśli o jego pomocy. Gdyby tylko można powiadomić go o zaszłych wypadkach, a pewno rzuciłby wszystko i przybiegł co tchu do Kiejdan, aby uwolnić Rozandę od onej polityki i niemiłego jej sercu konkurenta.

Co pomyślawszy, obejrzała się dokoła i, widząc, że pozostały same we dwie, rzekła zcicha:

— A napisać list, W. Miłość, i posłać do Załośców, jako to już raz było wtedy, kiedy Tymofiej z tymi pogany przyjechał.

— Ach to było co innego!—odparła smutnie Rozanda—Wtedy robiłyśmy zgodnie z wolą ojca, zaś teraz trzebaby się przeciw jego woli oponować.

— Tak co? — doradzała Maruszka — Hospodar że jegomość sobie poradzi, a Waszej Miłości poco serce niewolić. Niech pan z Załośców wie o wszystkiem, co ma być, a już jego w tem głowa, żeby sobie dobrze poradził.

Rozanda zamyśliła się na chwilę. Donieść lubemu co zaszło, pragnęła gorąco. I ona była

młodą i niedoświadczoną, a o rozumie i władzy Jerzego miała niegorsze od Maruszki wyobrażenie. Rozumiała jednak, że list wysłać w sekrecie przed matką i szwagrem, nie było rzeczą łatwą. Domyślała się, że będzie strzeżona, i że prawdopodobnie wydany zostanie rozkaz księcia, żeby się nikt nie ważył takich listów odnosić.

Rzekła też smutnie:

— Choćbym się na to resolwowała... ale kto list poniesie?

— Trzeba poszukać takiego — odparła filuternie dziewczyna — Niech Wasza Miłość napisze jeno, a ja będę szukać takiego, coby obsyłkę poniósł.

— A jak zdradzi?

— Co ma zdradzić. Jaże takiemu nie zwierzę obsyłki, coby W. Miłość zdradził, jeno poszukam takiego, coby oną choćby do samego piekła poniósł.

Hospodarówna spojrzała ciekawie w oczy Maruszce, i zapytała:

— To ty masz takiego?

— Nie mam, bo mi nie trza — odrzekła z pewną zarozumiałością dziewczyna — Ale jeśli zechcę... ho, ho! Mało to ich zęby szczerzy i ślepie przewraca! a niechno mu pokazać koniec paluszka, to w piekło iść gotów! Jak taki list dostanie, to i poniesie, gdzie trzeba.

Hospodarównie projekt się podobał. Wiedziała, że Maruszka jest sprytną dziewczyną i umie sobie z mężczyznami radzić. Zgodziła

się też na wszystko i postanowiła list napisać. Ażeby zaś odwdzięczyć się swej powiernicy za jej życzliwość, sięgnęła do czabatury i, dobywszy z szufladki piękny pierścień brylantowy, dała go dziewczynie, mówiąc:

— Naści to ode mnie na pamiątkę. Jest to dar Tymofieja; mnie się go nosić nie godzi, ile żem już innemu ślubowała, ale może tobie przyniesie on szczęście, boś tego warta niezawodnie.

Maruszka ucałowała rękę księżniczki i rzekła wzruszona:

— Nie dla kozaka Pan Bóg Waszą Miłość stworzył, przeto nie jemu się dostaniecie, ani onemu pyszałkowi z Potoka; a jeno kraśnemu panu z Załośców, jako sobie serce wasze ślubowało.

I oddana całą duszą powziętemu projektowi, położyła się spać, rozmyślając nad wynalezieniem rycerza, któryby dla niej zechciał się narazić ks. hetmanowi, i ponieść list do Jerzego.

Maruszka była sprytną dziewczyną. Widać to było z jej bystrych, piwnych oczek, w których głębinie dyszały całe szwadrony figlarnych demonków, gotowych płatać psoty, nie tylko zwyczajnym ludziom, ale nawet świętym pańskim, gdyby im przyszła ochota powrócić z nieba na ten padół płaczu i stanąć na drodze wesołej dziewczyny.

Pochodziła ona ze sławnego rodu Czuryłów, którzy przybywszy z Węgier do Polski, osiedli na Podolu i, ważne Rpospolitej oddawszy posługi, wkrótce urośli w majątek i znaczenie. Ale gdy potomków męskich zabrakło, majątek wraz z córkami przeszedł w inne domy, rozdrobnił się, i już ojciec Maruszki musiał szukać służby u możnych, którą też znalazł u Lupuła.

W obecnej chwili dziewczyna była sierotą, a ponieważ umiała sobie pozyskać względy zarówno obojga hospodarstwa, jako i ich córki, więc przebywała na dworze wołoskim, w charakterze dworki, a zarazem powiernicy Rozandy, która, poznawszy dobre serce i przy-

wiązanie Maruszki, wyjątkowymi darzyła ją względami.

I teraz więc, z pobudek owego przywiązania, sprytna dziewka postanowiła przysłużyć się swej pani, a jakkolwiek wiedziała, że naraża się przez to rodzicom, zdecydowała się, bądź co bądź, doręczyć list Rozandy Jerzemu; zwłaszcza, iż sama wierzyła w to, że taki sławny rycerz, co na turnieju w Jassach wszystkich współzawodników pokonał, nie okaże się w miłości mniej zręcznym kawalerem i znajdzie sposoby, ażeby swą lubą uwolnić od niepożądanych swatów z Potockim. Była też pewna, że jak zwykle, tak i teraz sprawa pójdzie jak z płatka. Ale gdy się lepiej rozejrzała, okazało się, że tym razem rzecz była bardzo trudna, prawie nie do wykonania. Nie dlatego, żeby Maruszce zbrakło pomysłu lub, broń Boże chęci, lecz po prostu nie było się o co zahaczyć.

Karałasze hospodarowej nie wzbudzali w niej zaufania; znała ich przedajność i bała się powierzyć któremu tak ważną sprawę; radziwiłłowscy zaś ludzie zbyt byli wierni swemu panu, a nadewszystko trzymani w wielkiej subordynacyi. Nie wolno było nikomu oddalić się ze dworu, bez wiedzy księcia, a za najmniejsze wykroczenie karano srogo, nierzadko nawet rozstrzelaniem. Zresztą Litwini, z natury potulni i zafukani przez swego hetmana, niebardzo nadawali się do podobnej ekspedycyi, co też sprytna dziewczyna wymiarkowała od razu.

Pozostawali zatem tylko Polacy, przybyli do Kiejdan z Potockim, i ku nim też Maruszka zwróciła swoje zabiegi.

Najpodatniejszym ku temu wydał się jej rotmistrz Powała, do którego, niewiadomo z jakiej przyczyny, powzięła od razu niezwykłe zaufanie.

Rotmistrz był człekiem gorącego temperamentu i na wdzięki niewieście bardzo wrażliwym kawalerem. Z Maruszką znali się jeszcze z Jass, kiedy to Powała przybył w dziewosłęby z imć gubernatorem i smalił do niej cholewki. Należało tylko przypomnieć mu się i skokietować, a na tego rodzaju eksperymentach śmiała podwika znała się doskonale.

Upatrzyła też stosowną chwilę, kiedy rycerz miał przechodzić przez niezbyt oświetlony korytarz i, wyskoczywszy nagle, wpadła mu, jakby niechcący, w objęcia.

Rotmistrz, chwyciwszy taką zdobycz, nie myślał wcale wypuścić ją bez okupu. Cmoknął też w oba policzki, aż się dziewczynie zaćmiło w oczach.

— A to co?—krzyknęła, teraz już naprawdę przestraszona.

Ale Powała, bynajmniej tem niezdetonowany, oplótł ją swemi żelaznemi rękami, jakby kleszczami, i wycisnął na rumianych jagodach Podolanki drugie dwa, jeszcze ognistsze pocałunki.

Harda dziewczyna spokorniała od razu i, głosem gołębim, zaczęła się modlić:

— Puść waszmośc!... o la Boga!... No!... bo się doprawdy pogniewam.

— A bodajem nigdy światłości boskiej nie oglądał, bym cię miał puścić, luba dziewczyno, gdyś mi sama do garści wpadła. Najsłodszy miód nie jest tak smakowity, jako twoje jagody, któreby się chciało całować i całować, choćby do świata skończenia.

— E, to nieprawda! — tłómaczyła się wylękniona podwika — Ale puść waszmość, na Boga, bo kto obaczy i będzie srom!

— Puszczę, jeśli mi przyrzekniecie, że się gniewać nie będziecie.

— Nie będę, nie będę! tylko puść aść!— wołała pośpiesznie dziewczyna, której w tym uścisku robiło się coraz goręcej.

Wtedy rotmistrz cmoknął ją po raz ostatni, i wypuścił z potężnych ramion swą zdobycz, która, zapomniawszy o wszystkich interesach, uciekła co prędzej do pokoju.

I byłaby niechybnie porzuciła wszelkie zamysły względem Powały, gdyby teraz on, z kolei, nie rozpoczął na nią polować.

Ów ciemny korytarz stał się odtąd najulubieńszem miejscem jego przechadzek. Odwiedzał go po kilka razy na dzień; a ile się tam nawzdychał, tegoby i na wołowej skórze nie spisać.

Wreszcie Maruszka, czy to przez ciekawość, czy też ulitowawszy się nad miłym, a tak nieszczęśliwym rycerzem, wychyliła swą rumianą twarzyczkę pızez drzwi, a widząc, że srogi

tyran znajduje się na drugim końcu korytarza, zaczęła się ostrożnie, jak kotka, skradać przy ścianie ku niemu.

Spostrzegł to rotmistrz i, uradowany, pobiegł ku niej co prędzej.

— A bodajże aśćce Pan Bóg tego nie pamiętał, żeście mię tak strapili. Chodzę tu jak opętany, jeść i spać nie mogąc, i widzi mi się, jakobym kamień młyński na sercu dźwigał. Bez was już mi i życie obrzydło... i gdyby tak dłużej trwało, toby mi chyba przyszło zamrzeć z utęsknienia.

Ale Maruszka odrzekła chytrze:

— E, coby się tam waszmości zaraz umierać miało. Nie ja pierwsza i nie ostatnia. A taki glupia, która mężczyźnie wierzy.

Powała uczuł się słowami dziewczyny wielce zdetonowanym. Kłamać nie umiał i nie chciał, a Maruszka mówiła prawdę, że romansowy rycerz nie pierwszy raz w życiu takie słowa wypowiadał.

Rzekł przeto, skruszony niepomału:

— Nie będę łgał przed waćpanną, żebym zaś nie miał z nikim mówić o kochaniu; jeno to wam powiem, że takiego afektu, jaki czuję dla was, nigdy przedtem, jako żywo, nie zaznałem.

W słowach jego i twarzy tyle było szczerości, że dziewczyna pokraśniała.

Stali tak przez chwilę, nie mówiąc nic do siebie: on z pałającym wzrokiem i gorączką na twarzy, ona rumiana jak wiśnia, ze

spuszczonymi oczyma, skubiąc koniec fartuszka.

Wreszcie Maruszka pierwsza przerwała milczenie i rzekła nieśmiało:

— Zalib tak było, jako waszmość powiada...

Powała grzmotnął się w piersi z całej mocy, i rzekł ogniście:

— Bodajem nigdy szczęśliwości nie zaznał, jeśli kłamię! Tyś mi jedyną na świecie i żadnej innej znać nie chcę!

A widząc, że dziewczyna milczy, chwycił ją za ręce i przyciskając je do ust płonących, wołał:

— Każcie co chcecie! — w ogień, wodę, do piekła dla was pójdę!

Teraz Maruszka uznała za stosowne wystąpić z swoją prośbą. Zerknęła też na rotmistrza z przymileniem i rzekła słodko:

— Miałabym ja do waszmości prośbę... nie dla siebie, ale dla kogoś drugiego... jeno że się boję powiedzieć...

Powała wpadł w wielki ferwor.

— Gadaj wszystko! — wołał z entuzyazmem—luba dziewczyno, bowiem niema rzeczy. którejbym dla ciebie nie uczynił!

— A nie zdradzicie? — pytała dziewka spojrzawszy mu w oczy tak, że się rycerzowi do reszty w głowie pomieszało.

— Hultajem byłbym chyba, a nie prawym szlachcicem, żebym was miał zdradzić! Klnę się na honor rycerski! — mówił rotmistrz, bijąc

się przytem pięścią tak potężnie, że każda inna, mniej silna, klatka piersiowa rozsypałaby się pod takimi razami. — Gadaj co chcesz, kanaczku najmilszy, a wszystko dla ciebie zrobię, choćby mi dyabłu przyszło duszę zaprzedać.

Maruszka przeżegnała się szybko, posłyszawszy taką przysięgę, ale widocznie nie zraziło ją to do rycerza, bowiem przysunęła się doń bliżej i rzekła słodko:

— A zaniesiecie waszmość obsyłkę od mojej pani?

— Do kogo? — zapytał zdziwiony i nieprzyjemnie uderzony rotmistrz.

— Do Załośców — odrzekła z niewinną minką, spuszczając oczy, podwika.

Powała oprzytomniał od razu.

— Do księcia Dymitra?—rzekł, chwytając się za głowę — Na rany boskie! co aśćka powiadasz?

— Ha trudno!—odparła słodko dziewczyna — Serce nie sługa! Chcecie domnę dać takiemu, do którego nie ma chęci, toć się musi bronić. Waszmość to winien rozumieć najlepiej.

Rotmistrz uczuł zawrót w głowie. Wszystkiego się spodziewał, prócz tego, żeby odeń zdrady żądano. Nie mógł się też z tą myślą pogodzić i począł mówić błagalnie:

— Na miły Bóg! zabij aśćka raczej, ale tego nie żądaj!

Maruszka jednak snadź nie podzielała

skrupułów Powały, bowiem, miast zabijać tak grzecznego kawalera, wolała go posłać z listem. Gdyż rzekła krótko i stanowczo:

— A dałeś waszmość parol...

— Dałem, prawda, dałem!—mówił Powała z rozpaczą, bijąc się przytem w piersi tak okropnie, jakby je chciał rozbić z kretesem.

— Tak i zdzierżycie — odrzekła z filuternym uśmiechem dziewczyna.

— Zdzierżę! Bóg mi świadkiem, zdzierżę!—zawołał z mocą rotmistrz—Dajcie!

— A respons będzie?

— Jako żywo, będzie — mówił zrezygnowany już na wszystko rycerz — Ale pomnijcie, że wolałbym życie postradać, aniżeli takich się procederów imać. Przeto darmo nic... mam ci i ja prawo nie byle czego od was żądać. Pamiętajcie o tem!

Dziewczyna uśmiechnęła się szatańsko.

— Co będę mogła, to zrobię — odrzekła dyplomatycznie. — A jak będzie respons, to dajcie jaki znak.

— Zakwilę, jako sokół, pod waszemi oknami, to będzie oznaką, że respons przyniesiony.

— Dobrze—odrzekła—A teraz bądź waszmość zdrów!

I chciała odejść.

Ale Powała powstrzymał ją za rękę i rzekł, dygocząc ze wzruszenia:

— Powiedzcie mi przynajmniej, że mię miłujecie... choć kszynę... choć kszyneczkę...

Dziewczyna odwróciła swą rumianą twarzyczkę...

— O tem—potem,—odrzekła, usiłując się wyrwać.

— O nie! — napierał rycerz — Skoro już mam zostać hultajem, to niechajże wiem dla kogom nim ostał.

Maruszka zawahała się chwilę, a potem rzekła:

— Jeśli obsyłkę poniesiecie i respons będzie, to... to i ja nie będę waszmości wrogiem.

Poczem, uścisnąwszy mu rękę, a następnie wycofawszy dyplomatycznie z jego dłoni swe pulchne paluszki, pomknęła chyżo i znikła we drzwiach swego pokoju.

Rotmistrz patrzał jeszcze przez chwilę na zamykające się drzwi, posyłając ku nim pożądliwe westchnienie, a potem schował list do kieszeni i mruknął pod nosem:

— Tego mi jeszcze było potrzeba!... Ot i masz dyable kaftan!

Co wyrzuciwszy z głębi wzburzonego łona, zły na siebie i świat cały, wsunął czapkę brodźcem i powlókł się do miasta.

W Kiejdanach, w rynku „pod wiechą", przy jednym ze stolików siedziało trzech szlachty. Jeden z nich, człek młody i przystojny, był chorążym, przybyłym z imć Piotrem Potockim do Kiejdan; drugi suchy i kościsty, z nosem haczykowatym, jakby na kwintę spuszczonym, o grzbiecie pałąkowatym i wystającemi naprzód kolanami, był Litwinem, co łatwo było wywnioskować z jego mowy przeciągłej i śpiewającej. Trzeci mienił się Żmudzinem, jakkolwiek bystry obserwator prędzejby go wziął za kozaka, zwłaszcza, że od czasu do czasu wtrącał do rozmowy słowa lub zwroty rusińskie.

Pili miód z dużego glinianego dzbana, z którego Żmudzin dolewał raz po raz swym towarzyszom w cynowe kusztyki. Przyczem prowadzili dość ożywioną rozmowę.

— Powiadam waszmościom,—mówił młody oficer — jako na wiosnę musi być wielka wojna, bowiem jeżeli Rpospolita zechce dalej trwać w takowej apatyi, jako dotąd trwała, to rychło hultajstwo wyżenie wszystką szlachtę, a Chmielnickiemu zachce się korony polskiej,

jako mu się już hospodarstwa wołoskiego zachciało.

— Zali to prawda, dobrodzieju — ciągnął płaczliwym głosem Litwin — jakoby on synka swego posłał na Multany i per vim z hospodarówną zawarł śluby małżeńskie?

— I prawda, i nieprawda, bo ślubów nie zawarł, jeno się zrękowiny odbyły; bowiem hospodar, nie mogąc, dla małości wojska, oprzeć się potencyi nieprzyjaciela, musiał na wszystko przyzwolić.

— Taki dziw, dobrodzieju, że hetman koronny, któren pono stał tedy z wojskiem pod Kamieńcem, na sukurs hospodarowi nie poszedł — biadał Litwin. — Taże to jakby jego własna sprawa, skoro syna w komendy do hospodarówny przysyła.

— Miał ci nasz hetman szczerą chęć zabiedz kozakom drogę, jeno, że przyszedł ordynans królewski, aby Chmiela ostawić w pokoju, przeto musiał się pohamować w ochocie i hultajstwu na wszystko przyzwolić.

— Nie zawżdy to pan Potocki posłuszność obserwujący—wtrącił jakby od niechcenia Żmudzin.—A nie wiesz to waszmość, dlaczego król wydał taki ordynans?

— Różni to różnie powiadają. Jedni mówią (tu zniżył nieco głos), że król, po korsuńskiem, nie konfidował dość hetmanowi, insi, że chciał przez to na złość zrobić Wiśniowieckim, którzy się przeciw jego obiorowi oponowali.

— Ja zaś myślę—ozwał się Żmudzin—co król mądrze zrobił, nie pozwalając hetmanowi mieszać się w cudze sprawy. Taże to interes prywatny, a nie Rpospolitej.

— Mądrześ waszmość skalkulował — odparł chorąży — jenoś o tem zabaczył, że przez takową naszą apatyę uzuchwala się inimicos.

— A takoż, dobrodzieju—dodał płaczliwie Litwin — mogły się one skarby hospodarskie dostać Chmielowi, co musiałoby nastąpić cum magno detrimento Reipublicae [1]).

Żmudzin rozśmiał się ironicznie.

— A tak, to się waści dostaną?

— Gadasz ać od rzeczy — oburknął go chorąży. — Gdyby imć Chytrejko miał possibilitatem solicytować o rękę hospodarskiej córki, toby nie siedział tutaj z nami, przy tym lichym dwójniaku, ale z księciem panem raczył się muszkatelem albo alikantem.

— A toś waść gorszy od księcia?

— Gorszy nie gorszy, bo wszystka szlachta jest sobie równa; ale wżdy co książę, to nie chudy pachołek.

— Tak to się mówi u was, a ludzie wszyscy jednacy. Król też mądrze zrobił, co dla pańskiej prywaty nie pozwolił gubić dobrych żołnierzy.

— Waszmość, bo musisz być nie z tego tu kraju, bowiem u nas, jako i na Litwie, za-

---

[1]) Z wielkim uszczerbkiem Rplitej.

wdy tak bywało, że szlachcic panom służył, zaco mu oni dawali chleb i możną protekcyę. Na tem się i równość szlachecka, i konfidencya zasadza, że jeden drugiemu służy, czem może i potrafi—pan chlebem, a szlachcic szabelką.

— Nie zawsze to tak bywało, jako waszmość każe. Starszym ja nieco od waści i dawniejsze też czasy pomnę. Dawniej szlachcic służył królowi albo księciu panującemu, a ci bronili kraju, skoro go nieprzyjaciel infestował; a dziś panowie wadzą się między sobą, albo też króla samego infestują, a wy, dla ich prywaty, własne karki nadstawiacie, zaco wam oni potem dają „łyzaty rynki i horniata“.

Dalszą rozmowę przerwało zjawienie się nowego gościa, na którego zwróciły się wszystkie oczy.

Był nim mężczyzna lat trzydziestu kilku, wysoki i okazały, z obliczem ogorzałem od słońca i wielkimi sumiastymi wąsami, sterczącymi, niby dwie wiechy, przy jego marsowej twarzy. Nie był on pięknym, ale miał w sobie coś imponującego i zarazem pociągającego, budzącego jednocześnie respekt i sympatyę. Wszedłszy, skłonił się obecnym od niechcenia i, wyrzekłszy stereotypowe „czołem“, siadł zamaszyście przy jednym ze stolików.

— Hej! gospodarz, miodu! — krzyknął — a duchem!

Ten i ów spojrzał na rotmistrza, był to bowiem znajomy nam imć Andrzej Powała,

i zrekognoskowawszy jego okazałą postawę oraz zamaszyste ruchy, uznał za stosowne, nie poznawszy go bliżej, opuścić co prędzej izbę szynkowną. Inni zaś, odważniejsi, lub mniej dbali o całość swej skóry, a natomiast większym afektem usposobieni do kieliszka, pragnęli akomodować mu się wsunięciem w kąty i zniżeniem głosu przy rozmowie.

On zaś łyknął jednym haustem szklanicę miodu, otarł wąsy, i zaczął rozglądać się po izbie. Niewiele w niej już pozostało gości, ale między tymi zauważył znajomego oficera, któremu skinąwszy życzliwie głową, rzekł:

— Czołem, mości chorąży.

— Czołem, mości rotmistrzu — odrzekł tenże.—Prosimy do kompanii.

Powała wziął swój dzban z miodem, i przeniósł się do stolika.

— Co się to waści przygodziło, mości rotmistrzu, żeś tak przykrego humoru? — pytał chorąży, widząc niezwykłą alteracyę Powały.

— Ot babskie ambaje, i kwita! — odrzekł tenże—Żeby tego bestyjstwa nie było na świecie, żyłby sobie człek, jak u Pana Boga za piecem, a taka w drogę wlezie — i bądź zdrów, bo ci vitam i felicitatem, jako żywo, obmierzi.

— Dałbyś waszmość spokój, — oburknął go, śmiejąc się, młody oficer. — Komu to na białogłowy narzekać, ale waści, dla któregoby niejedna gotowa ojca i męża odbieżeć... Ale

pozwólno waszmość, że ci moich kompaniomów zaprezentuję.

Tu imć chorąży wstał i, zrobiwszy odpowiedni ruch ręką, prezentował:

— Imć Agapit Chytrejko, brat łata litewski. A to imć Krzysztof Bywajtis, co się z świętej Żmudzi wywodzi, a wżdy wszystkiemu oponuje.

Powała podał prezentowanym zamaszyście rękę i rzekł:

— Rotmistrz Powała, herbu Ogończyk.

— Słyszałem o waszmości, słyszałem, dobrodzieju, — mówił płaczliwie Litwin, zwracając się do przybyłego — jako o sławnym i rycerskim kawalerze. Waszmość to pono woziłeś imć hetmanicza koronnego do Jass, do onej sławnej hospodarówny, o której powiadają, że będzie miała wiano zacniejsze od niejednej królewskiej córki. Daj Boże, by się one dziewosłęby powiodły.

— A czemuby się nie miały powieść? — zapytał szorstko Powała, któremu przyszło na myśl, iż własną robotę psuje.

— Daj Boże! daj Boże! — tłómaczył się Litwin — Mówię jeno, życząc waćpaństwu sukcesu i Jego świętej protekcyi.

— Protekcya Boska nigdy nie zawadzi. Ale i to verum est, że Pan Bóg jeno na kpów nie łaskaw, bowiem ci, mając za mało własnego oleju w kotyrbie, muszą go dla siebie zachować, miast Chrystusowi zrobić zeń należną ofiarę. Co się zaś nas tknie, tośmy wszystko

uczynili, jak przystało, przeto niema periculum, aby się Pan Bóg nie miał przy nas oponować.

— Zachciałeś, dobrodzieju, zachciałeś! — ciągnął Litwin z westchnieniem—Każdyby miał olej takoż dla siebie, jako i na ofiarę, jeno nie wszystkim godzi się o taką fortunatkę solicytować.

— I toś waszmość kiepsko skalkulował, jako nikomu solicytować nie zabroniono. Insza rzecz odzierżeć, bo na to trzeba być panem.

— Chmielnicki kozak, a taki innych ubiegł — wtrącił od niechcenia Żmudzin.

Na te słowa twarz Powały oblała się rumieńcem. Uderzył w stół pięścią z taką mocą, że stojące na nim kusztyki, straciwszy nagle równowagę, zaczęły skakać do góry, wyprawiając dziwne podrygi, i rzekł:

— Nie jego, kozacza mać, doczekanie, żeby hospodarówny powąchał!

Nikt nie śmiał protestować, a rotmistrz, ochłonąwszy nieco, mówił:

— Gdyby nie królewski ordynans, toby i tego nie było, co żal się Boże, ku wieczystej sromocie Rpospolitej zapisać należy, żeby taki kobuźnik ważył się żądać hospodarskiej córki. Jako zaś to się już stało, co się odstać nie może, przeto actum est—ale całkiem nie z naszej winy.

Co rzekłszy, chwycił kusztyk i, jednym haustem wychylił go do dna.

— O jakiej to sromocie Rpospolitej raczysz waszmość powiadać? — wtrącił naiwnie Żmudzin.

— O takiej, jakiej waszmość nie rozumiesz, a o którą my prosim Boga, by się więcej nie przygodziła.

— Słuszniej byłoby prosić — ciągnął spokojnie Żmudzin, — by się Pilawce albo Korsuń nie przygodziły.

Powała, jako człek prędki, chciał już grzmotnąć mówiącego, ale się pohamował, że to przecież w gościnie u pobratymczego narodu. Rzekł jeno gniewnie:

— Waszmość pod Korsuniem nie byłeś, boś wtedy boćwinkę kisił; nie masz przeto racyi wydziwiać, żeśmy w cztery tysiące wojska zastawiali się przeciw czterdziestu. Było tam zacnego rycerstwa dość, ale nec Hercules contra plures. Kozacy nas zdradzili i przeszli do Chmiela, Niemcy też, a garści naszych nie ostało—jeno ginąć, albo się salwować poprzez szyki nieprzyjacielskie.

— Waszmość byłeś w onej imprezie? — pytał ciekawie Litwin.

— Jako mnie waść żywym widzisz. Przebiłem się ze swoją chorągwią przez one impedimenta, co nam nad Krutą Bałką poczynili i, nasiekłszy hultajstwa co niemiara, salwowałem się do Bogusławia.

Opowiadanie rycerza wielkie na Chytrejce zrobiło wrażenie. Bywał on również na wojnie i wiedział, co to jest przebijać się przez

szeregi nieprzyjacielskie, zwłaszcza gdy tenże liczniejszy. Powziął przeto tem większy szacunek dla rotmistrza, i rzekł słodkim głosem:

— Miłą jest rzeczą, dobrodzieju, służyć pod takim wodzem, co to nie tylko na wiktoryę poprowadzić umie, ale i salwować swoich z ciężkich terminów, jeśli się takowe przygodzą. Waszmość zaś, jako widzę, zarówno jedno jak i drugie potrafisz; a takoż poswatać, jeśli kto zapragnie pokosztować hymenowych rozkoszy.

— Waszmości, jak się pokazuje, on hymen świeżą szperką pachnie, bo się ciągle do tej materyi wracasz—wtrącił, śmiejąc się, chorąży.

— Czasby też już człeku zakosztować jego słodyczy — ciągnął z westchnieniem Litwin. — Mam lat 40 i substancyę w Kowieńskiem. Nie będzie komu ostawić, zali się człek, za pomocą Boską, nie dochowa jakiego synka.

— Azali to podwik brakuje na świecie, czy co? — rzekł Powała — Suńno waszmość ostro do niej, nie uważaj choć się broni, a potem pokłoń się pięknie panu bocianowi i proś o grzecznego synka. A jeno nie zapomnij inwitować nas na wesele, bo inaczej, to ci się same dziewki rodzić będą.

— Ot zachciałeś, dobrodzieju. Wszystkoby człek uczynił, jak należy... jeno, że tu, u nas, niema w czem wybrać. Kraj ubogi, gotowego grosza brak..

— Ho, ho! a to ać, widzę, nietyleś sentymentu głodny, ile za mamoną gonisz — rzekł, śmiejąc się, Powała.

— Z musu, dobrodzieju, z musu, — odrzekł Litwin—choć serca czułego na kochanie Pan Bóg człeku nie litował. Ale trzeba spłacić siostry, by się w substancyi osiedzieć, a niema z czego. Takiby człek rad coś wziąć za żoną. A tu u nas niechno się pojawi bogata dziedziczka, to zaraz stu po nią rękę wyciąga... Jakoż się tam chudemu pacholkowi docisnąć.

— To wy, jako widzę, tacyście do kochania, jako i do imprezy: kiedy trzeba na nieprzyjaciela, toście wżdy ostatni, a do łupieży, to was nikt nie przegoni.

— Ot, taki sobie dworuj, dobrodzieju — odparł płaczliwie Litwin — bo ci bieda nie dobodła. U was, to, słyszę, łacniej o posag, jako o grzech powszedni bogobojnemu człowiekowi. A tu się męcz, dobrodzieju, bo i ziemia jałowa, i o zarobek trudno, a taki żyć trzeba.

Rotmistrz macnął się po kieszeni, i snadź powziął jakąś myśl, bowiem rzekł:

— A to się waszmość wybierz do Korony, ile że tak grzeczny, jako waść, kawaler, bez pochyby, może się u naszych podwik spodziewać niezawodnych sukcesów; przyczem i grosz szumny możesz ać wziąć, i synków się cacanych dochować, jako powiedziano jest: że każda Polka sypie kiedby z worka.

— Takoż i ja myślałem, dobrodzieju, —

odrzekł uradowany Litwin — Jeno nie mając w Koronie kolligacyi, ani dobrej komitywy, nie mogłem się na oną imprezę resolwować.

— Kolligacye nigdy człowiekowi nie zawadzą. Nietyle jednak znaczą one, ile promocya pańska, na którą wżdy trzeba sobie zarobić.

— O, mój dobrodzieju! — zawołał z entuzyazmem Litwin — nie od parady człek szabelkę przy boku nosi, a gdyby się trafiła okazya, umiałby pokazać, że i Litwa w tyle nie ostaje.

— Taki wy już panom wżdy będziecie lizać rynki i horniata! — wtrącił złośliwie Żmudzin.

Powała spojrzał ostro na mówiącego i, zmierzywszy go od stóp do głowy, rzekł:

— A waść to, widzę, na własny kredyt żyć potrafisz. Jeno mi się nie widzi, żebyś swoim żyjąc przemysłem, dorobił się tak zacnego kontusza, w jakiś przyodziany, ani też pijał tak szumny miodek, jako ten oto.

Tu imć rotmistrz stuknął dzbanem w stół i zawołał:

— Hej, mospanie, a daj nam jeszcze krużyk miodu. Ale to już na waścin rachunek — dodał, zwracając się do Litwina—bowiem okrutnie lubię dusigroszom orty [1]) z kalety wyganiać.

---

[1]) Ówczesny pieniądz.

Ten macnął się po trzosie, a choć fizyognomia jego nie wyrażała zachwytu, z powodu honoru, jaki go spotkał, starał się jednak nadać jej wyraz przyjemnego zadowolenia.

— Dobrze, dobrodzieju, dobrze — wołał płaczliwie.—Niechaj i tak będzie.

I jakby pragnąc, żeby jego zasługi nie poszły w niepamięć, dodał:

— Taki waszmość powiada, by się łasce pańskiej referować?

— Oczywiście, bowiem ta to jest u nas najpewniejsza droga do promocyi: Panu służ, oczy mróż, język trzymaj za zębami, obsypią cię talarami, przyjacielu mój.

— Święta prawda waszmości — potakiwał z wzruszeniem Litwin.—Jeno jakoż mnie, chudemu pachołkowi, dobić się takowej promocyi, bez należytej kolligacyi, ni też kompanionów?

— O tem—potem,—odrzekł Powała, spoglądając na świeżo przyniesiony dzban i ocierając wąsy.—A teraz nalejno waszmość miodu, bo szkoda, by tak zacny trunek wietrzał popróżnicy i ronił szumny aromat.

Litwin nalał kusztyki, ale ponieważ wypił już sporo, a głowę miał niezbyt mocną, więc rozczulił się do reszty.

— Bóg to zsyła mi — mówił z wielką afekcyą — tak grzecznego dobrodzieja, zaco niechaj będzie Imię Jego pochwalone. U nas, serdeńku, ludzie sobkowaci i każdy jeno o so-

bie myśli, a prawdziwy przyjaciel równie jest rzadki...

— Jako z szumnem wianem podwika — dokonczył Powała — która, verius dicam, tak się waści słusznie należy, jako mnie ten tu oto miodek, co ma takową dobrą stronę, że im go się więcej pije, tem lepiej smakuje. Tuszę też sobie, że waszmość wprędce i fortuny się dorobisz, i synka grzecznego u pana bociana wyprosisz; co aby zaś nie było z naszą krzywdą, przeto się i na chrzciny zapraszamy.

Litwin nie posiadał się z radości, ugaszczał, nadskakiwał Powale, aż wreszcie, gdy się towarzystwo rozeszło, zaprosił go do siebie na kwaterę.

Skoro znaleźli się sami, przystąpił od razu do rzeczy i, chwyciwszy gościa w objęcia, zaczął mówić właściwym sobie płaczliwym głosem:

— Mój dobrodzieju, raczyłeś wziąć chudego pachołka w swą zacną protekcyę, taki go już nie wypuszczaj. Wiem ci ja, że masz mir u panów i co zechcesz, to u nich dokażesz, a mnie mizeraka do szczęśliwości doprowadzisz, zaco dla waszmości wdzięczny umysł i serce na zawsze zachować nie omieszkam.

— Dobrześ to wać skalkulował, jako i ja zawżdy byłem tej awizy, że lepiej mieć stu przyjaciół, aniżeli unum inimicum, który choćby był najlichszym pachołkiem, za jakiego się waszmość raczysz niesłusznie podawać, i swą

amicycyę wyrażał, miast tak zacnym miodem, jako to waszmość uczyniłeś, ale choćby nikczemnym kisiołkiem, to wżdy milej zasłużyć sobie na przyjaźń i takiego indywiduum, aniżeli sprowadzić na się inwidyę. Co zważywszy, jeśli wać masz napić się czego, to dawaj prędko, bo niedługo tu zabawię.

Litwin sięgnął po butelczynę i napełniwszy kusztyki, rzekł:

— Za zdrowie waści, mego łaskawcy i dobrodzieja.

— I waścinego synka, który oby się chował zdrowo na pociechę tak zacnego rodu i rodzica.

— Daj to Panie Boże! — odrzekł z westchnieniem Litwin.—Wigoru, chwała Panu Jezusowi, człek w sobie dość czuje, jeno dotąd jakoś Pan Bóg nie pofortunił.

— Wszystko się to za Jego łaską odmieni. Miałbym ja nawet dla waszmości grzeczną ekspedycyę, coby ci niemały profit przynieść mogła, jeno że to rzecz wielkiego sekretu, przeto nie wiem, czy mogę to waści konfidować.

— A, mój łaskawco, taże to przecie rzecz masz z szlachcicem, nie zaś z kozakiem. Na klejnot rycerski przysięgam waści, że owe sekretum poniosę z sobą do grobu.

Powała wyciągnął list z kieszeni, i obracając go w ręku, jął mówić:

— Skoro mi waszmość rycerskim parolem asekurujesz dochować sekretum, to się już

waści spuszczę. Trzeba, byś poniósł tę oto obsyłkę do kogo należy i przyniósł nań respons, bo to rzecz wielkiej wagi i bylekomu nie można konfidować. Niech się waszmość nie dziwuje, że to jakoby list od wroga do wroga poniesiesz, bo w tem właśnie całe arkanum leży, co też waści we właściwym czasie należycie wytłómaczę.

— O, mój łaskawco — sumitował się imć Agapit — nie babam ci ja przecie, bym zadowolenie nieszczęsnej ciekawości wyżej kładł nad właściwy pożytek. Prędzej języka zbędę, aniżeli się wygadam z czem niepotrzebnem.

— Powiesz waszmość, że ci kazano obsyłkę oddać i czekać responsu, co zaś by jego ks. mość zamyślał, z tem się może waści, jako wiernemu słudze, spuścić.

— Zatem to do księcia pana ekspedycya? — pytał olśniony Litwin, choć jeszcze nie wiedział, o jakim księciu mowa — O, mój dobrodzieju, czemże ja się waszmości odsłużę za takową dla mnie dobrożyczliwość?

Powała zakręcił wąsa i rzekł:

— Jeśli wać masz jeszcze butelczynę, to daj, bo miód smakowity, a jam dziś wielce alteratus.

Litwin sięgnął po butelkę, tym razem już bez westchnienia i, nalawszy kusztyki, rzekł:

— Pewno zależy na pośpiechu w ekspedycyi?

— To się wie. Jutro zaraz ruszysz waść w drogę. A uwijaj się gracko, byś respons

przyniósł co rychlej, bowiem jest to białogłowska sprawa. W drodze też sobie nie żałuj, bo ci to książę pan wrócić nie omieszka, niepotrzebnie przeto czyniłbyś sobie niewygodę i zacne zdrowie na szwank wystawiał.

— A list od kogo mam powiedzieć?

— Waszmości, widzę, Pan Bóg nie do grzecznych ekspedycyi, ale do boćwinki stworzył, skoro ci nawet tak zacny miód, jako ten oto, nie może w głowie rozjaśnić. Juści o to cię pytać nie będą, a choćby nawet, to waścina rzecz trzymać język za zębami, mając na względzie, że się książę z listu o wszystkiem dowie. Takowa dyskrecya będzie waści owszem za dobre poczytana, i tem większych możesz mieć u księcia faworów sperandę, im lepiej swą dworskość i zdolność dochowania sekretu pokażesz.

— Przebacz, dobrodzieju — tłómaczył się skonfundowany uwagą rotmistrza Litwin—i nie myśl, bym rzecz rozważywszy należycie, miał onę na szańc wystawić. Będę ja o niej myślał, jako o zbawieniu duszy i spełnię wszystko, jak należy, abym sobie zarobił na waszmości, pana mego, ukontentowanie. A jako waszmość każesz dużo słuchać, a mało mówić, tak się też stanie według waścinego rozkazania.

— Widzę ja, żeś waść nie w ciemię bity—odrzekł udobruchany Powała. — A jako sobie radzić potrafisz, toć też nie powiem więcej, jeno — sekretum pilnować. Cobyć kniaź rozkazał, to ać mnie zakomunikujesz, abym zaś

wiedział, jakie waści in futuro wydać ordynanse.

A teraz — dodał, zabierając się do wyjścia — ostań waszmość z Bogiem, bom kszynę fatigatus i muszę się zdrzemnąć.

Litwin wyprowadził gościa aż za drzwi i, zapewniwszy, że wszystko spełni jak należy, powrócił do izby, z zamiarem przyszykowania się do drogi.

Powała był bardzo rad z siebie. Za jednym zamachem spełnił życzenie pani swego serca, a także zabezpieczył się od gniewu Potockiego, w razie, gdyby sprawa zły obrót wzięła. Trzymał przecież nić tajemnicy i mógł nią, stosownie do swej woli, pokierować. Gdyby Wiśniowieckiemu przyszła ochota wykraść rywalowi narzeczoną, co z tak możnego domu, jak ks. Janusza, okazywało się wprost niemożebnem, to i tak Powała musiałby naprzód wiedzieć o intencyach młodego kniazia i mógłby temu, z wiadomością swego protektora, lub bez takowej, przeszkodzić. Gorzej, jeśliby się wydało, że ułatwiał korespondencyę pomiędzy kochankami; ale lekki umysł rotmistrza nie kłopotał się takiemi drobnostkami. Będąc w szkołach, nie troszczył się nigdy o to, że za niewyuczenie się zadanych lekcyi preceptorzy przystrzygali mu często galjoty. Dziwił się tylko, że kara spotykała nie tę część ciała, która zawiniła, jeno tę, która się najwięcej do takiej imprezy nadawała. Wyszedłszy ze szkół, oddał się wojaczce, a że był chłop śmiały i nad wyraz sprawny, przeto bez trudu dora-

biał się karyery. Kochali go żołnierze, ponieważ o nich dbał, dzielił z nimi trudy wojenne i każdy kęs chleba; lubił go hetman, jako niezrównanego harcerza i zdatnego do każdej ekspedycyi towarzysza; znał go nawet sam król JMość, o którego uszy obijały się niejednokrotnie rozgłośne czyny imć Powały.

Wkrótce też został porucznikiem królewskiej chorągwi pancernej; ale niezadowolony z tego stanowiska, pragnąc zdobyć pewną niezależność, rzucił jurgelt i zebrał własną chorągiew, złożoną z podobnych jak sam junaków.

Była to lekka chorągiew, wymoderowana na sposób Lisowszczyków. Prócz zbroi i hełmów z forgami, mieli Powalczycy szable krzywe u boku, rohatyny na 4 łokcie długie, po dwie pary pistoletów, jedne za pasem, drugie u łęku, na plecach zaś połowa miała łuki, a druga muszkiety; których to system zalecał się tem, że gdy nie było czasu nabić strzelb, lub zamokły na deszczu, to łucznicy zastępowali muszkieterów, ci zaś szablami i rohatynami torowali sobie drogę. Konie mieli podolskie, okazałe, mocne i jak wiatr ścigłe, bowiem tatarski zwyczaj rozpraszania się na dany znak i zbierania napowrót, nie był wykluczony w systemie Powały. Owszem w ten sposób niejednokrotnie odnoszono walne wiktorye, otoczywszy nagle goniącego ich nieprzyjaciela i wyciąwszy, lub żywcem połapawszy, ku wielkiemu podziwieniu swoich i obcych. Kiedy, razu pewnego, urządził nasz rycerz taki popis

z Tatarami w oczach królewskich, Jan Kazimierz i obecni senatorowie, zapomniawszy o swojej powadze, za boki się brali od śmiechu, gdy ogłupiali ordyńcy sami im w ręce wpadali.

Prócz tego, woził rotmistrz przy sobie 4 haubice [1]) oraz muszkiet z wielce srogą rurą, zwany „Sroką“, o którego niezwykłych właściwościach dowiemy się później, a nadto wprowadził chwalebny zwyczaj, że gdy się zgłosił do chorągwi jaki dzielny towarzysz, ale ubogi, ona jako matka, była obowiązana wymoderować go swoim kosztem i dać mu konnego pachołka do posługi.

Zatem chorągiew Powały była wolentarska, najmująca się podczas wojny Rpospolitej, a w czasie pokoju któremu z magnatów, skoro potrzebował okazalszego orszaku na wjazd, sejm, dziewosłęby, albo sąsiedzkie zajazdy lub najazdy. A ponieważ rotmistrz był człowiekiem sympatycznym i umiejącym się wywiązać z każdego zadania jak najchwalebniej, przeto nie brakło mu możnych protektorów, pod których opiekuńczemi skrzydłami zostając, nauczył się nie bać nikogo; *że zaś miał serce z wosku*, a Rpospolita niezawsze wypłacała żołd wojsku, przeto nasz rotmistrz rządził się maksymą: „nie będziesz brał, nie będziesz miał; nie będziesz kradł, nie będziesz jadł“. I powziąwszy

---

[1]) Haubica z czeska granatnik.

takie przekonanie, gdy nie można było zdobyć na nieprzyjacielu wiwendy, wybierał takową gdzie mógł i jak mógł, trzymając się zawsze zasady, że nie grzech wziąć bogaczowi, gdy się przez to posili biedaka. Majątku przecież nie zbierał, a żyć potrzebował, tak on, jako i jego towarzysze, jeżeli nie dla siebie, to dla obrony Rpospolitej, która, jako matka, nie powinna pozwolić tak zacnym pachołkom poumierać z głodu.

Za tym podobne sprawki imć rotmistrza, poszkodowani udawali się do sądu i otrzymywali wyroki, skazujące przestępcę na różne kary, jako to: wieżę, banicyę powszechną, bez infamii, a nawet całkowitą, z infamią. Ogółem było takich wyroków kilkadziesiąt. Rotmistrz jednak wcale się tem nie kłopotał. Zostając pod możną protekcyą hetmanów i będąc im potrzebnym, posiadając nadto względy samego króla, nie troszczył się o jakieś tam marne skrypty sądowe, i wyklejał sobie nimi ściany.

Ożenił się również bez należytego zastanowienia. Pod wpływem chwilowego natchnienia wziął pannę starszą od siebie, bez posagu i znaczniejszych kolligacyi, a ponieważ sam był goły, jak święty turecki, przeto pożycie okazało się trudnem. Po kilkunastu miesiącach małżeńskiej szczęśliwości, wybrał się Powała na wojnę, pełen gorącej chęci dorobienia się fortuny i powrócenia do żony z tęgim kawałkiem chleba. Gdy jednak tym pobożnym intencyom jego przeszkodziły pozwy i wyroki sądowe,

musiał zarzucić swe pia desideria zostania poważnym obywatelem i ojcem rodziny, a nie mogąc powrócić do żony, postanowił szukać bezpieczeństwa w obozie, pod opieką hetmanów i zacnych towarzyszów, którzyby go za nic w świecie nie wydali w ręce sprawiedliwości.

Od tego też czasu rozpoczyna się jego życie, pełne różnych przygód, zarówno wielkich rycerskich, jako też drobnych hultajskich, które, ze względu na rzeczywisty pożytek, jaki przynosił zagrożonej Rpospolitej, należy mu wspaniałomyślnie przebaczyć.

Co zaś do obecnych miłosnych terminów, w jakie, z woli lekkomyślnego Amora, popadł najniespodziewaniej, należy skonstatować fakt wielce smutny, ale zarazem oczywisty, że ognisty rycerz nie był już panem siebie. Piwne oczy uroczej Podolanki dotarły do najistotniejszej głębiny jego serca, i zrobiły w niem tak straszną rewolucyę, że gotów był poświęcić dla niej wszystko, pisać się na najszaleńsze czyny, sprowadzić choćby samego Chmiela do jej stóp, byleby otrzymać za to afekt pożądany. Czuł, że narażając się Potockiemu, traci niejako ostatnią deskę zbawienia przed ścigającymi go wyrokami sądowymi, ale jednocześnie czuł także niemniej oczywiście, że bez Maruszki żyć nie potrafi i że, chcąc zdobyć takowy specyał, trzeba też i karku nadstawić.

Minęło sporo czasu, nim wysłany z listem

do Załośców Litwin powrócił. Podróży w owym czasie nie odbywało się tak szybko, jak dzisiaj, bo jakkolwiek mężczyźni jeździli zazwyczaj komunikiem, t. j. wierzchem, jednakże z powodu złych dróg i braku noclegów, posuwano się zwykle bardzo wolno naprzód. Wiedział o tem Powała i dlatego nie spodziewał się posłańca prędzej, jak za dni kilkanaście.

Pocieszał się też, jak mógł, spędzając dni na zabawach dworskich, na które ks. Janusz nie szczędził kosztu, byleby uczcić należycie przyszłego szwagra, lub w braku takowych, udawał się pod wiechę, gdzie go zawsze czekało grono towarzyszów broni.

Z Maruszką widywał się od czasu do czasu na dworze Radziwiłła, gdzie piwnooka dziewoja zawsze towarzyszyła swym paniom; nie miał jednak sposobności rozmawiania z nią sam na sam. Z początku udawał się kilkakrotnie do znanego nam korytarza, ale widząc, że wyczekuje napróżno, dał za wygraną, wytłómaczywszy sobie, że nie godzi się politycznemu kawalerowi być zbyt natrętnym i, nie spełniwszy zobowiązania, żądać przed czasem nagrody.

Maruszka zaś, wiedząc, iż rycerz nie pojechał sam z listem, jeno wysłał człowieka pewnego, była spokojna, że tak grzeczny kawaler nie powierzył misyi bylekomu, i czekała cierpliwie umówionego znaku, który miał ją uwiadomić, że odpowiedź przyniesiona.

Wszystko tedy szło swoim trybem; gdy

pewnego dnia zjawił się przed rozkochanym rotmistrzem Litwin i oddał mu pożądany respons od Jerzego.

Powała, gdy go zoczył, wydał okrzyk radości, a potem, chwyciwszy imć Agapita Chytrejkę w swe potężne ramiona, sprasował go w nich z taką siłą, jakby mu chciał, przez wdzięczność, wszystkie żebra połamać. Poczem rzekł uroczyście:

— Chwała Bogu, żeś waszmość powrócił!

— Takoż, dobrodzieju, leciałem jako Tatar — odparł tenże, wydostawszy się z uścisku i chwytając całą piersią powietrze, zupełnie jak czyni ten, który wydobył się nagle z dusznej izby, i odetchnął świeżą atmosferą. — Obdarzył mię też książę pan niezgorzej, bo był wielce rad z onego listu.

— I co waści kazał powiedzieć? co? — dopytywał ciekawie Powała.

— Zaraz, dobrodzieju, jeno niech pierw odsapnę i czem się posilę, bowiem szmat drogi dzisiaj zrobiłem okrutny. Kościska mi się rozlirotały, dobrodzieju, jak rozwora u wozu. Przeto jeśli waszmość masz co przekąsić i jaką kszynę miodu, to posil chudziaka.

Powała skoczył po miód, a imć Agapit opowiadał dalej:

— Godny to ród panów Wiśniowieckich, jako i dobytku wszelakiego u nich wbród. Taki to, dobrodzieju, nie to, co u nas, mizeraków... oj nie to!... Ha, ziemia rodzajna, to i człek na niej uroście.

— Ale gadajno waszmość, coć powiedzieli?—pytał rotmistrz, nalewając kusztyki.

Litwina jednak snadź więcej zajmowały dostatki książęce, aniżeli poruczona mu sprawa, bowiem ciągnął dalej:

— Widziałem ci, dobrodzieju, takoż fortuny innych panów, bo to u was pan od pana o miedzę siedzi.

— Waszmość, widzę, z chciwości niedługo pacierza zabędziesz, i zamiast „Pater noster“ — będziesz Panu Bogu o fortunach pańskich narrare — rzekł zniecierpliwiony Powała.

— Zachciałeś, dobrodzieju—mówił płaczliwie Litwin. — Każdemu miło jest popatrzeć choćby na cudzy dobytek, bowiem myśli sobie, że przy pomocy Bożej i Jego świętym faworze, mógłby się takoż dorobić substancyi.

— Dorobisz się waszmość i tyla, i więcej, jeno gadaj, coć powiedziano.

— Bóg zapłać, dobrodzieju, za dobry omen. Jeno... bo widzi waszmość, kiedy sobie pocznę kalkulować, że taki chudy pachołek, jako ja, niekoniecznie może się zdać waszym dziewkom...

— Do krocset!—krzyknął, straciwszy resztę cierpliwości Powała — skończże już waść z onym dobytkiem, a przejdź do rzeczy, bo jeśli będziesz takim dusigroszem, to cię nie tylko grzeczna podwika, ale nawet żaden antydyluwialny starodub nie zechce.

Ten argument snadź lepiej trafił do przekonania imć Chytrejki, bo jakby przestraszony,

chwycił kusztyk i, wypróżniwszy go jednym haustem, rzekł:

— Czego to waszmość chciałeś, dobrodzieju?... Aha! Książę udarował mnie dość grzecznie... aczkolwiek, między nami mówiąc... bo waści, jako memu konfidentowi, mogę się ze wszystkiego spuścić... Taże to dla takiego fortunata dać chudemu pachołkowi jaką wioszczynę, byłoby jako raka z kobieli wypuścić... Jeno, że ja nie jestem chciwy...

— Przetobyś się choćby folwarkiem kontentował.

— Zgadłeś, dobrodzieju — odrzekł dobrodusznie Litwin—jako już taki nasz ród, że się byle czem kontentować potrafim.

— Ho, ho! widzę ja to przecie, że ać z zacnego rodu oryginem bierzesz. A jakiego też herbu, jeśli wolno wiedzieć?

— Wilczy pazur, dobrodzieju — odparł, wzdychając, Litwin.

— Ano, to i nie dziw, żeś waść taki modestus i byle czem się kontentować potrafisz. Ale gadajno waszmość, jaki respons od księcia przynosisz?

Imć Agapit poskrobał się w głowę, a następnie rzekł po namyśle:

— Taki powiedz mi, dobrodzieju... bowiem nijak tego skalkulować nie mogę... czemu waść, niby służąc hetmanowi, listy do Załośców posyłasz?

Powała sponsowiał. Już, już miał grzmotnąć Chytrejkę swą potężną pięścią, ażeby za-

milkł na wieki, ale się pohamował. Ścisnął tylko kułak i rzekł groźnie:

— I nie waż się waszmość nad tem deliberować, bo ci uszy obetnę. Rozumiesz?

Litwin zdetonował się bardzo.

— Ja tam, dobrodzieju, w cudze sprawy nie wchodzę—odrzekł pokornie.—Co mnie do tego? Kazałeś waszmość ponieść list, takoż poniosłem, a zresztą—co mnie do kogo?

Powała sapał przez chwilę, nie mogąc się uspokoić, aż wreszcie rzekł:

— Wiesz waść, że gdyby książę hetman [1]) o tem wiedział, jakoś wać z onym listem biegał, toby cię bez pochyby jutro obwiesić kazał?

Litwin poskrobał się w głowę, mocno zalterowany, i odrzekł:

— Może to i prawda. Ale poco ma ks. hetman wiedzieć, skoro ja nie księciu, jeno WMpanu, memu dobrodziejowi, służę i jego ordynanse wypełniam.

— Masz waść respons?

— Taki mam, dobrodzieju.

— Daj go waść.

Litwin sięgnął do zanadrza i, wyjąwszy list, oddał go Powale, mówiąc:

— Oto jest, dobrodzieju.

Ten chwycił pakiet i, nic nie mówiąc,

---

[1]) Radziwiłł.

schował go szybko za kontusz. Poczem zapytał:

— A na gębę nic waści nie kazali powiedzieć?

— Owszem, dobrodzieju. Książę pan upominał, aby mieć to w obserwacyi, kiedy jejmość hospodarowa będzie się wybierać z powrotem, i duchem dać znać do Załośców.

— Co się tknie powrotu, to się kniaź nierychło doczeka — odrzekł ironicznie Powała.

— Owszem, dobrodzieju—ciągnął z przekonaniem Litwin. — Książę ma nowiny, że wprędce musi się JM. hospodarowa zbierać do drogi, o czem pono jest w liście szerzej napisano. Owóż, dobrodzieju, książę pan chciałby wiedzieć, jaką drogą będą jejmoście powracać, za co wielką łaskę obiecuje.

Powała zgrzytnął zębami, a potem zakręcił gwałtownie wąsa i odrzekł gniewnie:

— Będzie kniaź wiedział, jeno dubituję, zali mu to na dobry koniec wyjdzie.

Co powiedziawszy, chwycił gwałtownie za czapkę, wcisnął ją na ucho i wyszedł, pozostawiając imć Agapita w wielkiem zdziwieniu.

— Bzik, czy mente captus? — myślał sobie sfrasowany — Niby Wiśniowieckim służy, z listami posyła, a skoro mu przynosisz grzeczny respons, to się fuzoni, jakby nie był rad z tego. Taki bzik, dobrodzieju... alboli masłocznik.

Tu pobożny Litwin przeżegnał się znakiem krzyża świętego, a potem zaczął rozmyślać nad swoim losem:

— Ot tobie fortuna!... Tfu! dobrodzieju!... Książę pan obdarzył mnie niezgorzej. Przy takim fortunacie mógłby się czlek rychło substancyi dorobić, gdyby ten Powała miał mentem w należytym porządku. Ale, taki widać, nie mam szczęścia. Zaczęło się fortunić, a przez onego delirata może się wszystko na złe obrócić.

I zrozpaczony, zaczął się skrobać w głowę tak frasobliwie, że mu na niej czapka, z wielkiej alteracyi, kozaka tańcować zaczęła.

— Ot tobie los! Taki pan mógłby dać człowiekowi wioskę, także i dwie, bez uszczerbku własnej fortuny, albo i trzecią w arendę, gdyby mu się dobrze zasłużyć. A tak—ot tobie masz!

Tu imć Agapit pokiwał smutnie głową, a następnie westchnął uroczyście i, machnąwszy ręką, rzekł z rezygnacyą:

— Ha, trudno! Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, niech będzie Imię Jego święte błogosławione!... Acz taki ciekawa, co on w tem mieć może, skoro niczego dla się nie afektując, taki z listami posyła?

I, siląc się napróżno rozwiązać ów węzeł gordyjski, imć Agapit zakonkludował wreszcie:

— Nie może być inaczej, jeno wartogłów, i basta!

Powala tymczasem, wydostawszy się na powietrze, biegł, jak szalony. Wściekłość go ogarniała, gdy sobie pomyślał, że ludzie mogą go mieć za zdrajcę. Wprawdzie Litwina mało sobie ważył, ale niemniej czuł się upokorzonym we własnych oczach. Wszystkie wyroki sądowe, to były czyny niezgodne z kodeksem prawnym, za które jednak nie potrzebował się wstydzić. Czynił wbrew prawu, ale nie czynił źle, był więc we własnem sumieniu spokojny. Teraz jednak zdradzał swego protektora i, w obecnej chwili, chlebodawcę, a na ten czyn niegodny prawe serce rotmistrza oburzało się do gruntu. Czuł, że czyni źle.

— I to wszystko dla jednej podwiki, dla gładkiego liczka! — myślał sobie — A bodaj się takie nie rodziły! To istne strzygi, co prawego człeka wiodą na manowce. Zerknie to bestyjstwo, przymili się i, ot masz! gotówbyś dla niej zatracić własną duszę.

Te reminiscencye rozczuliły srogiego rotmistrza. Przypomniał sobie owe oczęta, co tak słodko nań poglądały, owe drobne rączyny, takie miękkie, a takie miłe, jak ko-

cie łapki, i dreszcz go przeszedł od stóp do głowy.

— O rety, rety! — myślał sobie — co to za gębula miła, to istne bakalie!

I od razu poczuł, że dla takich cząt i takiej gębuli gotówby o wiele więcej zrobić, choćby się dyabłu w arendę zaprzedać.

Gniew powoli słabnął w sercu rotmistrza, a jego miejsce poczęła zastępować jakaś dziwna rzewność. Zdawało mu się, że wszystko, co ponosi, to jeno drobnostka w porównaniu z tem, coby gotów zrobić dla onej dziewczyny. Cierpienie stawało mu się rozkoszą, której nie oddałby za wszystkie skarby świata.

I takiemi myślami natchniony, poszedł najpierw pod okno uroczej bogdanki, dać umówiony znak, a potem do owego ciemnego korytarza, ażeby jej wręczyć pożądaną odpowiedź z Załośców.

Niedługo czekał, gdyż obiedwie panny wyczekiwały listu z upragnieniem.

— A co? — pytała gorączkowo Maruszka, wybiegłszy zaraz na korytarz — respons jest?

Powałę na widok dziewczyny ciarki przeszły od stóp do głów. Uśmiechnął się z lubością i, podkręciwszy wąsa, wyjął list z zanadrza.

— Dajcie! — szepnęła dziewczyna, chcąc chwycić upragniony przedmiot.

Ale on podniósł nagle rękę do góry i rzekł uroczyście:

— Bierzcie sami.

Dziewczyna się zawahała. Powala był słusznego wzrostu, a Maruszka drobna. Chcąc dostać list z jego rąk w tej pozycyi, musiałaby po prostu spinać się na niego, czego uczynić bała się i żenowała.

Zaczęła przeto prosić pokornie:

— Co aści z tego? Dajcie sami. Toćże to nie moja sprawa, jeno hospodarówny jejmościanki...

— Czort z nią! — odparł szorstko rotmist. — Nie dla niej ja z listem posyłał i respons przynosił, jeno dla ciebie, miła dziewczyno.

— Więc dajcie — prosiła słodko Maruszka.

— Bóg mi świadkiem, że nie dam inaczej, chyba sami weźmiecie.

Dziewczyna zaczęła się skradać. Chciała najpierw pochwycić list, nie dotknąwszy się rotmistrza, lecz gdy to okazało się niemożebnem, musiała pochylić się na niego, potem wspiąć się na palcach, a w końcu chwycić go za ramię, podskoczyć, i w ten sposób dostać zdobycz upragnioną.

Wtedy on objął ją ramieniem i, tuląc do wezbranego łona, okrywał gorącymi pocałunkami.

— Oj, dziewczyno, dziewczyno!—mówił— jakiegoś ty mi lubczyku zadała, że już bez ciebie i życia niemasz dla mnie na tym świecie.

Ona nie broniła się bardzo. Ten szczery ryczerz od razu trafił do jej serca; przeniosła go nad innych już wtedy, kiedy jeszcze nic

dla niej nie uczynił. A teraz — była przecież jego dłużniczką. Zresztą pocałunki te sprawiały jej przyjemność. Powiedzmy krótko — Maruszka kochała już Powałę.

A on? — czuł bicie jej serca przy swem łonie, czuł na swej twarzy żar jej oddechu, czuł, że ręce jej ściskają się kurczowo w jego dłoni, oddając uścisk za uścisk, czuł, że jest kochany.

Szał niepojęty owładnął nim całym, pocałunki nie uśmierzały jego gorących pragnień, one je podniecały. Zdawało mu się, że albo spłonie w tym ogniu namiętności, albo musi go ugasić.

Przytulił ją do piersi i rzekł:

— Słuchaj dziewczyno, ty musisz być moją, albo z sczeznę z kochania.

— Będę twoja—odrzekła szczerze dziewczyna, tuląc swą głowę do jego piersi.

Słowa te były wymówione takim tonem, że Powała zrozumiał od razu, iż dziewczyna nie wie o jego fatalnem kalectwie, że go bierze za kawalera.

Mógł wprawdzie korzystać z jej nieświadomości, ale nie chciał, przeciwnie myśl ta oburzyła go tylko.

— Pokocha takim, jakim jestem — pomyślał sobie — albo odrzuci jak psa, a wtedy przyjdzie człeku zdechnąć bez niej, jako psu.

I tą myślą natchniony, rzek smutnie, niemal z rozpaczą:

— Oj, nie chcę ja ciebie zwodzić, dziew-

czyno, niechcę, choćbym miał przez to i niebo otrzymać. Miłuję cię, jakom nikogo nie miłował i pono już nie będę; ale i to trzeba ci wiedzieć, jako nie jestem luźniakiem.

Maruszka wysunęła się lekko z jego objęć i spojrzała nań przerażona.

— To wy żonaty? — zapytała głucho.

A potem ukryła oczy w fartuszku i zaczęła cicho płakać.

Powale na widok tych łez zrobiło się okrutnie markotno; chciałby ją był pocieszyć, ale sam nie wiedział jak. Przytulił ją jeno do piersi i począł mówić.

— Nie płacz jedyno. Taka już snadź wola Boska, byś mi żoną nie była. Ale jeśli zechcesz mię miłować takim, jako jestem, to klnę ci się na Boga, że wierniejszego nademnie pachołka na całym świecie nie znajdziesz.

Dziewczyna podniosła nań załzawione oczy, w których jednak nie widać już było przerażenia. Snadź pogodziła się z tą myślą.

Co widząc rotmistrz, chwycił ją za ręce i rzekł:

— A co, jedyno, nie wzgardzisz, nie odrzucisz jako psa?

— Oj nie żyć mnie już więcej na świecie bez was, niebodze! — odparła smutnie.

— O mojaś ty najmilsza! — wołał rycerz w wielkiem uniesieniu, całując jej ręce.

I nagle smutek jego zamienił się w wybuch szalonej radości. Wziął ją jak dziecko na ręce, oparł się plecami o ścianę i, założywszy

jedną nogę na drugą, posadził ją na niej, jakby na krześle.

Maruszka nie broniła się wcale. Niezwykła siła kochanka miała dla niej dziwny urok, obezwładniała ją i czyniła podległą. Śmiała się tylko i kryła twarz ku tyłowi jego głowy, podczas gdy rotmistrz mówił w uniesieniu, okrywając jej włosy gorącymi pocałunkami:

— Jużbym też poczciwszej od ciebie dziewczyny na całym świecie nie znalazł. Nie będę łgał, żeś ty mi pierwszą, boby mię P. Bóg zato pokarał; ale co prawda, to nie grzech, jako mi jeszcze do żadnej tak serce nie lgnęło, ile do ciebie.

I zastanowiwszy się chwilę, dodał wesoło:

— Słuchaj dziewczyno, już mnie bez ciebie nie żyć na tym świecie, a gdyś sama rzekła, jako i tobie bezemnie, to... co ma być, niech będzie — pójdź ty do mnie, jedyna.

Maruszka nagle zesunęła się z jego kolan i, spojrzawszy nań przerażonym wzrokiem, spytała:

— Jakto? tak bez kościoła?... bez księdza?...

— Z księdzem, bez księdza — odrzekł — zali niema kochania, to dyabeł na weselu tańcuje; a skoro stateczny afekt w sercu dominuje, to i P. Bóg. łacniej takowy grzech odpuści.

Ale Maruszka odepchnęła go żywo i rzekła szorstko:

— Idy siromacha!

Poczem wyrwała się szybko i, zanim rot-

mistrz oprzytomniał, znikła we drzwiach swego pokoju.

On stał chwilę, nie mogąc na razie zebrać myśli; a potem chwycił go żal okrutny za serce.

— Ot, takie one wszystkie — pomyślał — Samą ci się narzuci, rozmiłuje cię, że sobie rady dać nie możesz, a potem powie ci: „idy siromacha!“ I ty idź, choćby ci łeb przyszło rozbić o ścianę.

I po raz pierwszy zaczął na seryo rozważać postępek swój z owym listem, który mu się wydał tem karygodniejszym, im nniej nagrodzonym.

— Oj, nie zrobiłbym ci ja tego dla nikogo w świecie — myślał sobie — choćby mi dano cały skarb hospodarski, któren ma być pono największy w świecie; a jeszczebym szablą mignął przed oczy takiemu, coby mię do podobnych akcyi kusił. A jednak'em ci to uczynił dla tej podwiki, po to jeno, by teraz usychać z kochania.

I w miarę, czem więcej rozważał, tem cięższą wydała mu się niewdzięczność Maruszki i tem większą ofiara, jaką dla niej zrobił.

Siedział tak skurczony w starej framudze, godzinę, dwie — i byłby może przesiedział noc całą, gdyby nie nagłe ukazanie się światła i ludzkie kroki, które go zbudziły z odrętwienia.

Spojrzał — przez korytarz szła hospodarowa, trzymając świecę w ręku, właśnie w stro-

nę, gdzie nasz rycerz odprawiał reminiscencye. Skryć się było niepodobieństwem, uciekać również nie mógł, gdyż służba pałacowa przytrzymałaby go niezawodnie. W tem trudnem położeniu, przyszło mu na myśl—udawać ducha.

Ściągnął więc szybko kaptur od opończy na oczy i, przybrawszy postawę uroczystą, zaczął kroczyć przez korytarz poważnie, jak przystało na prawdziwego ducha, wprost ku hospodarowej.

Matrona, posłyszawszy obce kroki, podniosła oczy w górę, spojrzała i, przerażona niezwykłą postawą rycerza, wydała krzyk straszliwy. Świeca wypadła jej z ręki, zaczęła uciekać, ale nogi wymówiły jej posłuszeństwo — i padła zemdlona na podłogę.

W tejże chwili otworzyły się drzwi na korytarzu, a w nich ukazała się Maruszka, która, chwyciwszy wylęknionego Powałę za rękę, wepchnęła go do swego pokoju — sama zaś pobiegła ratować hospodarową.

Zrobił się alarm w całym pałacu, zbiegła się zewsząd służba, zaczęto cucić matronę, a gdy przyszła do siebie, wypytywać co zaszło.

W parę minut później rezeszła się wieść po pałacu, że jakiś duch ukazał się hospodarowej jejmości, następnie mówiono już, że to był nieboszczyk książę Mikołaj, że miał manele na rękach i nogach, i że strasznym głosem błagał Lupułową, polecając się jej pobożnym modłom.

Książę Janusz kazał przeszukać cały zamek, przetrząsnąć wszystkie kryjówki, ale gdy nikogo żywego nie znaleziono, wszyscy uwie-

rzyli, że widziany przez hospodarową rycerz był rzeczywiście duchem, i że musi mu być ciężko na tamtym świecie, skoro miał na rękach i nogach manele, a przytem jęczał tak okropnie.

Nazajutrz, na dworze księcia, a nawet w całych Kiejdanach, nie mówiono o niczem innem, jeno o wypadkach ubiegłej nocy. Czem dalej szła wiadomość, tem silniej rosła, barwiona w najfantastyczniejsze kształty, aż w końcu stała się zupełnie niepodobną do pierwotnego swego założenia.

Jedni głosili: że widziany duch nie tylko miał manele na rękach i nogach, ale nadto z ust buchał mu ogień straszliwy, którym zionął na hospodarową tak, że jej twarz oparzył, aż musiano wzywać medyka. Inni utrzymywali, że miał oblicze księcia, ale rogi na głowie i harcap z tyłu, a był ubrany we fraczek niemiecki, podobno za karę, że porzucił świętą wiarę katolicką i przyjął kalwinizm, który ma się do wiary katolickiej akurat tak, jako, nieprzymierzając, właśnie on miesiąc do słońca. Niektórzy nawet radzili się księży, czy podobna kara mogłaby odpowiadać przestępstwu odszczepionego magnata—czy nie byłaby za wielką lub za małą, w stosunku do win, przez niego popełnionych. Tem więcej zaś wszyscy zostali utwierdzeni o prawdziwości zdarzenia, gdy z rozkazu księcia hetmana, odprawiło się w kościele dyssydenckim solenne nabożeństwo żałobne za duszę św. p. ks. Mikołaja.

Ale ta właśnie okoliczność sprowadziła nowe spory i nowe nieporozumienia pomiędzy katolikami i kalwinami.

Pierwsi utrzymywali, że niegodną było rzeczą ze strony ks. Janusza odprawiać nabożeństwo za duszę zmarłego na sposób kalwiński, skoro widoczną było rzeczą, jak niewielki skutek musiały mieć modły dyssydenckiego duchowieństwa u P. Boga, gdy ks. Mikołaj znajdował się na tamtym świecie w takowej opresyi, i że należało raczej polecić sprawę zbawienia potępionej duszy modłom katolickiego duchowieństwa; drudzy zaś twierdzili, że gdyby sobie nieboszczyk życzył modłów katolickich, to byłby się ukazał komuś z członków rodziny, wyznających wiarę papieską. Ukazując się zaś hospodarowej jejmości, chciał pokazać, że mu nie chodzi o to, w jakim kościele odprawiać się będą modły, jeno pragnął przypomnieć rodzinie, że potrzebuje pomocy.

Bądź co bądź, katolicy byli górą. Opłakany stan nieboszczyka, w jakim się znajdował na tamtym świecie, nie wychodził na korzyść dyssydentów; bo choćby nawet wyłączyć owe rogi i ogon dyabelski, zawsze zmarły książę znajdował się w położeniu nie do zazdrości. Wygrażano też zupełnie słusznie „niemiaszkom", że im tak wszystkim przyjdzie wyglądać po śmierci, jeśli się kacerskich błędów nie wyzbędą i za życia na łono katolickiego kościoła nie powrócą; co w protestantach wzbu-

dzało wielkie gniewy, a także potrosze i strach niemały.

Odbyło się nawet z tego powodu kilka pojedynków, kilka bab, gorętszego temperamentu, powyrywało sobie pęki włosów z głowy, a ksiądz z pastorem pokłócili się tak, że aż sprawę odesłano do biskupa.

Powała śmiał się w duchu z owych kłótni, ale, jako prawy papista, uznał za słuszne stanąć po stronie katolików; bronił zaś sprawy tak żarliwie, że kilku dyssydentom ponadcinał uszy, innych poszczerbiwszy paskudnie. I byłby niezawodnie nie poprzestał na tych tryumfach, gdyby nie srogi rozkaz księcia, zabraniający „pod wieżą“ wszelkich sporów w tym przedmiocie, a „pod gardłem“ pojedynków, co też zrobiło skutek należyty.

Na dworze ks. Janusza bawiono się ciągle ochoczo. Hetman litewski, pragnąc nową kolligacyą zacieśnić istniejące już węzły pokrewieństwa z możnym i wpływowym domem W. hetm. koronnego i pana ogromnej fortuny w Polsce, nie szczędził trudów i kosztu, ażeby młodego Potockiego ugościć i zachęcić do związku z Rozandą.

Pomimo tego, imć gubernator wahał się w postanowieniu, nie mogąc się na stanowczy krok zdecydować.

Powodem do takowej niedecyzyi młodzieńca była sama Rozanda, która, mając głowę zajętą kim innym, zrażała go na każdym kroku; on zaś, jako człek młody i pałający szczerym afektem, pragnął, ażeby mu narzeczona równą odpłaciła przychylnością.

Mijał więc dzień po dniu, tydzień po tygodniu, a sprawa konkurów, ku wielkiemu strapieniu ks. Janusza i hospodarowej, nie posunęła się ani o cal naprzód.

Tymczasem wypadek zrządził, że list Jerzego — jak to zwykle bywa z podobnego rodzaju zakazanym owocem, który panny noszą

przy sobie i co chwila odczytują — dostał się w ręce Lupułowej,

— Skąd masz ten list? — spytała zdziwiona księżna, nie mogąc pojąć, jakim sposobem udało się córce, pomimo kurateli, jaką ją otoczono, przeprowadzić korespondencyę z kochankiem.

Rozanda, będąc z natury potulną i przyzwyczajoną ulegać we wszystkiem rodzicom, nie umiała się wykręcić stanowczej i energicznej matronie i, prawie niechcący, wygadała się, że przesyłkę listów ułatwiła jej Maruszka.

Cała więc burza spadła na biedną Podolankę, która, przywołana przed oblicze pani, stanęła wystraszona i drżąca.

— Kto aćpannie ten list oddał? — pytała groźnie hospodarowa, pokazując dziewczynie fatalny corpus delicti.

Maruszka na razie zmieszała się bardzo, ale ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, postanowiła wykręcić się dyplomacyą.

Odrzekła też naiwnie:

— Ten list, WMiłość, z Załośców?... A, to ja przyniosła.

Hospodarowa, zdetonowana śmiałą odpowiedzią dziewczyny, straciła pewność siebie i rzekła już nieco łagodniej:

— Jak śmiałaś to uczynić, skoro wiesz, żem srogo zabroniła wszelkiego do księcia pisania?

— Tak? — odparła, jakoby zdziwiona podwika — A ja o tem nic nie wiedziała!... Posy-

łaliśmy wżdy obsyłki do kniazia, tak myślałam, że skoro jejmość panna każe, to trzeba posłać. Rezolutna odpowiedź i przypomnienie frymarku z narzeczonymi zawstydziły nieco hospodarową. Dawszy też za wygraną co do winy Maruszki, chciała się przynajmniej dowiedzieć, kto, prócz niej, ułatwiał korespondencyę.

Zapytała więc, po chwili namysłu:

— A kto listy odnosił?

— Te listy?—wykrztusiła z trudem dziewczyna — Te listy, to ja odnosiła.

— Jakto aćpanna? — pytała zdumiona dama, nie wiedząc, czy dziewczyna nie rozumie, o co ją pytają, czy też umyślnie udaje głupią.

— Ano, ja—potwierdziła z tą samą naiwnością Maruszka — Ja poniosła obsyłkę, i ja respons przyniosła.

Hospodarowa wzruszyła ramionami, ale nie mogąc się jeszcze zoryentować, czy ma z głupią do czynienia, czy z frantem, rzekła:

— Przecieżeć aśćka sama z listami do Załośców nie biegała.

A, nie ja, jeno posłaniec—tłómaczyła się, ciągle z jednaką dobrodusznością, sprytna Podolanka.

— A co zacz jest ów posłaniec?

— Kto go wie, WMiłość!... Ot posłaniec, taki sobie posłaniec, jako zwyczajnie.

— Jakto. nie znasz go?

— A nie znam, WMiłość. Taki chłop, jako i drudzy, ma wąsy, brodę, taj szablę u pochwy.

— A gdzieżeś go naszła?

— A na gościńcu. Stojał sobie pod zamkiem i patrzał. Tak ja go spytała: poniesiecie obsyłkę do Załośców? A on gada: Poniosę, czemu nie?

A przyniesiecie renspons? Powiada: Przyniosę.

Tak ja mu list dała.

— I przyniósł respons?

— A przyniósł.

Hospodarowa zastanowiła się. To co mówiła Maruszka, było prawdopodobne. O posłańca nigdy nie bywa trudno, zwłaszcza gdy się dobrze zapłaci. Niemniej jednak duma pańska nakazywała odnaleźć winnego i ukarać. Z tym też celem, zapytała:

— A poznałabyś onego człowieka?

— Zaliby onego pokazać, toby poznała— odrzekła rezolutnie, wiedząc, że się to na gadaniu skończy.

Ale hospodarowa badała dalej:

— A na dworze go nie widujesz?

— O!.. tutaj go niema! — rzekła z naiwnym gestem — On musi być nietuteczny.

Nie było co więcej gadać. Hospodarowa kazała się dziewce oddalić, napomniawszy tylko, żeby odtąd, bez jej wiedzy, nie ważyła się przesyłać jakichkolwiek listów, bowiem taka jest wola hospodara jegomości, któryby ją srogo za nieposłuszeństwo ukarał. Dziewczyna przyrzekła słuchać pani i — niby wszystko skończyło się dobrze, ku wielkiej uciesze Maruszki, że się

sama tak łatwo wykręciła, a nadewszystko nie potrzebowała zdradzić Powały.

Ale, jeszcze tego samego dnia, została powtórnie zawezwaną do hospodarowej.

W komnacie, prócz wołoskiej matrony, siedział ks. Janusz, poważny i majestatyczny, ze zmarszczonemi brwiami i surowym wyrazem twarzy. Skoro się Maruszka pokazała, utopił w niej wzrok badawczy, jakby ją chciał przeniknąć do gruntu, i rzekł krótko:

— Jak się zwie ten, co waćpannie listy do Załośców nosił?

Pod dziewczyną łydki zadrżały. Spuściła pokornie oczy i odparła cicho:

— Ja nie wiem, WMiłość.

Ale książę nachmurzył jeszcze silniej czoło i rzekł groźnie:

— Rozkazuję aśćce, żebyś mi wyjawiła nazwisko tego, co waćpannie listy nosił.

Maruszce zimny pot wystąpił na czoło. Srogie oblicze księcia i ton, jakim do niej przemawiał, ogłuszyły ją i niejako pozbawiły własnej woli. Przez chwilę zdawało jej się, że temu człowiekowi niepodobna niczego odmówić, że musi się poddać, wypełnić jego wolę. Ale, na szczęście, nie trwało to długo, przezwyciężyła się szybko i, czując w duszy inne, potężniejsze od strachu, uczucie — miłość dla Powały, rzekła śmiało i z dziwną stanowczością:

—WMiłość, ja nie wiem, co zacz jest ten człowiek, ja jego nie znam!

W głosie jej brzmiała niezwykła energia,

jakby siła rozpaczy, co można było sobie dwojako tłomaczyć: albo dziewczyna rzeczywiście nie znała posłańca, albo też pragnęła go uchronić od kary, a w takim razie, musiało ją coś z nim łączyć.

Zrozumiał to przenikliwy umysł księcia i, przypuszczając to drugie, rzekł, groźnie ściągnąwszy brwi:

— Radzę aśćce powiedzieć prawdę po dobroci, żebyć zaś nie przyszło onej godać po złości; mam ja bowiem na to remedya, żeby aśćce gębę rozwiązać.

Ale Maruszka powzięła już postanowienie. Strach, którego doznała z początku, na widok potężnego magnata, zniknął już zupełnie z jej serca, a natomiast poczuła w niem lubość rodzącej się miłości i rozkosz poświęcenia się dla niej. I, pod wpływem tych uczuć, stała się gotową na wszystko.

Myślała sobie: Chociażby zabili, nie powiem, że to on.

I taką powziąwszy rezolucyę, odrzekła:

— Nie mogę mówić tego, czego sama nie wiem. Raz ja na oczy tego posłańca widziała, i więcej nic nie wiem.

Teraz i książę uwierzył, że dziewczyna nie zdradzi wspólnika; ale jako człek z natury zawzięty, nie dał za wygraną, lecz postanowił innym sposobem odszukać winowajcę, ażeby następnie ukarać razem oboje.

I taką myślą natchniony, rzekł:

— Źle aśćka czynisz, skrywając to, co

winnaś była powiedzieć nam od razu, bowiem przez takowy upór, zwiększasz swą własną winę, Mam ja remedya, żeby i bez aśćki dowiedzieć się prawdy, jeno że przy tem mogą wyjść na jaw insze rzeczy, które możebyś aśćka wolała zachować w sekrecie.

Co powiedziawszy, kazał odejść precz dziewczynie, a natomiast zawołać inne panny fraucymerne, z zamiarem wypytania ich, kto był rycerzem Maruszki i, w ten sposób, chwyciwszy nitkę, dojść po niej do kłębka.

Stawiły się wystraszone dworki, ale przy indagacyi, po części ze strachu, a po części z nadmiaru gorliwości w przysłużeniu się księstwu, tylu wyliczyły adoratorów Maruszki, że Powała, jakkolwiek niepominięty w wykazie, zniknął w tym ogromie wielbicieli, niby szyszka w lesie, i książę, volens—nolens, musiał badanie przerwać, pocieszając się jedynie nadzieją, że może przypadek poda mu w ręce pożądaną nić Aryadny, po której będzie mógł wybrnąć z labiryntu paplaniny, w jaki go panny fraucymerne wprowadziły.

Niewiele lepszy skutek zrobiło również badanie marszałka dworu i innych urzędników; wszyscy jednogłośnie zeznali, że nikt ze służby, zarówno książęcej, jako też z orszaku hospodarowej, lub Potockiego, nie oddalił się w tym czasie ze dworu, i na nikogo nie padał najmniejszy cień podejrzenia.

W tych warunkach, należało sprawy zaniechać, co też niebawem uczyniono; i wkrótce

wszyscy o niej zapomnieli, z wyjątkiem Powały i Maruszki, głównych sprawców zakazanej korespondencyi, a obecnie oddanych sobie całą duszą kochanków.

Głównie zaś cierpiał przez to rotmistrz, który, przypisując wszystkie nieprzyjemności, jakie na Maruszkę spadły, Wiśniowieckiemu, taką doń zapałał zawziętością, że aż zęby ścinał, z wielkiej ochoty odpłacenia mu pięknem za nadobne, albo choćby tylko wypłatania jakiego figla.

— Gdyby nam ten kniazik nie był wszedł w paradę — kombinował sobie, ze zwykłym ludzkim egoizmem — to, ani chybi, hospodarówna łacniejby się na hetmanicza resolwowała, przyczem i człek miałby okazyę dłuższej konwersacyi ze swojem kochaniem. A tak, dziewczyna ściągnęła na się inwidyę hospodarowej jejmości i ks. hetmana, a także wszystko się przez to na złe obróciło.

Najwięcej zaś to bolało, że dziewka, bojąc się podać miłego sercu kawalera w podejrzenie, że owe listy miłosne nosił, unikała jego towarzystwa na zabawach dworskich, przez co imć rotmistrz tracił sposobność do miłej pogawędki, a nie chcąc nawzajem narazić Maruszki, musiał się trzymać z daleka i przez to własnemu sercu srogi gwałt zadawać.

O spotkaniu w korytarzu nawet marzyć nie było podobna.

Tymczasem z Jass przybył posłaniec, z listem od hospodara, w którym Lupul dono-

sił żonie, że Wysoka Porta, na skutek intryg Chmielnickiego, uważa go za niepewnego wasala i żąda, ażeby jako rękojmię swej wierności, przysłał Rozandę do Stambułu, w razie zaś odmowy, grożą mu złożeniem z hospodarstwa. Prosi przeto żonę, ażeby, nie wyjawiając nikomu prawdziwego powodu, pośpieszyła co prędzej z powrotem na Wołoszczyznę, skąd domna zostanie odesłana do Konstantynopola.

Przezorny Lupul obawiał się, żeby zainteresowani w tej sprawie panowie polscy, dowiedziawszy się, że Rozanda ma być wysłana do Turcyi, nie przeszkodzili temu i nie narazili go na utratę hospodarstwa.

Lupułowa spełniła wolę męża i, oświadczywszy ks. Januszowi, że jegomość jest chory i wzywa ją, wraz z córką, do natychmiastowego powrotu, zaczęła się szykować do drogi.

Wyjazd miał nastąpić za dni kilka.

Potocki, gdy się dowiedział, co zaszło, wyraził paniom swą kondolencyę, a ponieważ dotychczas, jak to już wyżej powiedzieliśmy z powodu widocznej niechęci ze strony Rozandy, nie zdecydował się jeszcze na żaden krok stanowczy, przeto postanowił towarzyszyć paniom, na Wołoszczyznę, i tam zamiary swe przyprowadzić do skutku,

Wydał też Powale ordynans, aby ludzie byli do drogi gotowi, gdyż ma zamiar asystować damom w podróży.

Powała był bardzo rad z tego. I jemu uśmiechała się owa droga, w której będzie

miał sposobność widzieć ciągle Maruszkę, bowiem umiłował dziewczynę ponad wszystko w świecie.

A ponieważ każdą ważniejszą okoliczność w życiu lubił obchodzić uroczyście, udał się przeto pod wiechę, ażeby z przyjaciółmi oblać tak pomyślną nowinę.

Tam, zaraz na wstępie, spotkał go imć Agapit Chytrejko i wielce płaczliwym głosem, zaczął ubolewać: że go snadź dobrodziej wypuścił z swej zacnej protekcyi, skoro nie tylko żadnego mu nie daje polecenia, ale nawet widomie wiernego sługi unika.

Powała w samej rzeczy stronił od Litwina, po części dlatego, że nie lubił ludzi chciwych i interesownych, a prócz tego, wstydził się trochę przed nim swej mniemanej przedajności, z której wytłómaczyć się nie mógł, nie chcąc ludzi obcych wtajemniczać w sprawy swego serca, zwłaszcza tak zawikłane i niezwykłe. W dodatku, tak był w ostatnim czasie zajęty wdziękami swej bogdanki, że w nich zatonął cały, niby plankton w oceanie, i zresztą o wszystkiem na świecie zapomniał.

Ujrzawszy jednak Chytrejkę, przypomniał sobie zaraz, co mu tenże mówił o blizkim powrocie hospodarowej na Wołoszczyznę, oraz o tajemnych projektach Wiśniowieckiego, porwania domny śród drogi i, mając w sercu rankor do kniazika, powziął myśl, wypłatania mu figla.

Odparł przeto życzliwie:

— Mylisz się waszmość, suponując, żem o tobie zabaczył, bo właśnie przychodzę waści szukać.

Litwin uradował się bardzo.

— Bóg-że ci zapłać, dobrodzieju, zawołał, ściskając rotmistrza za rękę—że nie wypuszczasz chudego pacholika z swego godnego patronatu. Niemałom ja się z tej okazyi nafrasować i natrapił, przemyśliwując, czem mogłem ściągnąć na się urazę mego dobrodzieja i jego nieukontentowanie. Ale teraz widzę, jako P. Jezus snadź wszystko na dobre odmienił, skoro mię waszmość sam szukać raczyłeś.

— Jako żywo, prawda—odrzekł Powała—mam tu dla waści grzeczną ekspedycyę, która ci może szumne pożytki przynieść.

Litwinowi zaświeciły oczy.

— O, mój łaskawco! Zali znowu do księcia pana? —pytał wielce zadowolony,

— Jušci nie do kogo. Zabieraj się waść i syp co tchu do Załośców. Rozumiesz?

— Czy z listem?

— Nie. Powiesz jeno na gębę, że jejmość hospodarowa wprędce powracać będzie do Suczawy, co waszmości snadno uwierzą, bowiem mają tam aści za konfidenta. Gdybyć zaś pytano o porę powrotu, to powiesz, że niezadługo, ale napewno nie wiesz (jako i ja tego jeszcze nie wiem); o czem zresztą w trakcie podróży będziesz waszmość in possibilitate księcia awizować. Listu żadnego nie przywozisz, bowiem jejmość panna, będąc strzeżona,

nie może pisać. Poleca się jeno respektom J. Ks. Mości i o pamięć prosi. Gdybyć pytano, czy siła będzie konwoju, to powiesz, że jeno karałasze hospodara jegomości, jako imć gubernator kamieniecki już odjechał. Co gdy wszystko spełnisz, wywiedz się ać na boku, o czem ks. pan zamyśla i czy projektuje infestować JMość hospodarową. A zaś wracaj waszmość duchem, byś mie mógł spotkać w Krasnymstawie.

Litwin obiecał wypełnić zlecenie jak najskrupulatniej, poczem, referowawszy się względom swego dobrodzieja, pobiegł szykować się do drogi.

Powała tymczasem siadł do stolika i mając głowę pełną przeróżnych myśli i projektów, a natomiast srodze puste i wyschnięte gardło, kazał podać wybornego litewskiego trójniaku, ażeby naostatek uraczyć żołądek tym zacnym trunkiem, a ciężkim myślom, co jak jesienne chmury zasępiały firmament jego humoru, dać należytą folgę, ożywić je, rozjaśnić, rozweselić. Dumał tak dość długo, przez jedną, drugą i trzecią półgarncówkę, to raz unosząc się w orężne sfery Marsa, gdzie zbroje chrzęściły, dzwoniły kopie i miecze o stalowe puklerze, rżały bojowe rumaki i krew się lała obficie, niby ten słodki trójniak z antałka. To znowu, z tej swojej Iliady, przechodził nagle w zaprojektowaną Oddysseę z Wiśniowieckim, obmyślał zręczne arkana, w celu jak najgłębszego pogrążenia kniazika, gdyby tenże ośmielił się

go infestować śród drogi, a wtedy ręka częściej sięgała do cynowego kusztyka, ażeby w nim topić rankor serca, a myślom nieść wigor pożądany i jasność należytą. A potem znówu Amor zaczynał kołysać jego serce, ukazywać mu obrazy, z początku nikłe i niewyraźne, a następnie, w miarę rozważania, o kształtach tak plastycznych, że biedny rotmistrz całą siłą woli musiał je usuwać z przed wzroku, gdyż czuł, że mogą mu mózg zalać krwią, spalić, spopielić. Wreszcie, po trzeciej półgarncówce, powoli zaczęły znikać wzniosłe obrazy w Iliady i Odyssei. Nawet smarkaty Amor z mniejszą natarczywością niepokoił mu zmysły swymi obrazami, a natomiast, gdzieś z mroków izby, wychyliło się posępne widmo Morfeusza, które zaczęło krążyć koło rotmistrza, wirować, dmuchać mu w oczy powiewem ciemnych skrzydeł i gazą mroku owijać mu głowę.

Rotmistrz zasnął snem twardym.

Wzdłuż gościńca, prowadzącego z Lublina do Krasnostawu, posuwała się wolno sześciokonna karoca hospodarowej. Był to pojazd bardzo okazały, złocony, z wygodnemi aksamitnemi siedzeniami, obliczony na długą podróż, ale dlatego właśnie zbyt wielki i ciężki, jak zresztą wogóle ówczesne wehikuły. Za tą karetą, szło mnóstwo kolas z fraucymerem, wozów skarbnych i służbowych, kucharskich z prowiantami, pościelą, oraz z tem wszystkiem, co nie tylko było konieczne w drodze, ale mogło się przydać dla wygody i przyjemności dostojnych podróżnych.

Obok karety i za nią, jechali czerwono przystrojeni karałasze, na przodzie zaś defilowali towarzysze Powały z swym rotmistrzem i szefem Potockim na czele.

Kiedy minięto Lublin, rotmistrz zwrócił się do swego protektora i, wziąwszy go na stronę, rzekł:

— Mam nowiny, jakoby kniazik z Załośców chciał nam odbić hospodarównę jejmościankę śród drogi, co gdyby się miało przygodzić, to musiałoby nastąpić w tych tu miejscach

niechybnie, jako najsposobniejszych do takiej imprezy.

Na co odrzekł Potocki:

— Zdelirowałeś waszmość, czy co? Rapt podobny — toćżeto sprawa gardłowa, na którą, dubituję, by się kniazik resolwował.

— Niezadługo się to pokaże — odparł rotmistrz, lepiej rozumiejący sprawy miłośne od swego młodego szefa. — Myślę jeno, że gdyby się to stać miało, to niechajby nastąpiło z jak największą konfuzyą Wiśniowieckich; będzie bowiem dla nas z tym większym tryumfem, jeśli i hospodarówny jejmościanki nie powąchają i, słuszne wziąwszy paragrafy, wrócą się lizać do Załośców. Co zaś gdy ma być, trzeba, żeby nie wiedzieli, z jaką siłą jedziemy.

— Przeto waść jesteś pewny, że się kniazik gotów na oną imprezę pisać?

— Tak myślę — odrzekł Powała. — Jeśliby zaś się resolwował, to mu pewno nie pilno będzie publikować, że się dla odbicia panny takich procederów imał. Myślę też, że rad użyje jeno ludzi co najzaufańszych, ile że jest już upewnion, jako z małą siłą jedziemy. A przeto mogę, pojechawszy przodem w kilkadziesiąt koni, lekko ich rozgromić. Co, ze wszech miar, wyjdzie z tryumfem dla WM. Pana, bo się bez potrzeby niewiast nie przestraszy.

— Skądże waszmość takie nowiny powziąłeś — pytał Potocki, któremu się ten napad nie wydawał prawdopodobnym.

— Preweniował mnie o tem pewien szlach-

cic, sługa Wiśniowieckich, jeszcze w Kiejdanach, gdzie z nim wszedłem w konfidencyę. Wiedział też, jako JM. hospodarowa będzie wezwana do powrotu na Wołoszczyznę.

— Jakto, jeszcze przed listem hospodara jegomości?

— Oczywiście — dlatego też nie dubituję, że mówił prawdę.

— Co zacz jest taki kundel, któren pana swego zdradza? — zapytał z oburzeniem imć gubernator.

Powale krew uderzyła do głowy. Słowa hetmanicza spadły nań, jak grom wyrzutu sumienia, które mu i bez tego dokuczało. Obecnie zaś poczuł w sercu taką wściekłość, że za wszelką cenę, pragnął się zrehabilitować, choćby mu przyszło okupić to krwią własną.

Rzekł też ogniście:

— Niech WM. pan raczy posłuchać mojej rady, a klnę się na mą duszę, że albo WM. Panu kniazika żywcem do rąk dostawię, albo-li tak go skonfunduję, że wszystkie glapy, w całej Rpospolitej, będą nań dzioby szczerzyły.

Potocki nie protestował, znając bowiem Powałę, wiedział, że mu ani na odwadze, ani na konceptach nie zbywało. Wiśniowiecki był wprawdzie również rycerzyk nielada, ale po stronie rotmistrza było doświadczenie i niezrównany dowcip, przeciw któremu trudno się było asekurować.

Rzekł więc:

— Co waść zamyślasz?

— Pojadę przodem w 40 koni. W Krasnostawie spotkam onego szlachcica, który mi ma donieść, gdzie ponik zgotowano; a skoro o tem będę wiedział, skalkuluję, co mi czynić przystoi. Gdyby zaś WM panu co groziło, to pchnę pachołka z oznajmieniem.

Potocki zezwolił, poczem rotmistrz, wziąwszy 40 towarzyszów, pojechał przodem do Krasnostawu. Tam zastał już imć Agapita i powziął odeń wiadomość, że Wiśniowiecki zamierza wysłać setkę kozaków[1]) jako mu o tem powiadał porucznik księcia, Niezabitowski, mający komendę nad ową watahą. Nie wiedział tylko, czy kniaź zamierza sam oddziałowi towarzyszyć, czy też wyśle tylko Niezabitowskiego.

— Myślę, że nie zechce podawać własnej głowy pod taki kryminał — odrzekł Powała — Jeśli sam nie będzie przy chorągwi, to zawżdy może się tem zastawić, jako rapt spełnili ludzie, bez jego przyzwolenia; najdą się tacy, co winę na się wezmą. A dawszy raz taki corpus delicti, niełacnoby się zaś z tego kniazik wyślizał.

---

[1]) Gdy mowa o kozakach, należy odróżnić t. zw. mołojców (bezżennych) tj. kozaków siczowych, niżowych vel zaporoskich (za porohami dnieprowemi mieszkających), od ukraińskich i koronnych. Ci ostatni rekrutowali się z chłopów i mieszczan polskich. Ponieważ uzbrojenie ich było mniej kosztowne, aniżeli towarzyszów pancernych, przeto miasta i magnaci chętnie takie chorągwie formowali, zaliczając je do jazdy lekkiej.

— Takoż i ja myślę, dobrodzieju — przywtórzył Litwin — ile że mi nic o tem nie mówiono, żeby się ks. pan sam na oną imprezę wybierał.

— A dowiedziałeś się waść, w którem miejscu ponik zgotowano?

— Mój dobrodzieju, od czegóżbym nosił capitem na karku. Tażeto w tem rzecz główna, by o wszystkiem naprzód wiedzieć i w porę się asekurować.

— Mądry z waści pachołek — pochwalił go Powała.

A widząc, że Litwin milczy, zapytał:

— No, a więc?

Ale imć Agapit, zamiast odpowiedzieć, podrapał się w głowę i rzekł:

— Powiedz mi takoż, dobrodzieju, komu właściwie służysz, bo się w tem nijak połapać nie mogę.

Rotmistrz zaśmiał się na cały głos i odparł wesoło:

— Nie możesz się waść tego dorozumieć? A wiesz dlaczego? Boś się na boćwinie wykarmił, którento specyał, nie mający w sobie ani kszyny oleju, nie mógł ci go też transfundować do głowy. Gdybyś zaś, miast nikczemnem zielskiem, karmił się ludzką strawą, tobyś od razu pojął rzecz, jak należy.

Litwin uczuł się wielce skonfundowanym, mimo to jednak nie rozumiał taktyki kompaniona.

Ozwał się też dobrodusznie:

— Już tam gadaj sobie dobrodzieju, co chcesz, ale taki chyba obydwom służysz.

Powała rozśmiał się jeszcze serdeczniej, a następnie odparł:

— Dowiesz się waszmość o tem niezadługo. Zaś teraz, miast tracić czas na próżne deliberacye, gadaj lepiej, coś się w Załościach wywiedział; bowiem aczkolwiek się waść ze swoim dowcipem, niby owa czeczotka z cnotą, wynosisz, ale mnie się widzi, że niewiele on on więcej wart, jeno żeby z niego czepek dla starej baby uszyć.

— Już się waść, widzę, zawziąłeś, żeby mi dokuczać, a ja taki sprawiłem się gracko.

Tu zaczął opowiadać, jak niby w celu, żeby się hospodarówna nie przelękła, jął wypytywać, w którym miejscu ponik ma być przygotowany, i dowiedział się, że kozacy mają ordynans ukryć się w lesie pod Lwowem i, nagle wyskoczywszy, otoczyć karetę.

Powała zacierał ręce z zadowolenia.

— Mądry z waści pachołek — rzekł — Ano, to widzę, że się waść wprędce musisz grzecznego synka dochować, jako szkoda byłoby, żeby się tak szumny dowcip miał ostać bez sukcesora.

Litwin zarzechotał uradowany.

— Bógby to dał — rzekł, westchnąwszy— by się, dobrodzieju, waścine omina ziściły. Nie pożądam ci ja w życiu inszego pocieszenia ponad to, jakiem waść raczysz sługę swego konsolować.

— I słusznie — rzekł Powała — Ale nim nasi nadjadą, wartoby nam pomyśleć o sobie i żywoty nieco poprawić, ile że nas pono nikt w takowej imprezie nie wyręczy,

Co powiedziawszy, zwrócił konia ku znanej sobie gospodzie, gdzie się wkrótce rozgościli.

Pod wieczór przybył orszak hospodarowej, o czem uwiadomiony rotmistrz, pośpieszył natychmiast zdać relacyę hetmaniczowi.

Uradzono, że Powała idąc przodem ze swoją chorągwią, będzie zostawiał po drodze pachołków, ażeby, w ten sposób stworzyć rodzaj poczty, utrzymującej możność porozumiewania się między dwoma oddziałami. Następnie wydał swoim ludziom ordynans, żeby z nikim w komitywę nie wchodzili i o orszaku hospodarowej nie rozmawiali. Co uczyniwszy, przenocował w Krasnymstawie, a nazajutrz rano, ruszył przodem ku Rawie.

Ale zaledwie przyjechał do tego miasta i zatrzymał się, dla popasu w gospodzie, gdy wachmistrz przyprowadził mu jakieś dwa indywidua, usiłujące wejść z żołnierzami jego w komitywę.

— A wy co zacz? — spytał Powała delinkwentów.

— My z Załośców, od J. O. Ks. Wiśniowieckiego z listami do Warszawy jedziem — odrzekł rezolutnie starszy.

— A do kogo listy wieziecie?

— Nie kazano powiadać — brzmiała odpowiedź.

— A rozpytywać u cudzych żołnierzy, toć kazano? — pytał Powała, oburzony czelnością chłopa.

Ten nieco się zdetonował, ale nadrabiając miną, odrzekł śmiało:

— Nie rozpytuję ja nikogo, chyba zwyczajnie, jako w drodze, gdy się człek z człekiem spotka i radby pogadać.

— Takiś mi spekulator! — mówił Powała — Bo widzisz, bracie, ja mam ordynans od samego króla IMości, aby z takimi, jako ty masz, listami nie puszczać nikogo do Warszawy, jeno go w drodze zadzierżeć i wyciągnąć zeń prawdę. A wy umiecie gadać prawdę?

Kozak zmieszał się jeszcze więcej, ale próbował się wyłgać.

— Nie mówię ja nic — odrzekł — jeno szczerą prawdę, a jeśli WM. Pan nie wierzą, to co robić?

— Pokaż listy.

— Nie kazali pokazować nikomu—brzmiała odpowiedź.

— A jak cię przypieką, to pokażesz?

— Choćby i upiekli, to nie, bo taki ordynans.

— Służbistaś widzę niegorszy odemnie. Ha no, to się spróbujemy.

I kazał delikwentów obszukać.

Ale gdy się okazało, że listów żadnych nie mieli, a natomiast coraz gorzej plątali się

w odpowiedziach, Powała tak ich umiał przerazić i podpytać, że prawie niechcący wyśpiewali mu, iż w lesie pod Lwowem, czatuje setka kozaków na orszak hospodarowej, oni zaś wysłani zostali na to, żeby wymiarkować siły konwoju i w porę o tem donieść czatującym w lesie kompanionom.

Wiadomość ta wielce uradowała rotmistrza. Czekał też niecierpliwie, przybycia Potockiego któremu przedstawił jeńców i opowiedział, co mu zeznali na indagacyi.

Teraz imć gubernator musiał uwierzyć, że obawy Powały nie były płonne, Powziął też wielki rankor do Wiśniowieckiego i chciał sam jechać z rotmistrzem, ażeby osobiście pomścić swoją zniewagę. Ale mu tenże wyperswadował, iż powinien zostać przy orszaku, ze względu na damy, któreby się jego odjazdem niechybnie przeraziły, obiecawszy, że sam tę sprawę załatwi, ku zupełnemu jego zadowoleniu.

Nazajutrz, skoro świt, ruszył nasz rycerz przodem, na czele swego oddziału, ku Lwowu, podczas gdy Potocki, z orszakiem hospodarowej, miał wyjechać dopiero w parę godzin później. A wtedy Litwin nie mógł się nadziwić sprawności wojska i samego dowódcy, który niedość, że wydał rozkazy, aby muszkiety były nabite i pistolety w ręku, ale sam wszystkiego dojrzał i niemal każdą rzecz swrawdził osobiście. Poczem uszykował wojsko piątkami i, pchnąwszy wtył i naprzód straże, wyjechał na czoło oddziału.

Teraz dopiero przyszła kolej na nieodstępną rotmistrzowi „marynę“, którą wziąwszy od pachołka, zanucił znaną nam już piosenkę;

Koło Warszawy, koło Lublina,
Była dziewczyna, była jedyna;
Była dziewczyna, co mnie kochała,
Jakżem odjeżdżał, to mnie płakała.

Chór zaś wtórował mu:

Bańduru duru, bańduru duru.

Ten porządek, połączony z wesołością,

wielce się podobał Litwinowi. Śmiał się serdecznie i nabrał takiej ochoty służenia pod ordynansami Powały, że gotów był pójść za nim, choćby do piekła.

— Taki ja już waszmości nie rzucę, dobrodzieju — mówił, wielce zadowolony — bowiem widzę, że z wami żyć słodko, a choćby przyszło umierać, to takoż byłoby milej, jako przy drugim; bo waść, widzę, i w godzinę śmierci melankoliibyś na człowieka nie dopuścił.

— To pewno — odrzekł Powała — jeno szkoda, żeś waść nie jest niewiastą, bowiem, tym kształtem, nie tylkobyś melankolii nie zaznał, aie owszem rychłobyś się przy mnie pożądanego synka dochował.

Litwin westchnął uroczyście i rzekł płaczliwie:

— Ot, zachciałeś, dobrodzieju... dałby sobie człek sam radę, gdyby jeno P, Jezus pobłogosławił mu żonką; ale, myślę, że przy waszmości rychło się i tego sukcesu fortuny doczekam.

— Oczywiście. Ale gdybyś waszmość ożeniwszy się, nie był z bocianami w należytej konfidencyi, to już inszego przyjaciela nie szukaj, mając mnie pod ręką.

Tak sobie dworując, ujechali szmat drogi, gdy pod wieczór, ujrzano przed sobą karetę, która zaintrygowała Powałę.

Krzyknął też na Litwina:

— A skoczno waszmość i obacz, kto zacz jedzie w onej karocy.

Imć Agapit spiął konia ostrogami, i wkrótce przywiózł wiadomość, że w karecie jadą jakieś dwie żydówki: jedna młoda, a druga stara.

Rotmistrz pomknął natychmiast ku pojazdowi i, zajrzawszy do wnętrza, rzekł grzecznie:

— Dzień dobry acaniom. A gdzie to P. Bóg prowadzi?

Damy na razie bardzo śię przestraszyły, ale ujrzawszy polskiego rycerza, wnet się uspokoiły. Starsza nawet uśmiechnęła się mile, podczas gdy młodsza zerkała ciekawie z pod aksamitnego kapturka.

— Aj waj! — mówiła pierwsza — także m sze zlękniła, co mi serce bije, jak u gołąbkie. Pan dobrodżej tak nagle psiskoczył.

— A... przepraszam aśćkę — rzekł grzecznie Powała — nie myślałem, byś się aśćka miała lękać polskich żołnierzy.

— Ja sze też nie boję — tłómaczyła się pośpiesznie żydówka — tylko miszlałam, co to może... kto obcy...

— To racya — przywtórzył rotmistrz — ile że na drodze mogą się czasem jakowi grasanci trafić. Nie dziwuję się też aśćce, żeś się przelękła.

— Pan dobrodżej słusznie mówi — ciągnęła z afektacyą dama—Jak sze ma z polskie żołnierze sprawę, to ja sze nie boję; ale te kozaki... aj waj... co to za paskudne ludże!..

Tu pani kupcowa chwyciła się za głowę

i zaczęła tak wymownie cmokać, że Powała nie mógł powstrzymać śmiechu.

— To aśćka tak się boisz kozaków? — spytał, starając się powstrzymać wybuch swej wesołości.

— A ktoby sze owych nie bał? — mówiła z przekonaniem żydówka — Uni ludżi żywcem skwarzą, uni wewnętrzności wipruwają i potem sobie niemi obwiązują. Aj waj! co to za paskudniki. Pan dobrodżej wie dobrze.

— Pewno, że to szpetny naród — odrzekł Powała — bez żadnej polityki, ani miłosierdzia. A jejmość dokąd jedzie?

— Ja jadę z moje córeczke do Lwowa, gdzie mój mąż jest kupiec. Pan dobr. zna pewno mój mąż, bo jego wszystkie szlachta znają.

Powała nie miał przyjemności znać godnego małżonka pani kupcowej, ale uznał za stosowne przyznać się do tej znajomości.

Rzekł przeto:

— Ba, ktoby nie znał tego poczciwego... jakże mu to?... Zdaje się Jankiel...

— Pan dobr. go zna?— mówiła uradowana dama — Jego wszystkie szlachta znają, bo mój mąż z same szlachte handluje.

— Wiem, wiem, moja imość, i ja sam z nim nieraz handlowałem. To bardzo porządny człowiek, on mnie nieraz poratował pożyczką, zaco niech mu P. Bóg wynagrodzi.

— Aj waj! czemuby nie miał poratować takie godne osobe?—mówiła dama, rozpromie-

niona pochwałami, które pewno pierwszy raz w życiu zdarzyło się jej słyszeć o swoim małżonku — Un wszystkie szlachte bardzo miłuje... cobym ja tak była zdrowa. A pan dobrodżej gdzie jedże?

— Ja także do Lwowa. Odstawiam żołnierzy. Ale skoro spotkałem znajome, to już pozwól aśćka, że się nią zaopiekuję. Teraz po drogach szwenda się moc hultajstwa, a żołnierska opieka zawdy się na coś przydać może.

JM. pani kupcowa nie posiadała się z radości, że tak grzecznego spotkała kawalera, i zaczęła mu wynurzać swe podziękowania.

— Nic to — odrzekł Powała — usłużył mi nieraz mąż aśćki, przeto słuszna, że się teraz jego żonie odsłużę, bo inaczej nie byłoby na świecie wdzięczności. Jeno pozwól aśćka, że ci każę przyprzęgnąć jeszcze parę woźników, byś mogła za nami nadążyć; bowiem nam pilno, a aśćka, jako widzę, niezbyt ogniste masz przy wozie ogiery.

Co rzekłszy, kazał podać dwa konie, zdobyte na szpiegach pod Rawą, i przyprządz takowe do wehikułu pani kupcowej ze Lwowa. Poczem wojsko otoczyło karetę, i zaczęto posuwać się naprzód.

Słońce właśnie opuściło się za góry, różowiąc krwawo nieboskłon, gdy minąwszy Janów, ujrzano las przed sobą. Powala kazał pachołkom narwać liści dębowych i upleść z nich girlandy, któremi ubrał konie i karetę.

Ta galanterya rycerza wprowadziła w za-

chwyt obie żydówki: nie mogły się nachwalić grzeczności polskiej szlachty, a osobliwie wojskowych, do których, jak się przyznały w sekrecie, czuły wielkie „miłowanie".

Rotmistrz tymczasem wydał ordynans, żeby pistolety były gotowe i, rozstawiwszy żołnierzy tak, że większość znajdowała się poza wehikułem, wyjechał sam na czoło, dać awangardzie odpowiednie rozkazy. Poczem wrócił znowu do dam.

— A dlaczego pan dobrodżej każe mieć pistolety gotowe?—pytała, nieco zaniepokojona kupcowa.

— Bo, widzi jejmość, w lesie najłacniej mogą się trafić grasanci. Ale to fracha! damy sobie z nimi radę, bowiem i nas jest dość.

Damy spojrzały na siebie z pewnym niepokojem, a potem, jakby chcąc sprawdzić, czy Powała mówi prawdę, że ich jest dość, wyjrzały przez okna karety.

To, co zobaczyły, widocznie musiało je uspokoić, gdyż uśmiechnęły się zadowolone, młodsza zaś rzekła:

— Ą jacy to grasanci mogliby się trafić?

— Rozmaici, moja aśćko — odrzekł Powała — Teraz czasy wojenne, przeto o napaść nietrudno. Włóczy się po drogach moc przeróżnego hultajstwa... nawet kozaków, bowiem i tych rebelizantów tutaj nie brakuje.

Posłyszawszy o kozakach, obie damy, jak na komendę, wykrzyknęły: „aj waj!" Przyszło im na myśl, jak podczas oblężenia Lwowa,

Chmielnicki, między warunkami pokoju, zażądał wydania mu wszystkich żydów, „szczoby z nymi mogły mołojcy pohulaty“ — i włosy im powstały na głowach.

Ale wnet przypomniały sobie, że przecież znajdują się pod opieką Polaków, którzy, jak wówczas nie wydali żydów Chmielnickiemu, tak pewno i teraz obronią je przed kozakami.

Jednakże chcąc się lepiej upewnić w tym względzie, zawołały prawie razem:

— Niech nas p. dobr. nie wydaje kozakom!...

— O, bez pochyby nie oddam — uspokoił je rotmistrz, podkręcając wąsa — Jeno aśćki w tem preweniuję, byście się nie zdradziły, jako jesteście starozakonne, boby to okrutnie rozjuszyło kozaków. Te psie wiary są na was tak łapczywe, jako... jako, na ten przykład, wy na dukaty.

Żydówki zrozumiały od razu całą doniosłość kozackiego łakomstwa i, wystraszone wielce, spojrzały po sobie, widocznie z zamiarem sprawdzenia, czy fizyognomie ich nie zdradzają semickiego pochodzenia.

Wynik tych wzajemnych oględzin nie musiał być uspakajający, gdyż młodsza zwróciła się do Powały z zapytaniem: czy z jej wyglądu możnaby wnioskować o pochodzeniu.

— Niekoniecznie — odrzekł tenże — byleś się jeno aśćka nie odzywała, to łacno mogłabyś ujść za chrześcijankę. Choć zawdy lepiej się zasłonić.

Na te słowa, obie damy, jak na komendę,

zasunęły kaptury. Poczem starsza, widocznie tchnięta jakąś nową myślą, zerwała się gwałtownie z siedzenia i, zwróciwszy się do woźnicy, rzekła po żydowsku:

— Słuchaj Hersz? boisz ty się kozaki?

Hersz, na wspomnienie „takie paskudniki", drgnął i zrobił ruch wielce przerażony; aż konie, ściągnięte nagle lejcami, zatrzymały się w biegu.

— Ny, abo co, pani Cwancygier? — zapytał.

— Nu, ty musisz o tem wiedzieć, co jakby się uni trafili na drodze, to ty szedź cicho, bo jak uni poznają, żeś żyd, to uni ciebie ze skóry obedrą i żywcem na ogniu uskwarzą.

Hersz tak był przerażony słowami pani kupcowej, że nawet zapomniał pytać o bliższe informacye. Pani Cwancygierowa zaś odetchnęła głęboko, jak po ciężkiej pracy, i padła wyczerpana na siedzenie, z wymownym wykrzyknikiem „aj waj."

A byli już pośród gęstwiny leśnej, skąd jakieś złowrogie głosy zdawały się dolatywać do uszu, podnieconych nerwowo opowiadaniem rotmistrza dam. Zagłębiły się obie w siedzenia wehikułu i, drżące ze strachu, poruszały ustami, śląc zapewne modły do Boga Izraela, żeby je ocalił od kozaków. Las tymczasem szumiał wciąż złowieszczo, niekiedy warczał jak rozgniewany brytan i groził podróżnym swą czarną paszczą, z której głębiny wyrywały się raz po raz jakieś tajemnicze echa, pełne grozy i okrop-

ności. Żydówkom włosy stawały na głowie.

W tem podnieceniu nerwowem ujechały jeszcze staj kilka, gdy nagle, ze wszystkich stron, wysypała się kupa ludzi i, z przeraźliwym „hura ha!” otoczyła karetę.

Powalczycy dali ognia w powietrze, a potem, jakby przerażeni niespodziewanym napadem i przeważającą siłą atakujących, zaczęli się cofać, w zupełnym ordynku, poza karetę.

Tego właśnie było potrzeba atakującym. Rzucili się, z radosnym krzykiem, ku wehikułowi i, gdy jedna część ucierała się z broniącymi jakoby karety Powalczykami, drudzy szybko starali się ją otoczyć.

Wkrótce cel został osiągnięty. Powała, z swym oddziałem, został znacznie w tyle, a nieprzyjacielska wataha, radosna z odniesionego zwycięstwa, pośpiesznie uprowadzała zdobytą karocę.

Gdy już znikli z oczu, rotmistrz podkręcił uroczyście wąsa i, spojrzawszy fiiuternie na Litwina, rzekł:

— A co, teraz wiesz waszmość, komu służę?

— O mój dobrodzieju! — odrzekł tenże, składając ręce. — Zawsze miałem górne wyobrażenie o waścinym dowcipie, ale na ucieszniejszego firleja, jako waszmość ustroiłeś księciu, nie zdobyłby się nawet sam krotofilny Ezop. Taże oni. ani chybi, powiozą one żydówice do samych Załośców, chybaby się po drodze obaczyli.

— Nie obaczą się — rzekł Powała. — Będą one siedziały cicho, jako mysz pod miotłą, bom im takiego huku przed kozakami napędził, że prędzejby się cnoty wyzbyły, aniżeli która gębę otworzy.

— Jużto ja widzę, dobrodzieju, że z waści rycerz, jakiego drugiego chyba cała Rpospolita nie posiada. Bo to i u nas nie brak człeka, coby był majster do szabelki i imprezy, ale skoro trzeba konceptem ruszyć, to sprawą podrwi; a waść, widzę, równieś dobry do szabli, jako i do krotofili.

W duchu zaś dodał sobie: że skoro mu P. Bóg zesłał takiego protektora, to nie należy go już porzucać, bowiem jeśli ten go nie wyswata z jaką posażną niewiastą w Koronie, to już chyba nikt na świecie nie potrafi.

Orszak hospodarowej podążał już dalej, bez żadnej przeszkody, ku granicy wołoskiej. Księżna, powiadomiona przez Potockiego o nieudanym zamachu oraz wybornym koncepcie Powały, uśmiała się serdecznie i dziękowała rotmistrzowi, nie mogąc się nachwalić jego dzielności i przytomności umysłu. Czy jednak serce Rozandy równą dla rycerza pałało wdzięcznością, o to trzebaby jej samej zapytać. Nie okazała jednak po sobie najmniejszego wzruszenia, zamknąwszy w duszy wszystkie uczucia, jakie niefortunna interwencya mogla w niej zrodzić.

Za to Maruszka, rozumiejąca sprawę lepiej od swej młodej pani, zerkała na Powałę z pod oka, udając zadąsaną, w duszy jednak podziwiała dowcip dzielnego wojaka, któren, zwłaszcza od owego wieczoru, kiedy to, udając ducha, o mało nie popadł dla niej w ciężkie terminy, stał się jej milszym ponad wszystko w świecie.

Jechano więc dalej, w pozornej zgodzie i wzajemnem zadowoleniu, ku Barowi i Haliczowi, odprawiając po drodze noclegi i bawiąc się

wesoło. Do oświadczyn jednak ze strony Potockiego nie przyszło, gdyż imć gubernator, widząc obecnie jeszcze większą niechęć domny ku sobie i domyślając się tajemnej skłonności do Wiśniowieckiego, nie mógł się na krok stanowczy zdecydować; a nawet zmienił pierwotny zamiar odprowadzenia dam na Wołoszczyznę i postanowił wrócić od granicy, ze swoim oddziałem, do Kamieńca.

Te wiadomości wielce strapiły Powałę, który miał nadzieję cieszyć się jeszcze długo towarzystwem Maruszki, a także ją samą; bowiem biednej dziewczynie serce tak przylgnęło do wesołego rotmistrza, iż nie mogła sobie wyobrazić, jako jej przyjdzie wyżyć bez niego.

Poglądali też na się, jako owe dwie sieroty, którym każde spojrzenie przywodzi na myśl wspólną ciężką dolę i pomimo woli śluzy z oczu wyciska. Rycerz wzdychał i, z wielkiej alteracyi, targał wąs zawiesisty, a Maruszka, we dnie połykała, raz po raz, gorzkie łzy, cisnące się jej gwałtem do oczu, zaś w nocy, kiedy ciemność pozwalała dać folgę wezbranemu uczuciem sercu, zraszała niemi obficie podróżną poduszkę, zwierzając jej swoje strapienia.

Tak mijał dzień po dniu, noc po nocy, i konieczność rozłąki stawała się coraz bliższą, coraz oczywistrzą. Rotmistrz próbował kilkakrotnie namówić wojewodzica, żeby według pierwotnego zamiaru, odprowadził damy do samej Suczawy, ale próżno wysilał

swój zacny dowcip, gdyż Potocki nie dał się nakłonić i oświadczył kategorycznie, że dalej jak do granicy, ani kroku nie pojedzie.

Widząc tedy nasz rycerz, że wszelkie starania okazują się daremnemi, postanowił rozmówić się przynajmniej raz ostatni z bogdanką. Poco—sam nie wiedział. Chwilami przychodziły mu różne niedorzeczne myśli, n.b. żądania od niej przyrzeczenia, że innego żoną nie zostanie; ale się szybko oryentował, iż bredzi i własny egoizm chce zaspokoić kosztem dziewczyny, która mu zaufała; gdyż o rozwód w owym czasie było trudno, a zwłaszcza jemu, banicie i infamisowi, zmuszonemu ukrywać się w obozie przed wyrokami sądowymi. Mimo to, czuł jakąś niepohamowaną żądzę do owej ostatecznej rozmowy i czekał odpowiedniej chwili, żeby o nią swą lubą poprosić.

Maruszka, dowiedziawszy się o życzeniu rotmistrza, nic nie odrzekła, odwróciła się tylko i coś jakoby koło kapturka poprawiała. Powale zdawało się, że propozycya nie jest po jej myśli i, wielce strapiony, tak srogiemu oddał się żalowi, iż zaczął już nad rodzajem śmierci deliberować. Gdy, nagle, Rozanda objawiła chęć przejechania się komunikiem, a z nią i Maruszka.

Kazał co prędzej podać konie, a że Potocki towarzyszył domnie, przeto jemu przypadła rola służenia piwnookiej Podolance, ziszczając w ten sposób życzenia jego serca.

Jechali chwilę w milczeniu, starając się

stłumić bicie serc niesfornych, co niby owe dzięcioły w lesie, kołatały im w wezbranych uczuciem piersiach; aż wreszcie Maruszka pierwsza opanowała wzruszenie i rzekła, zdławionym przez łzy głosem:

— Waszmość chciał mi coś powiedzieć.

Powała zaczął się krztusić, chrząkać, aż wreszcie, widząc, iż właściwie nie ma nic do powiedzenia, począł pleść od rzeczy:

— Miłą jest człowiekowi rzeczą, kiedy szczery afekt do serca zawita; aleć pono lepiejby go było nie posmakować zgoła, jeśli po tak niedługiej jego trwałości, przychodzi oną szczęśliwość utracić; bowiem P. Bogu to chyba wiadomo, zali ja waćpannę obaczę jeszcze w życiu.

Maruszka połknęła łzy, dławiące ją w gardle, i nic nie odrzekła.

Co widząc rycerz, począł mówić znowu:

— Bo żebym też miał choćby to pocieszenie, że waćpanna o mnie nie zabaczysz, toby mi się rozłąka znośniejszą wydała, i żywiłbym nadzieję, że się może kiedy jeszcze obaczymy.

— Co ja, to już nigdy waszmości nie zabaczę. Tak mi daj P. Boże! — odrzekła przez łzy dziewczyna.

— Bógże wam zapłać za dobre słowo — dziękował rozrzewniony rycerz — a jako waćpanna ślubujesz zachować mnie w pamięci, tak i ja ci tego dochować poprzysięgam. Prawda, że to jeno słowa, z których dla waćpanny żaden

nie wypływa pożytek, aleć dla serca, żywiącego szczery afekt, i to musi być niemałą konsolacyą, skoro wie, że jego kochanie nie pójdzie w poniewierkę. I sam niczego nie żądam, jeno byś mnie aśćka we wdzięcznej zachowała pamięci. Z którem to przeświadczeniem i życie wyda mi się znośniejszem.

Po tych słowach zapanowało znów milczenie. Słychać było tylko miarowy tupot kopyt końskich, a niekiedy westchnienie, wyrywające się z piersi którego z kochanków.

Wreszcie Maruszka zapytała:

— Waszmość stąd do Kamieńca pojedzie?

— Juści tak — odparł żałośnie rotmistrz— A gdybyś waćpanna mnie kiedy potrzebowała, to tam też należy się odwołać, bowiem choćby mnie nawet nie naszli w Kamieńcu, to wżdy łacniej się w obozie rozpytać, gdzie mnie szukać należy. A waćpanna skąd rodem?

— Ja Podolanka.

— I tam też pewno masz waćpanna familię.

— Ja sierota — odrzekła smutnie Maruszka — nie mam ojca ani matki, ostali jeno dalsi.

Powale serce ścisnęło się srogim żalem. Krząknął okrutnie i rzekł, hamując rozczulenie:

Byłbym ja ci, dziewczyno, opiekunem, jako Bóg przykazał, jeno że już taka snadź moja dola, bym żadnej statecznej szczęśliwości na

tym świecie nie zaznał. A skoro tak jest, to co robić?

Widząc zaś, że Maruszka piąstki w oczy kładzie, dodał weselej:

— Co tam, nie smuć się, jedyna. Zabaczysz ty o mnie. skoro ci się inszy trafi; a ja?.. ot zwyczajnie, jako człek u Marsa w służbach zostający — dziś żywie, jutro gnije...

W Maruszce serce przycichło na chwilę, a potem zahuczało młotem. Spojrzała na rycerza wystraszonym wzrokiem i rzekła błagalnie:

— Ja już niczyja nie będę... tylko nie umierajcie!

Poczem wybuchnęła tłumionym płaczem.

Powale serce wezbrało taką wdzięcznością, że byłby upadł jej do nóg i stopy całował, ale zmuszony się hamować, rzekł jeno zmienionym od wzruszenia głosem:

— Bóg z tobą, jedyna. Nie żądam ja od aśćki takowej ofiary, boby to było przeciw prawu wszelakiemu; ale też, jeśli żyć będę, to klnę ci się na wszystko, że cię nigdy nie zabaczę.

— Bóg zapłać waści — odrzekła dziewczyna — Tylko nie umierajcie, bo... bo i jabym umarła.

Co rzekłszy, zaczęła łkać cicho!

Powała doznał dziwnego wrażenia. Zdawało mu się przez chwilę, że nagle niebo się przed nim rozwarło, a z poza jego błękitów dolatują go pieśni aniołów i cherubinów. To

znowu widział przed sobą czeluści piekielne, i uczuł taki ból w sercu, jakby mu je nożem krajano.

— Ha, bodaj to wciornaści!—ryknął z rozpaczą—ani tak, ani owak! Ot, psia dola człowieka, i tyle!

Wnet jednak pohamował srogi żal, co mu serce zakrwawił, i rzekł z rezygnacyą:

— Ot, Boża wola we wszystkiem, i nie człeku się przeciw niej oponować. Onże ci też zapłaci za wszystko dobre, co mię od was spotyka. Nie zabaczę ja waćpannie nigdy tego, a niechno tylko, za pomocą Bożą, tę rebelię chłopską do reszty potłumimy, toć może i hospodar jegomość nie pogardzi chorągwią Powały.

Przy tych słowach zajechali właśnie do Obertyna, gdzie był nocleg dla orszaku hospodarowej przygotowany. Maruszka udała się na spoczynek, a nasz rycerz pozostał sam, z swemi myślami i srogim bólem w sercu; ale tego bólu nie oddałby teraz za wszystkie rozkosze świata.

Tak minął jeszcze dzień następny, w którym już nie mieli okazyi mówić z sobą na osobności, a wkrótce potem nastąpiło rozstanie: bowiem o ile przejażdżka konna znakomicie wpłynęła na porozumienie się Maruszki z Powałą, o tyle Potocki czuł się nią do reszty zniechęconym i rad był co prędzej wycofać się z niefortunnej służby.

Prawdę mówił rotmistrz w swej przemo-

wie do wołoskiej księżniczki: „Wolentarz to jest w ciele ludzkiem afekt, który, od inszych zmysłów nie przyjmując żadnych ordynansów, własną rządzi się imprezą, i na którąkolwiek stronę zechce, sam siebie i serdeczną może nakierować inklinacyą.

Tylko serca kochające potrafią się wzajem rozumieć.

Kozacy Wiśniowieckiego uciekali co sił ze swoją zdobyczą, obawiając się pogoni, wskutek czego nie zwrócono uwagi na wehikuł, a zwłaszcza na woźnicę, który jeszcze mniej wyglądał na książęcego stangreta, aniżeli ekwipaż na hospodarską karetę. Nadto pora była wieczorna, której zmrok potęgowała jeszcze gęstwina leśna. Dopiero po paru godzinach jazdy, zaczęto się dziwić, że w karecie panuje głucha cisza· Czem zaniepokojony oficer oddziału, zbliżył się do pojazdu i zajrzał do środka.

Żydówki siedziały przytulone jedna do drugiej, nie dając najmniejszego znaku życia.

Takie zachowanie się dam zaniepokoiło nieco oficera. Rzekł też, salutując:

— Może WKs. moście czego potrzebują?

A widząc, że obie milczą, dodał:

— Mam ordynans służenia we wszystkiem W. Ks. Mościom.

Ale i na te słowa nie było odpowiedzi.

Odjechał przeto, nie chcąc być natrętnym, ale zaczął uważniej przyglądać się karecie i woźnicy, który, pomimo ciemności, wydał mu

się więcej podobnym na Żyda, aniżeli na Wołocha.

Rzekł przeto, podjechawszy bliżej:

Hej, mospanie! a dawno waść u hospodara jegomości służysz?

Nie było odpowiedzi.

— Do licha! — rzekł już nieco zniecierpliwiony oficer — Niemowaś waćpan, czy co?

Ale Hersz, pomny na przestrogę swej pani, milczał uroczyście.

Wtedy oficer, zaniepokojony na dobre, wstrzymał orszak i, podjechawszy znów do karety, rzekł:

— Wasze ks. Moście raczą się odezwać, bowiem, inaczej, będę musiał kazać zaświecić.

Znów głucha cisza była odpowiedzią na jego pytanie.

— Do stutysięcy — mruknął, teraz już na prawdę zalterowany, i sunął ostro do woźnicy.

— Mospanie! — ozwij się, bo cię może spotkać jakowa konfuzya... Odezwij że się, do milionkroć! — powtórzył, straciwszy resztę cierpliwości — bo cię każę powiesić!

Ale woźnica siedział ciągle nieporuszony, jakby mowy ludzkiej nie rozumiał zgoła.

— Skrzesać ognia i zaświecić — komenderował oficer.

Żołnierze wypełnili rozkaz i, zapaliwszy łuczywo, zaświecili niem Herszkowi w oczy.

— To żyd, —zawołał wachmistrz — Ozwij

się, żydzie, bo cię powiesim, i tyle zyskasz na udawaniu niemowy.

Tymczasem inni żołnierze zaczęli się grupować dokoła karety, śmiać się i robić różne uwagi.

Ale Herszko tak był wylękniony, że ze strachu nie mógł słowa przemówić. Dopiero gdy posłyszał rozkaz wzięcia go na gałąź i poczuł na swem ciele kilkoro rąk, ściągających go z kozła, przeciągłe „aj waj"! wydobyło się z jego wystraszonej piersi.

— A widzisz, żydzie, że umiesz gadać — mówił wachmistrz — jeno ci snadź do tego potrza śtymulunku!

— Gadaj, żydzie, kto zacz jest w karecie — pytał oficer — zali nie chcesz, bym cię, jako gęś koszerną, na ogniu skwarzyć rozkazał.

A widząc, że ten milczy, krzyknął:

— Hej chłopcy! przypiec go na ogniu!

Okropny jęk wydarł się z piersi nieszczęśliwego.

— Ja już wsistko powim! JW panie oficerze, ja już wsistko powiem! O weh mir! — jęczał żyd, składając błagalnie ręce.

— Przeto gadaj, niedowiarku, póki mam cierpliwość, co zacz jesteś i kogo wieziesz?

— Ja jestem Hersz, bidny zidek z miasta Rawa, JW. panie oficerze. Ja pany kozaki bardzo szanuje, aj waj, auf maine Munes, coby W. Pany zdrowe buły...

Gadaj żydzie, o coć pytają: kogo wieziesz

w karocy? — krzyczał zrozpaczony oficer?

— O weh! bo ja wim, ja nic nie wim. To jest pani Cwancygier z córeczkie, coby une zdrowe buły, to bardzo godne osobe, une nikomu nic złego nie zrobiały...

Powstał śmiech między żołnierzami; ale porucznik i wachmistrz byli naprawdę zakłopotani.

— Co teraz począć? jak się przed księciem wytłómaczyć? — myślał nieszczęśliwy oficer. —Taki błąd! taka pomyłka! tożto rzecz nie do darowania!

I, wściekły na świat cały, zbliżył się do karety.

— Hej, imoście! ozwijcie się, bo nie, to was każę posiekać na zrazy!

Krótkie „aj waj!“ było odpowiedzią na jego pytanie.

— Do milionkroć! czemużeście się pierwej nie ozwały?

— Ny! bo nam tak kazał pan oficer — odrzekła, dygocąc ze strachu, starsza — Aj, aj! my nic nie winne... my miszlały, co panowie kozaki... aj, waj! my sze tak przelękniały, co w nas serce ledwie nie wiskoczy... aj, waj! Oficera uderzyło słowo „kozaki“, wyrzeczone przez żydówkę, a także dziwny rozkaz, żeby siedziały cicho.

Zapytał przeto, od kogo odebrały takie polecenie.

Żydówka opowiedziała wszystko: jak je na na drodze spotkał Powała, jak podał się za

znajomego i, strasząc kozakami, obiecał bronić od napaści.

— My też szedżały czycho, bo my sze bały, coby nas panowie kozaki nie zabiuły — zakończyła swe opowiadanie.

Z relacyi tej łatwo było wywnioskować, że Potocki zakpił sobie z Wiśniowieckiego i naumyślnie urządził taką mistyfikacyę, żeby go ośmieszyć.

— A bodajże to siarczyste pioruny! — myślał sobie oficer, wielce strapiony — Jakże się teraz księciu pokazać? co czynić? Orszak hospodarowej musiał już przejechać. Gonić go nie byłoby sensu, gdyż napad niespodziewany mógłby się udać, ale skoro Potocki o tem wiedział, to jušci musiał się dobrze zabezpieczyć od wszelkiego wypadku.

Dziwiło go tylko, skąd imć gubernator mógł się dowiedzieć o przygotowanym poniku.

Kto zdradził?

Wtem, jeden z żołnierzy poznał konie przyprzężne u wehikułu, i rzekł:

— A toćże to konie książęce, co je sam przyprzężono!

— Jako żywo, prawda! — mówił drugi — Na nich to pojechali Andrusiak z pachołkiem.

Teraz oficer domyślił się, że wysłanych przezeń szpiegów schwytano, i że ci musieli na pytkach wyznać wszystko.

— O szelmy!—myślał sobie— niedość, że się huncwoty pojmać dali, ale jeszcze, wyśpie-

wawszy wszystko, księcia na śmiech ludzki wystawili.

I obróciwszy całą złość na Andrusiaka, począł mu w duszy złorzeczyć:

— O zdrajco, przedajniku! poczekaj! dojdzie cię niezawodnie munsztuluk od księcia, ale ci on bokiem wylezie. Tak mi dopomóż P. Boże. Amen.

Poczem, zły wielce, krzyknął na żołnierzy:

— Formuj się!

— A co z temi parszywkami uczynić? zapytał wachmistrz, nietyle myśląc o żydówkach, ile o przyprzężnych koniach, których, jako książęcych, nie miał ochoty zostawić.

— A bodaj je piorun spalił? — odparł oficer — Niech jadą na złamanie karku!

— Ale bo szkapy nasze...

— Szkapy odczepić... i niechajże to wszyscy dyabli.

Co rzekłszy, i nie czekając, aż konie odprzęgną, zakomenderował;

— Naprzód! marsz!

1525,-